



KAREN CLEVELAND

# MUSZĘ TO WIEDZIEĆ

Thriller, którym zachwycili się  
Charlize Theron, Lee Child  
i John Grisham

Wydawnictwo  
ab  
two

Karen Cleveland  
MUSZĘ TO WIEDZIEĆ

przełożyła Agnieszka Walulik



Tytuł oryginału: *Need to Know*

Copyright © 2018 by Karen Cleveland. By arrangement with the author. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Walulik, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

# Spis treści

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[\\*\\*\\*](#)

[Dwa dni wcześniej. Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Tak jak poprzednio. Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rok później. Rozdział 25](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)

*Dla B.J.W.*

Gdy kochamy, łudzimy najpierw siebie samych, a potem drugich. Świat to nazywa romanssem.

Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya*, tłum. Maria Feldmanowa

\*\*\*

Stoję w drzwiach sypialni bliźniaków i patrzę, jak śpią spokojnie i niewinnie za prętami łóżeczek, które przypominają mi kraty więziennej celi.

Nocna lampka oblewa wszystko łagodnym pomarańczowym światłem. W niewielkim pokoiku tłoczą się meble, za dużo ich tu jak na tak małe pomieszczenie. Dziecięce łóżeczka, jedno stare, jedno nowe. Przewijak, na którym leży stos nierozpakowanych pieluch. Regalik, który złożyłam z Mattem już wieki temu. Teraz półki uginają się pod ciężarem książeczek, które starszej dwójce mogłam recytować z pamięci – obiecywałam sobie, że wreszcie znajdę czas, żeby częściej czytać je bliźniakom.

Słyszę na schodach kroki Matta i czuję, jak moje palce zaciskają się na pendrivie. Mocno, jakbym sądziła, że jeśli dostatecznie go ścisnę, to zniknie. Wszystko na powrót stanie się takie jak dawniej. Ostatnie dwa dni zostaną wymazane, okażą się tylko złym snem. Ale nośnik wciąż jest przy mnie: twardy, namacalny, rzeczywisty.

Podłoga w korytarzu trzeszczy jak zwykle w tym samym miejscu. Nie odwracam się. Matt podchodzi do mnie od tyłu, jest tak blisko, że czuję jego mydło i szampon, a także jego własny zapach, który zawsze napełniał mnie dziwnym poczuciem bezpieczeństwa, a teraz w niezrozumiały sposób czyni z mojego męża kogoś jeszcze bardziej obcego. Wyczuwam wahanie Matta.

– Możemy porozmawiać? – pyta.

Mówi cicho, ale to wystarcza, żeby Chase zaczął się wiercić. Wzdycha przez sen i na powrót nieruchomieje, wciąż zwinięty w kulkę, jakby chciał się przed czymś osłonić. Zawsze uważałam, że wdał się w ojca – ma te same poważne oczy, którymi chłonie wszystko dookoła. Teraz zaczynam się zastanawiać, czy kiedykolwiek zdołam naprawdę go poznać, czy będzie ukrywał tajemnice tak straszne, że zmiążdżą każdego, kto stanie mu się bliski.

– Co jeszcze możemy sobie powiedzieć?

Matt robi krok bliżej, kładzie rękę na moim ramieniu. Odsuwam się lekko, by wyzwolić się od jego dotyku. Jego dłoń zawisa w powietrzu



i opada do boku.

– Co zamierzasz zrobić? – pyta Matt.

Patrzę na drugie łóżeczko, na Caleba, który leży na plecach; aniołek z jasnymi loczkami, rączki i nóżki w śpioszkach ma rozłożone jak rozgwiazda. Jego dłonie są otwarte, różowe usteczka rozchylone. Nie ma pojęcia, jak łatwo byłoby go skrzywdzić, jak okrutny potrafi być świat.

Zawsze obiecywałam sobie, że ochronię go przed niebezpieczeństwem. Dam mu siłę, której mu brakuje, dopilnuję, by nie pozbawiono go żadnych możliwości, postaram się, żeby miał tak normalne życie, jak to możliwe. Ale w jaki sposób tego dokonam, jeśli mnie przy nim nie będzie?

Zrobiłabym wszystko dla swoich dzieci. *Wszystko*. Rozwijam palce i spoglądam na przenośny dysk. To tylko mały prostokąt, niczym się nie wyróżnia. Maleństwo, a kryje się w nim taka moc. Moc, by naprawiać, ale i niszczyć.

Zupełnie jak kłamstwo.

– Wiesz, że nie mam wyboru – mówię i zmuszam się, by na niego spojrzeć; na swojego męża, którego znam tak dobrze, a jednocześnie ani trochę.

# Dwa dni wcześniej. Rozdział 1

– Viv, złe wieści.

Słyszę głos Matta. Słowa powinny wzbudzić strach, ale ton mnie uspokaja. Jest lekki, przepraszający. Owszem, mamy mały kłopot, ale to żadna tragedia. Gdyby chodziło o coś naprawdę poważnego, Matt mówiłby inaczej. I posłużyłby się pełnym zdaniem, pełnym imieniem. „Vivian, mam złe wieści”.

Przytrzymuję telefon ramieniem i odwracam się na krześle do komputera ustawionego pod szarymi szafkami na biurku w kształcie litery L. Najeżdżam kursorem na ikonkę sowy na ekranie i klikam dwa razy. Jeśli chodzi o to, co myślę – a jestem pewna, że tak – to została mi już tylko chwila na pracę.

– Ella? – zgaduję. Moje spojrzenie biegnie do jednego z kredkowych obrazków przyczepionych pinezkami na wysokich ściankach boks; plama koloru w morzu szarości.

– Trzydzieści osiem i dwa.

Zamykam oczy i robię wdech. Spodziewaliśmy się tego. Połowa jej klasy choruje, dzieciaki padają jak muchy, to była tylko kwestia czasu. Czterolatki nie słyną z higieny. Ale czy to musiało się przytrafić akurat dzisiaj? Naprawdę nie mogło poczekać?

– Coś jeszcze?

– Tylko gorączka. – Matt milknie na chwilę. – Przykro mi, Viv. Kiedy ją odwoziłem, wyglądała zupełnie normalnie.

Przełykam gulę w gardle i kiwam głową, choć Matt nie może tego zobaczyć. Każdego innego dnia sam odebrałby córkę. Może pracować z domu, przynajmniej w teorii. W przeciwieństwie do mnie. A ja wszystkie wolne dni zużyłam, kiedy urodziły się bliźniaki. Lecz dzisiaj Matt musiał zabrać Caleba na kolejną turę badań. Od tygodni gryzło mnie sumienie, że sama nie mogę jechać. A teraz nie dość, że przegapię badania, to jeszcze będę musiała wziąć urlop, którego już nie mam.

– Będę tam za godzinę – odpowiadam. Według przepisów szkolnych pozostaje nam sześćdziesiąt minut na odbiór dziecka od momentu, kiedy dostaniemy informację. Wliczając w to drogę do samochodu (który stoi na

samym końcu gigantycznego parkingu Langley) oraz przejazd przez miasto, mam jakiś kwadrans na pracę. O kwadrans mniej na minusie.

Spoglądam na zegar w rogu ekranu – siedem po dziesiątej – i przenoszę wzrok na kubek ze Starbucksa, stojący przy prawym łokciu. Z otworu w plastikowym wieczku unosi się para. Pozwoliłam sobie na ten luksus, by uczcić długo oczekiwany dzień i zapewnić sobie energię na godziny nużącej pracy. Zmarnowałam w kolejce cenne minuty, które mogłam przeznaczyć na przekopywanie się przez pliki. Trzeba było trzymać się rutyny i zadowolić się pyrkoczącym automatem biurowym, który zostawia wytłoczyny na powierzchni kawy.

– Tak powiedziałem w szkole – mówi Matt. „Szkola” to w rzeczywistości lokalny żłobek, gdzie spędza dni nasza młodsza trójka. Nazywamy go jednak szkołą, od kiedy Luke skończył trzy miesiące. Wyczytałam gdzieś, że to pomaga pogodzić się ze zmianą i zmniejszyć poczucie winy wywołane faktem, że zostawia się niemowlaka na osiem czy dziesięć godzin dziennie. Nie zmniejszyło, ale jakoś przyzwyczailiśmy się tak mówić.

Następuje przerwa w rozmowie i słyszę w tle gaworzenie Caleba. Nasłuchuję, wiedząc, że Matt robi to samo. To już u nas odruch. Słyszę wyłącznie samogłoski. Caleb nadal nie potrafi wymawiać żadnych spółgłosek.

– Wiem, że masz dziś ważny dzień... – mówi wreszcie Matt i znowu milknie. Przywykłam do tych urywanych zdań, wymijających rozmów. Nigdy nie wykluczam możliwości, że ktoś może mnie podsłuchiwać. Rosjanie. Chińczycy. Dlatego między innymi szkoła zawsze dzwoni najpierw do Matta. Lepiej, żeby wrogowie Ameryki wiedzieli jak najmniej na temat naszych dzieci.

Może to paranoja... a może tak właśnie powinna myśleć analityczka CIA.

Tak czy inaczej, Matt nie wie nic więcej. Nie wie, że usiłuję rozgryźć siatkę rosyjskich agentów ani że wymyśliłam metodę identyfikacji szpiegów. Wie tylko, że od miesiący czekałam na ten dzień. Dzisiaj mam się dowiedzieć, czy dwa lata ciężkiej pracy nie poszły na marne i czy mam szansę na ten awans, który bardzo by nam się przydał.

– No tak... – mówię, poruszając myszką i patrząc, jak ładuje się Athena.  
– Ale najważniejsze są badania Caleba.

Mój wzrok znowu biegnie do ścianki boksu i do kredkowych obrazów. Na rysunku Elli widać naszą rodzinę: kreskowe ramiona i nogi odchodzące od sześciu szczęśliwych twarzy. Rysunek Luke’a jest nieco bardziej

wyrafinowany: widnieje na nim tylko jedna postać, ma kolorowe włosy, ubrania i buty, narysowana została gwałtownymi, ostrymi ruchami kredki. Pod spodem znajdują się drukowane litery, tworzące słowo MAMA. Luke miał wtedy fazę na superbohaterów, więc rysunek przedstawia mnie w pelerynie, z rękami na biodrach i literą S na piersi. Supermama.

Czuję w piersiach znajome ciśnienie, ogromną chęć, by się rozplakać. Wdech i wydech, Viv. Wdech i wydech.

– Malediwy? – pyta Matt i czuję, że na moich ustach pojawia się uśmiech. Matt zawsze potrafi sprawić, bym się uśmiechnęła, kiedy najbardziej tego potrzebuję. Spoglądam na nasze zdjęcie w rogu biurka – to moja ulubiona fotografia ślubna, ma już prawie dziesięć lat. Oboje byliśmy tacy szczęśliwi, tacy *młodzi*. Zawsze sobie obiecywaliśmy, że na dziesiątą rocznicę zafundujemy sobie wyjazd w jakieś egzotyczne miejsce. Teraz się na to nie zapowiada. Ale pomarzyć zawsze można. Choć to jednocześnie i miłe, i przygnębiające.

– Bora-Bora – odpowiadam.

– Ujdzie. – Matt milknie i w ciszy znowu słyszę Caleba. Wciąż tylko samogłoski. Aaa-aaa-aaa. Obliczam w głowie, ile miesięcy temu Chase zaczął wymawiać pierwsze spółgłoski. Wszyscy lekarze powtarzają, żeby tego nie robić, ale nie mogę się powstrzymać.

– Bora-Bora? – Słyszę za sobą głos pełen udawanego niedowierzania. Zakrywam słuchawkę dłonią i się odwracam. To Omar, mój odpowiednik z FBI. Na twarzy ma wyraz rozbawienia. – Nawet CIA nie zdoła usprawiedliwić takiej delegacji.

Szczerzy się tak zaraźliwie, że i ja się uśmiecham.

– Co tu robisz? – pytam, nadal zakrywając słuchawkę. W uchu słyszę gaworzenie Caleba. Teraz mówi O. Ooo-ooo-ooo.

– Miałem spotkanie z Peterem. – Omar podchodzi o krok i przysiada na krawędzi biurka. Na biodrze pod jego T-shirtem widzę zarys kabury. – Chyba nieprzypadkowo umówił się ze mną o tej porze. – Spogląda na mój ekran i jego uśmiech nieco blednie. – To dzisiaj, prawda? O dziesiątej?

Patrę na monitor. Jest ciemny, kursor nadal ma kształt klepsydry.

– Tak, dzisiaj.

Gaworzenie w moim uchu milknie. Odwracam się na krześle nieco dalej od Omara i odkrywam słuchawkę.

– Kochanie, muszę kończyć. Przyszedł Omar.

– Pozdrów go ode mnie – mówi Matt.

– Jasne.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też. – Odkładam słuchawkę i odwracam się z powrotem do Omara, który nadal siedzi na biurku, wyciągając skrzyżowane w kostkach nogi. – Matt cię pozdrawia.

– Ach, więc to z nim się namawiałś na Bora-Bora. Planujecie wakacje? – Omar znowu szczyrzy zęby.

– Tak jakby – odpowiadam z niezbyt radosnym śmiechem. Brzmi to tak żałośnie, że aż się rumienię.

Omar patrzy na mnie przez chwilę i w końcu spuszcza wzrok na nadgarstek.

– No dobrze, jest dziesiąta dziesięć. – Przekłada nogi i nachyla się ku mnie z wyraźną ciekawością. – To co dla mnie masz?

Omar siedzi w tej branży dłużej niż ja. Co najmniej dziesięć lat. On zajmuje się wyszukiwaniem w Stanach uśpionych agentów, a ja próbuję zidentyfikować ich szefów. Żadne z nas nie odniosło jak dotąd sukcesu. Nie mam pojęcia, jak Omarowi udaje się zachować ten entuzjizm.

– Na razie nic. Jeszcze nie patrzyłam. – Kiwam głową na komputer z wciąż ładującym się programem, a potem spoglądam na czarno-białe zdjęcie na ścianie boksu, obok rysunków dzieci. Jurij Jakow. Mięsiśta twarz o twardym wyrazie. Jeszcze kilka kliknięć i znajdę się w jego komputerze. Będę mogła zobaczyć to, co on widzi, poruszać się po jego systemie, przeglądać jego pliki. I przy odrobinie szczęścia znajdę dowód, że jest rosyjskim szpiegiem.

– Kim jesteś i co zrobiłaś z moją koleżanką Vivian? – pyta z uśmiechem Omar.

Fakt, gdyby nie kolejka do Starbucksa, zalogowałabym się do programu punktualnie o dziesiątej. Do tej pory zdążyłabym się przynajmniej rozejrzeć. Wzruszam ramionami.

– Przecież próbuję. Tak czy inaczej, to będzie musiało poczekać. – Wskazuję telefon. – Ella się rozchorowała. Muszę ją odebrać ze szkoły.

Omar wzdycha dramatycznie.

– Dzieciaki. Zawsze wybiorą sobie najgorszy moment.

Na ekranie pojawia się coś nowego i przysuwam krzesło do biurka. Athena wreszcie się uruchamia. Dookoła ekranu pojawiają się czerwone banery, widzę różne słowa oznaczające poszczególne funkcje i poziomy dostęp. Im dłuższy ciąg tekstu, tym bardziej tajne pliki. A ten jest

naprawdę długi.

Klikam i przewijam jedną stronę, potem kolejną. Każde kliknięcie to potwierdzenie. Tak, wiem, że informacje, do których chcę uzyskać dostęp, są tajne. Tak, wiem, że jeśli je ujawnię, grozi mi długi pobyt w więzieniu. Tak, tak, tak. No wpuść mnie tam wreszcie, dobrze?

– Tym razem się uda – mówi Omar, przypominając mi o swojej obecności. Spoglądam na niego kątem oka. Omar odwraca się ostentacyjnie od ekranu, żeby dać mi trochę prywatności.

– Czuję to w kościach – dodaje.

– Też mam taką nadzieję – mruczę. I to prawda. Ale strasznie się denerwuję. Moja metoda jest niepewna. I to bardzo. Stworzyłam profil możliwego łącznika komórki szpiegowskiej: wykształcenie, stopnie naukowe, konta bankowe, podróże w Rosji i za granicą. Ułożyłam algorytm i zidentyfikowałam pięć osób najlepiej pasujących do mojego wzorca. Pięciu najbardziej prawdopodobnych kandydatów.

Pierwsza czwórka okazała się fałszywymi tropami i program może trafić pod nóż. Wszystko zależy od Jurija. Numeru pięć. Do jego komputera najtrudniej było się włamać, ale to on od początku wydawał mi się najpewniejszym strzałem.

– A nawet jeśli nie – dodaje Omar – to i tak zaszłaś dalej niż ktokolwiek inny. Prawie ich namierzyłaś.

Szukanie łączników komórek to nowe podejście. Przez lata FBI usiłowało zidentyfikować samych szpiegów, ale są tak dobrze zakonspirowani, że to praktycznie niemożliwe. Siatki zorganizowane są w taki sposób, że agenci nie mają ze sobą kontaktu, porozumiewają się tylko z łącznikiem, a i to w minimalnym stopniu. Z kolei CIA skupiała się na samej górze, czyli na kierownikach, którzy nadzorują łączników z Moskwy i mają bezpośrednie powiązania z SWZ, rosyjskim wywiadem.

– Prawie to za mało – mówię cicho. – Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczynałam pracę w sekcji rosyjskiej, Omar był energicznym agentem świeżo z werbunku. Wymyślił nowy program, polegający na tym, żeby zaproponować uśpionym agentom amnestię w zamian za oddanie się w ręce FBI. Uznał, że na pewno co najmniej kilku śpiochów chciałoby zmienić swoją fikcyjną tożsamość w rzeczywistość i że uzyskane od nich informacje mogłyby pomóc w infiltracji całej siatki.

Plan po cichu wcielono w życie i w ciągu tygodnia ktoś się zgłosił, facet imieniem Dmitrij. Powiedział, że jest łącznikiem, i podał nam informacje, które potwierdziły to, co już wiedzieliśmy: agenci tacy jak on odpowiadają każdy za pięciu śpiochów. Dmitrij podlegał przywódcy całej komórki, który nadzorował wszystkich pięciu łączników. Była to całkowicie niezależna siatka. To pobudziło naszą ciekawość. Potem zaczął opowiadać jakieś bzdury, które zupełnie nie pokrywały się z naszymi sprawdzonymi informacjami, aż w końcu zniknął. Nazywaliśmy go potem „Dmitrij Dyndałka”.

I to był koniec programu. Już sam pomysł, by przyznać publicznie, że mamy w kraju uśpionych agentów i nie potrafimy ich znaleźć, okazał się dostatecznie trudny do przełknięcia dla szefostwa FBI. To oraz ryzyko manipulacji ze strony Rosjan – którzy mogliby dyndać nam przed nosem podwójnymi agentami i kierować nas na fałszywe tropy – sprawiło, że plan Omara został ostro skrytykowany i wreszcie odrzucony. „Utonęlibyśmy w zalewie takich jak ten Dmitrij”, mówiono. I tak oto obiecująca kariera Omara utknęła w miejscu. Stał się jedynie szeregowym agentem trudzącym się dzień za dniem nad niewdzięcznym, frustrującym, niemożliwym zadaniem.

Ekran zmienia się i pojawia się na nim ikonka z imieniem Jurija. Zawsze mnie ekscytuje widok imion moich podejrzanych na ekranie i świadomość, że oto otwieramy okno na ich cyfrowe życie, zyskujemy dostęp do informacji, które uważają za prywatne. Omar podnosi się jakby na dany znak. Wie, że staraliśmy się wdrzeć do komputera Jurija. Jako jeden z niewielu agentów FBI zna ten program – i jest jego najbardziej zagorzałym fanem. Nikt nie pokłada w moim algorytmie – i w ogóle we mnie – takiej wiary jak on. Mimo to sam nie ma bezpośredniego dostępu do Atheny.

– Zadzwoń do mnie jutro, okej? – mówi.

– No jasne – odpowiadam.

Gdy tylko odwraca się do mnie plecami i odchodzi, skupiam się na ekranie. Klikam ikonkę i w czerwonej ramce pojawia się nowe okno, w którym widać zawartość komputera Jurija, identycznie jak na jego komputerze. Mam ledwie kilka chwil, zaraz muszę wyjść, ale to wystarczy, żeby przynajmniej rzucić okiem.

Tło jest granatowe ze wzorem baniek w różnych rozmiarach i różnych odcieniach niebieskiego. Po jednej stronie widać cztery równe rzędy ikon,

połowa z nich to foldery. Nazwy plików zapisano cyrylicą – rozpoznałem litery, ale niewiele rozumiem. Wiele lat temu zapisałam się na kurs rosyjskiego, lecz potem zjawił się Luke i porzuciłam naukę. Znam kilka podstawowych zwrotów i rozpoznałem kilka słów, ale nic więcej. Przy bardziej skomplikowanych zadaniach muszę polegać na pomocy lingwistów albo programów translatorskich.

Otwieram kilka folderów i znajdujące się w nich dokumenty tekstowe. Strona za stroną gęsto zapisane cyrylicą. Ogarnia mnie rozczarowanie, choć wiem, że to nonsens. W końcu trudno wymagać, żeby mieszkający w Moskwie Rosjanin, pracując na swoim komputerze, pisał i archiwizował informacje po angielsku, a już z całą pewnością nie mogę się spodziewać anglojęzycznej listy uśpionych agentów w Stanach Zjednoczonych. Wiem, że informacje, których szukam, będą zaszyfrowane. Mam tylko nadzieję, że wpadnę na jakiś trop, jakiś chroniony plik, coś wyraźnie zakodowanego.

Dzięki infiltracji na najwyższym szczeblu wiemy, że tożsamość poszczególnych śpiochów znana jest wyłącznie ich łącznikom, a ich imiona są przechowywane na lokalnych komputerach. Nie w Moskwie, ponieważ SWZ – potężny wywiad rosyjski – obawia się szpiegów we własnych szeregach. Obawia się ich do tego stopnia, że woli raczej stracić uśpionych agentów, niż przechowywać informacje o nich u siebie. Wiemy też, że jeśli coś się stanie z jakimś łącznikiem, kierownik siatki ściągnie pliki i skontaktuje się z Moskwą, by uzyskać klucz deszyfrujący. To tylko jedna z wielu warstw protokołu zabezpieczeń. Mamy nawet ten kod. Ale nigdy nie wpadliśmy na nic, co moglibyśmy za jego pomocą odszyfrować.

Program szpiegowski jest całkowicie szczelny. Nie możemy się do niego włamać. Nawet nie znamy jego prawdziwego celu, jeśli taki istnieje. Może chodzi wyłącznie o bierne gromadzenie danych, a może o coś gorszego. Jego szef odpowiada jednak przed samym Putinem, więc myślę, że raczej to drugie, i ta obawa nie daje mi w nocy spać.

W dalszym ciągu przeglądam zawartość komputera, skanując wzrokiem każdy plik. I nagle widzę rosyjskie słowo, które rozpoznałem. *Друзья* – „Przyjaciele”. Ostatnia ikonka w ostatnim rzędzie, folder. Klikam myszką i otwiera się lista pięciu plików JPEG, nic więcej. Czuję, jak moje serce przyspiesza. Pięć. Każdy łącznik ma pod sobą pięciu agentów, wiemy to z wielu źródeł. No i ta nazwa. „Przyjaciele”.

Otwieram pierwszy plik. To zbliżenie przeciętnie wyglądającego mężczyzny w średnim wieku, w okrągłych okularach. Czuję dreszcz



podniecenia. Uśpieni agenci są doskonale zakonspirowani. Niewidzialni członkowie społeczeństwa. Ten tutaj z pewnością mógłby być jednym z nich.

Rozum podpowiada, że lepiej nie cieszyć się przedwcześnie; zgodnie ze wszystkimi informacjami, jakie posiadamy, pliki dotyczące śpiochów powinny być zaszyfrowane. Ale instynkt mówi mi, że wpadłam na coś ważnego.

Otwieram drugi plik. Kobieta, pomarańczowe włosy, jasnoniebieskie oczy, szeroki uśmiech. Kolejne zbliżenie twarzy, kolejny potencjalny agent. Patrę na nią uważnie. Przychodzi mi do głowy myśl, którą staram się zignorować, ale nie mogę. To jedynie zdjęcia. Nic na temat tożsamości, nic, co szef siatki mógłby wykorzystać, żeby się skontaktować z tymi ludźmi.

Ale jednak. „Przyjaciele”. Zdjęcia. Załóżmy nawet, że Jurij nie jest nieuchwytnym łącznikiem, którego miałam nadzieję złapać i na którego poszukiwania CIA przeznaczyła tyle środków. Ale może zdobywa nowych agentów? No i ta piątka: na pewno jest ważna. Może Rosjanie chcą ją dopiero zwerbować?

Klikam na trzecie zdjęcie i na ekranie pojawia się twarz. Zbliżenie. Wygląda tak znajomo, tak zwyczajnie – tyle że wcale tak nie jest, bo znalazłam ją tutaj, gdzie w ogóle nie powinno jej być. Mrugam raz, drugi, a mój umysł z trudem stara się pogodzić to, co widzę, z tym, co to oznacza. Przysięgłabym, że czas staje w miejscu. Moje serce ścisną lodowaty strach i słyszę tylko szum krwi w uszach.

Przed sobą mam zdjęcie swojego męża.

## Rozdział 2

Ktoś nadchodzi. Mimo pulsowania w uszach słyszę kroki. Mgielka w mojej głowie krystalizuje się momentalnie w krótkie polecenie. Ukryj to. Przesuwam kursor na X w rogu zdjęcia i klikam. Twarz Matta znika, ot tak.

Odwracam się w stronę, skąd dobiegają kroki, czyli do otwartej ścianki mojego boksu. To Peter, idzie w moim kierunku. Czy coś widział? Spoglądam z powrotem na ekran. Żadnych zdjęć, jedynie folder, otwarty, pięć linijek z nazwami. Czy zdążyłam w porę zamknąć plik?

Uparty głosik w mojej głowie pyta, dlaczego to tak ważne. Dlaczego czułam, że muszę ukryć to zdjęcie. Przecież to Matt. Mój mąż. Czy nie powinnam właściwie popędzić do działu ochrony i zapytać, skąd Rosjanie mają jego fotografię? W brzuchu czuję falę mdłości.

– Spotkanie? – pyta Peter. Jedną brew ma uniesioną ponad grube oprawki okularów. Stoi przede mną w mokasynach i prasowanych w kant spodniach khaki, w koszuli zapiętej nieco zbyt wysoko pod szyją. To starszy stopniem analityk, uchował się jeszcze z czasów sowieckiego imperium. Od ośmiu lat jest moim mentorem. Nikt nie wie o rosyjskim kontrwywiadzie więcej niż on. Jest cichy i pełen rezerwy, wzbudza mimowolny respekt.

W wyrazie jego twarzy nie dostrzegam nic dziwnego. Zadał po prostu pytanie. Czy idę na poranne spotkanie? Chyba nic nie widział.

– Nie mogę – odpowiadam i mój głos brzmi nienaturalnie wysoko. Próbuję go obniżyć, powstrzymać przed drzeniem. – Ella się rozchorowała. Muszę ją odebrać ze szkoły.

Peter potakuje, właściwie jest to jedynie lekki ruch głowy. Patrzy na mnie spokojnie, niewzruszenie.

– Mam nadzieję, że nic jej nie będzie – mówi i odwraca się w stronę salki konferencyjnej, pudełka o szklanych ścianach, które bardziej pasowałyby do informatycznego start-upu niż do kwatery głównej CIA. Patrząc za nim, żeby sprawdzić, czy się na mnie obejrzy.

Wracam do komputera, do pustego teraz ekranu. Kolana mi zmiękły i oddycham w przyspieszonym tempie. Twarz Matta. Na komputerze Jurija. A moja pierwsza reakcja: *ukryj to*. Dlaczego?

Słyszę, jak koledzy z zespołu idą do sali konferencyjnej. Moje stanowisko jest tuż przy niej, wszyscy muszą je minąć po drodze. Zazwyczaj jest tu cicho, to najdalszy kąt w morzu boksów, chyba że ktoś wybiera się na spotkanie w salce albo do pomieszczenia z ograniczonym dostępem, które znajduje się tuż za nią – to miejsce, gdzie analitycy mogą się zamknąć na klucz i spokojnie zgłębiać najtajniejsze materiały, informacje tak cenne i tak trudne do zdobycia, że gdyby dowiedzieli się o tym Rosjanie, na pewno wyśledziliby i zabili nasze źródło.

Z trudem robię wdech, potem kolejny. Odwracam się, słysząc kroki kolegów. Pierwsza idzie Marta. Za nią Trey i Helen, pograżeni w cichej rozmowie. Potem Rafael i wreszcie Bert, kierownik naszego zespołu, którego rola sprowadza się głównie do redagowania dokumentów. To Peter jest tu prawdziwym szefem i wszyscy o tym wiedzą.

Razem nasza siódemka tworzy ekipę od śpiochów. Właściwie pozostajemy trochę na uboczu, prawie nic nas nie łączy z pozostałymi zespołami Sekcji Rosyjskiej Centrum Kontrwywiadu. Tamci mają tyle informacji, że sami nie wiedzą, do czego się najpierw zabrać; my nie mamy praktycznie nic.

– Idziesz? – pyta Marta, przystając przy moim boksie i opierając się o wysoką ściankę. Kiedy się odzywa, dokoła rozchodzi się zapach mięty i płynu do płukania ust. Marta ma cienie pod oczami, zamaskowane grubą warstwą korektora. Wygląda na to, że nieźle wczoraj zabalowała. To dawna agentka polowa, lubi whisky i wspomnienia minionej chwały, jedno i drugie w równej mierze; kiedyś pokazała mi, jak otworzyć zamek za pomocą karty kredytowej i spinki do włosów, którą znalazłam na dnie torby – była to jedna z wsuwek Elli do koka na zajęcia z baletu.

Kręcę głową.

– Dziecko mi się rozchorowało.

– Małe wylegarnie bakterii.

Marta opuszcza rękę ze ścianki. Idzie dalej. Uśmiecham się do pozostałych, którzy przechodzą obok mnie. *Wszystko w normie*. Kiedy wszyscy są już w szklanym prostopadłościanie i Bert zamyka drzwi, patrzę z powrotem na ekran. Pliki, niezrozumiałe słowa w cyrylicy. Drzę. Spoglądam na zegar w rogu monitora. Powinnam była stąd wyjść trzy minuty temu.

Czuję w żołądku mocno zaciśnięty węzeł. Przecież nie mogę tego tak zostawić. Ale nie mam wyboru. Jeśli nie zdążę odebrać Elli na czas,

dostaniemy drugie ostrzeżenie. Jeszcze jedno i koniec: do wszystkich grup czekają długie kolejki i w złości bez namysłu skreśliliby nas z listy. Zresztą nawet jeśli tu zostanę, to co miałabym zrobić?

Istnieje wyłącznie jeden sprawdzony sposób, by się dowiedzieć, skąd wzięło się tu zdjęcie Matta, i nie polega on na przekopywaniu się przez kolejne pliki. Przętykam ślinę, próbując zapanować nad mdłościami, i przesuwam kursor, żeby zamknąć Athenę. Wyłączam komputer. Biorę płaszcz oraz torbę i ruszam do drzwi.

Chcą go zwerbować.

Zanim dojdę do samochodu, z palcami zmarzniętymi jak sopele i oddechem uciekającym w postaci małych chmur, wyzbywam się wszelkich wątpliwości.

Matt nie byłby pierwszy. W ostatnim roku Rosjanie zaczęli działać intensywniej niż do tej pory. Zaczęło się od Marty. Pewna kobieta o wschodnioeuropejskim akcencie zaprzyjaźniła się z nią w siłowni. Poszły na drinka do O’Neilla. Po kilku kolejkach kobieta zapytała wprost, czy Martę interesuje kontynuacja „przyjaźni” na płaszczyźnie zawodowej. Marta odmówiła i nigdy już jej nie zobaczyła.

Potem był Trey. Wtedy jeszcze się nie wyautował, na robocze imprezy zawsze przychodził ze swoim „współlokatozem” Sebastianem. Któregoś dnia zobaczyłam, jak blady i wstrząśnięty idzie do sekcji bezpieczeństwa. Mówiono mi później, że próbowano go szantażować – dostał przesyłkę pocztową z kompromitującymi zdjęciami i groźbą, że fotografie trafią do jego rodziców, jeśli nie zgodzi się na spotkanie.

Łatwo mi więc uwierzyć, że Rosjanie wiedzą także o mnie. A w takim razie odszukanie Matta byłoby dla nich bułką z masłem. Podobnie jak poznanie naszych słabych punktów.

Przekręcam kluczyk w stacyjce i moja corolla jak zwykle wydaje z siebie dźwięk, jakby się czymś krztusiła. – No dalej... – mruczę, znowu próbując zapalić. Słyszę, jak silnik budzi się z westchnieniem do życia. Po kilku sekundach uderza we mnie powiew lodowatego powietrza z otworów wentylacyjnych. Ustawiam pokrętło na maksymalne grzanie, rozcieram dłonie i wycofuję auto. Silnik powinien się najpierw rozgrzać, ale nie ma czasu. Nigdy nie ma na nic czasu.

Corolla należy do Matta, kupił ją, jeszcze zanim się poznaliśmy. Stwierdzenie, że ledwo zipie, to mało powiedziane. Kiedy zaszłam w ciążę

z bliźniakami, wymieniliśmy mój stary samochód na rodzinnego minivana z drugiej ręki. Teraz jeździ nim Matt, który częściej zawozi dzieciaki do szkoły i z powrotem.

Jadę jak na automatycznym pilocie, prawie nieprzytomna. Węzeł w żołądku zaciska się coraz mocniej. Nie martwi mnie to, że wzięli Matta na celownik. Chodzi o tamto słowo. *Przyjaciele*. Czy to nie sugeruje współpracy, przynajmniej na pewnym poziomie?

Matt zajmuje się tworzeniem programów komputerowych. Nie wie, jak wyrafinowani potrafią być Rosjanie. Jacy są bezlitośni. Wykorzystają najmniejszą nawet ryse, najdrobniejszą oznakę, że ktoś może się zgodzić na współpracę, a potem wyzyskają to, przekręcą wszystko tak, by zmusić go do robienia kolejnych rzeczy.

Dojeżdżam do szkoły na dwie minuty przed upływem wyznaczonego czasu. Kiedy wchodzę do środka, uderza we mnie fala ciepłego powietrza. Dyrektorka – kobieta o ostrych rysach i wiecznie niezadowolonej minie – spogląda znacząco na zegar i patrzy na mnie surowo. Nie jestem pewna, czy spojrzenie to ma oznaczać: „Nie mogła się pani pospieszyć?”, czy też: „Jeśli musi ją pani odebrać o tak wczesnej porze, to na pewno była chora jeszcze przed lekcjami”. Mijam ją z nikłym, przeproszającym uśmiechem, choć w środku aż się gotuję. Przecież cokolwiek dolega Elli, na pewno złapała to tutaj, do jasnej cholery.

Idę korytarzem o ścianach obwieszonych dziecięcymi pracami – misie polarne z odcisków dłoni, lśniące brokatowe śnieżynki, akwarele – ale myślami jestem zupełnie gdzie indziej. *Przyjaciele*. Czy Matt zrobił coś, co pozwoliło im sądzić, że będzie skłonny do współpracy? Wystarczy im najmniejszy znak. Coś, cokolwiek, co będą mogli wykorzystać.

Dochodzę do klasy Elli, wszędzie stoją krzeselka, regaliki i pojemniki na zabawki, wszystko pomalowane na podstawowe kolory. Ella siedzi w przeciwległym kącie pomieszczenia, sama na jasnoczerwonej dziecinnej sofce, na kolanach ma książkę obrazkową w twardej okładce. Wygląda na to, że oddzielono ją od innych dzieci. Ma na sobie fioletowe legginsy, których nie poznaję; przypominam sobie, jak Matt wspominał coś o tym, że zabrał ją na zakupy. No jasne. Przecież Ella ciągle teraz wyrasta z ubrań.

Podchodzę do niej z wyciągniętymi ramionami i przesadnym uśmiechem. Ella podnosi głowę i patrzy na mnie nieufnie.

– A gdzie tata?

Krzywię się w duchu, ale uśmiech nie znika z mojej twarzy.

– Tata zabrał Caleba do lekarza. Dzisiaj ja cię odbieram.

Ella zamyka książkę i odkłada ją z powrotem na półkę.

– No dobrze.

– Dostanę przytulania?

Ramiona nadal mam wyciągnięte, choć zdążyłam je nieco opuścić. Ella patrzy na nie przez chwilę i wreszcie podchodzi do mnie. Obejmuję ją mocno, chowając twarz w jej miękkich włosach.

– Przykro mi, że źle się czujesz, kochanie.

– Mamo, nic mi nie jest.

„Mamo”? Oddech więźnie mi w gardle. Jeszcze dziś rano byłam „mamusią”. Proszę, chcę nadal być mamusią. Nie jestem jeszcze gotowa na taką zmianę. Zwłaszcza nie dziś.

Patrzę jej w twarz i zmuszam się do kolejnego uśmiechu.

– Chodźmy po twojego braciszka.

Ella siada na ławce pod salą dla maluchów, a ja wchodzę do środka, żeby odebrać Chase’a. To pomieszczenie przygnębia mnie dzisiaj tak samo jak siedem lat temu, kiedy po raz pierwszy zostawiłam tu Luke’a. Stanowisko do przewijania, rząd łóżeczek, rząd dzieciennych krzesełek.

Kiedy wchodzę, Chase jest na podłodze. Jedna z jego opiekunek, ta młoda, podnosi go, przytula mocno i całuje w policzek.

– Przesłodka maluch – mówi z uśmiechem.

Patrzę na to z ukłuciem zazdrości. Oto kobieta, która patrzyła na jego pierwsze kroki, to w jej wyciągnięte ramiona wszedł po raz pierwszy o własnych siłach, podczas gdy ja siedziałam w biurze. Wygląda, jakby czuła się z nim tak naturalnie, tak swobodnie. Bo oczywiście to prawda. W końcu spędza z nim całe dni.

– Owszem – przytakuję i brzmi to jakoś niezręcznie.

Wkładam obojgu dzieciom grube kurtki, na głowy nasuwam czapki – dzień jest wyjątkowo zimny jak na marzec – i przypinam je w fotelikach, tych twardych i wąskich, które mieszczą się na tylnym siedzeniu corolli. Te dobre, bezpieczne, są w minivanie.

– Jak ci minął ranek, kochanie? – pytam, spoglądając na Elle we wstecznym lusterku, kiedy wycofuję się z parkingu.

Ella przez chwilę nie odpowiada.

– Ze wszystkich dziewczynek tylko ja nie poszłam na jogę.

– Przykro mi – mówię i natychmiast się orientuję, że to niewłaściwe słowa, że powinnam powiedzieć coś innego. Cisza, która zapada, wydaje

się ciężka. Sięgam do pokrętła radyjka, włączam jakąś muzykę dla dzieci.

Znowu patrzę we wsteczne lusterko. Ella wygląda przez szybę, nic nie mówi. Powinnam ją o coś jeszcze zapytać, wciągnąć w rozmowę, ale się nie odzywam. Nie mogę zapomnieć o tym zdjęciu. O twarzy Matta. Fotografia jest chyba świeża. Zrobiona w ciągu ostatniego roku. Od jak dawna go obserwują? Od jak dawna obserwują nas wszystkich?

Droga ze szkoły do domu jest krótka, prowadzi przez okolice będące zestawieniem sprzeczności: nowe jednakowe domki, między którymi uchowały się starsze domy, takie jak nasz, o wiele za mały, by pomieścić sześć osób, i tak stary, że mogliby się w nim wychowywać moi rodzice. Przedmieścia Waszyngtonu słyną z wysokich cen, a Bethesda należy pod tym względem do najgorszych. Ale są tu też jedne z najlepszych szkół w kraju.

Podjeżdżamy pod dom, schludny i pudełkowaty, z garażem na dwa samochody. Mamy mały frontowy ganek, dodany przez poprzednich właścicieli, który niezbyt pasuje do reszty i z którego nie korzystamy tyle, ile się spodziewałam. Kupiliśmy ten dom, kiedy byłam w ciąży z Lukiem. Sądziliśmy wtedy, że dobre szkoły będą warte ceny nieruchomości.

Patrzę na amerykańską flagę wiszącą przy drzwiach. To Matt ją tam zawiesił. Zastąpił tę starą, kiedy wyblakła. Nie zgodziłby się działać przeciwko naszemu krajowi. Wiem, że nie. Ale może coś zrobić? Coś, co wystarczyło, by Rosjanie uznali, że mógłby się zgodzić?

Jedno wiem na pewno. Zależy im na nim z mojego powodu. Z powodu mojej pracy. I chyba dlatego właśnie ukryłam to zdjęcie. Bo jeśli Matt wpakował się w kłopoty, to moja wina. I muszę zrobić, co w mojej mocy, by go z tego wypłatać.

Sadzam Ellę na kanapie i puszczam jej kreskówki, jedną za drugą. Zazwyczaj pozwalamy dzieciom oglądać najwyżej jeden odcinek naraz, w ramach dobranocki po kolacji, ale Ella jest chora, a ja nie potrafię się skupić na niczym poza tamtym zdjęciem. Chase drzemie, ona gapi się w telewizor, a ja sprzątam kuchnię. Wycieram blaty, te niebieskie, które chcielibyśmy wymienić, gdybyśmy mieli na to pieniądze. Szoruję plamy na kuchence wokół trzech działających jeszcze palników. Porządkuję zawartość szafki z plastikowymi pojemnikami, kompletując wieczka z pudełkami i chowając te mniejsze do większych.

Po południu ubieram dzieciaki i idziemy piechotą na przystanek

autobusowy, żeby odebrać Luke'a. Wita mnie tymi samymi słowami co Ella.

– A gdzie tata?

– Tata pojechał z Calebem do lekarza.

Robię mu coś do jedzenia i pomagam w pracy domowej. Matematyka, dodawanie liczb dwucyfrowych. Nie wiedziałam, że doszli już tak daleko. Zazwyczaj to Matt pomaga dzieciom w odrabianiu lekcji.

Ella jako pierwsza słyszy w drzwiach klucz Matta. Natychmiast zrywa się z kanapy i pędzi mu na spotkanie.

– Tatuś! – krzyczy, kiedy Matt otwiera drzwi, niosąc na jednej ręce Caleba, a w drugiej zakupy spożywcze. Mimo tych ciężarów jakoś udaje mu się kucnąć i ją objąć, zapytać, jak się czuje. Jednocześnie zsuwa z Caleba kurtkę. Jakimś cudem uśmiech na jego twarzy wygląda na szczery, *jest* szczery.

Matt podnosi się i podchodzi do mnie, całuje mnie w usta.

– Cześć, skarbie – mówi. Ma na sobie dżinsy i sweter, który dostał ode mnie na ostatnie Boże Narodzenie, ten brązowy z suwakiem na górze, a na wierzchu kurtkę. Odstawia torbę z zakupami na blat i poprawia sobie w ramionach Caleba. Ella obejmuje go za nogę; Matt kładzie wolną rękę na jej głowie i głaszcze ją po włosach.

– Jak poszło?

Wyciągam ręce do Caleba i niemal się dziwię, kiedy sam z siebie wychyla się w moją stronę. Obejmuję go i całuję w główkę, wciągam słodki zapach dziecięcego szamponu.

– Właściwie to super – mówi Matt, zdejmując kurtkę i kładąc ją na blacie. Podchodzi do Luke'a i mierzwi mu włosy. – Cześć, młody.

Luke podnosi głowę i szczyrzy zęby w uśmiechu. Widzę szczyrbę po pierwszym mleczaku, który powędrował pod jego poduszkę, zanim zdążyłam wrócić z pracy.

– Cześć, tato. Porzucamy sobie piłkę?

– Za chwilę. Najpierw muszę porozmawiać z mamą. Przygotowałeś już swój projekt?

Jaki projekt?

– Tak – mówi Luke, po czym patrzy na mnie szybko, jakby dopiero teraz przypomniał sobie o mojej obecności.

– Powiedz prawdę – mówię ostrzej, niż zamierzałam. Spoglądam na Matta i widzę, że jego brwi unoszą się w górę, tylko odrobinę. Ale nic nie



komentuje.

– W każdym razie się nad nim zastanawiałem... – mruczy Luke.

Matt cofa się i opiera o blat.

– Doktor Misrati jest bardzo zadowolona z postępów. Echo serca i EKG wyszły dobrze. Mamy przyjść znowu za trzy miesiące.

Znów obejmuję Caleba. Wreszcie jakieś dobre wieści. Matt zaczyna wypakowywać zakupy z torby. Galon mleka. Porcja piersi kurczaka, torebka mrożonych warzyw. Ciasteczka z piekarni – zawsze go proszę, żeby ich nie kupował, bo sami możemy je sobie zrobić za ułamek tej ceny. Nuci pod nosem jakąś piosenkę, której nie znam. Wydaje się szczęśliwy. Nucenie oznacza, że jest w dobrym humorze.

Nachyla się, wyciąga z dolnej szuflady garnek oraz patelnię i stawia je na kuchence. Przyglądam mu się, znowu całując Caleba w głowę. Jakim cudem tak świetnie sobie z tym wszystkim radzi? Jak udaje mu się zonglować naraz tyloma piłeczkami i żadnej nie upuścić?

Odwracam się od niego ku Elli, która wróciła już na kanapę.

– Wszystko w porządku, kochanie?

– Tak, mam.

Słyszę, że Matt zastyga w miejscu, nieruchomieje.

– „Mamo”? – pyta cicho. Odwracam się i widzę na jego twarzy wyraz troski.

Wzruszam ramionami, ale Matt na pewno widzi, że jest mi przykro.

– Widać w końcu nadszedł ten dzień.

Odstawia pudełko z ryżem, które trzyma w ręce, i obejmuje mnie, a ja zaczynam się bać, że ściana emocji, które we mnie narastały, może zaraz runąć. Słyszę bicie jego serca, czuję jego ciepło. „Co się stało?” – mam ochotę spytać. „Dlaczego mi nie powiedziałaś?”.

Przełykam ślinę, wciągam powietrze i odsuwam się.

– Pomóc ci z kolacją?

– Poradzę sobie. – Matt odwraca się, przekręca przycisk kuchenki, po czym przechyla się i bierze butelkę wina z metalowego stojaka na blacie. Patrzę, jak wyciąga korek i wyjmuje z kredensu kieliszek. Wypełnia go ostrożnie do połowy i podaje mi.

– Napij się.

„Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mi tego w tej chwili potrzeba”.  
Uśmiecham się słabo i wypijam łyk.

Myję dzieciom ręce i sadzam bliźniaki w krzeselkach po przeciwnych

końcach stołu. Matt nakłada chińskie danie do misek i stawia je przed nami. Rozmawia o czymś z Lukiem, a ja robię tylko odpowiednie miny, jakbym brała udział w rozmowie, ale tak naprawdę myślę o czymś innym. Matt wydaje się dziś taki szczęśliwy. W ogóle ostatnio był radośniejszy niż zwykle.

W głowie widzę tamto zdjęcie. Tytuł folderu. „Przyjaciele”. Przecież Matt na nic by się nie zgodził. Chociaż z Rosjanami wszystko jest możliwe. Wystarczyłoby, że dał im choć cień nadziei, najdrobniejszy znak, że *może* się nad tym zastanowi, a natychmiast wykorzystaliby tę szansę.

Czuję mrowienie adrenaliny, ogarnia mnie coś pokrewnego nielojalności. Ta myśl nie powinna nawet przyjść mi do głowy. Ale przychodzi. Bo to prawda: potrzebujemy pieniędzy. Co, jeśli Matt myślał, że robi to dla naszego dobra, zdobywa po prostu kolejne źródło dochodów? Próbuję sobie przypomnieć ostatni raz, kiedy pokłóciliśmy się o pieniądze. Następnego dnia Matt wrócił do domu z losem na loterię i przyczepił go na lodówce pod magnesową tabliczką na notatki. Napisał na nim „Przepraszam” i dorysował uśmiechniętą buźkę.

Co, jeśli go zmanipulowali i przedstawili sytuację tak, że Matt ma wrażenie, jakby wygrał na loterii? Co, jeśli nawet nie zdaje sobie z tego sprawy? Co, jeśli go nabrali? Może myśli, że to po prostu zupełnie legalne źródło dodatkowego zarobku, które pomoże nam związać koniec z końcem?

Boże, wszystko sprowadza się do pieniędzy. Jak ja tego nienawidzę.

Gdybym wiedziała, doradziłabym mu cierpliwość. Będzie lepiej. No fakt, tkwimy teraz w dołku. Ale Ella niedługo idzie do przedszkola. A bliźniaki przejdą do wyższej grupy w żłobku, tańszej niż grupa dla niemowlaków. W przyszłym roku będzie lepiej. O wiele lepiej. Po prostu mamy cięższy okres. Przecież się tego spodziewaliśmy.

Matt rozmawia teraz z Ellą i jej słodki głosik przedziera się przez mgłę w moim umyśle.

– Ze wszystkich dziewczynek tylko ja nie poszłam na jogę – mówi. Te same słowa, które skierowała do mnie w samochodzie.

Matt wkłada sobie do ust jedzenie i żuje dokładnie, nie odrywając od niej wzroku. Wstrzymuję oddech, czekając na jego odpowiedź. Wreszcie przełyka.

– I co, było ci przykro?

Ella przechyla głowę na bok, bardzo lekko.

– Właściwie to nie. Za to podczas czytania bajek siedziałam na samym przodzie.

Patrzę na nią i mój widelec zawisa w powietrzu. Wcale się nie przejęła. Nie potrzebowała współczucia. Jak to jest, że Matt zawsze znajduje właściwe słowa, zawsze świetnie wie, co powiedzieć?

Chase zmiata resztki jedzenia na podłogę pulchnymi, upačkanymi rączkami, a Caleb wybucha śmiechem i wali we własną tackę, posyłając kolację w powietrze. Matt i ja jednocześnie odsuwamy krzesła i idziemy po papierowe ręczniki, żeby powycierać buzie i ręce pokryte sosem oraz drobinami jedzenia. Mamy to już dopracowane, świetnie sprzątamy w tandemie.

Luke i Ella kończą kolację, więc puszczamy ich do salonu. Kiedy bliźniaki są już czyste, ich także tam przenosimy, a sami zaczynamy sprzątać kuchnię. Przerywam przekładanie resztek do plastikowego pojemnika, by znowu napęłnić kieliszek. Matt spogląda na mnie pytająco, wycierając jednocześnie stół.

– Ciężki dzień?

– Tak jakby – odpowiadam i próbuję sobie przypomnieć, jak odparłabym na to pytanie wczoraj. Ile bym mu powiedziała? Nigdy nie wyjawiam Mattowi żadnych tajnych informacji. Czasem opowiadam jakieś anegdotki o kolegach. Sugeruję tylko pewne sprawy, poruszam pobieżnie różne kwestie, jak choćby te nowe informacje z dzisiaj. Ale to zwykłe okruchy. Nic, na czym Rosjanom mogłoby zależeć. Nic, za co chcieliby zapłacić.

Kiedy kuchnia wreszcie wygląda czysto, wyrzucam ostatni kawałek papierowego ręcznika do śmieci i znowu padam na krzesło przy stole. Patrzę na ścianę, zupełnie pustą. Ile już lat mieszkamy w tym domu? A nadal jest nieurządzony. Słyszę z salonu odgłosy telewizora, leci program o wielkich ciężarówkach, Luke za nim przepada. I jeszcze cichą muzykę z jednej z zabawek bliźniaków.

Matt podchodzi do mnie, przysuwa sobie krzesło, siada. Patrzy na mnie i czeka, aż zacznę mówić, a na jego twarzy maluje się troska. Muszę coś powiedzieć. Muszę to wiedzieć. Alternatywą jest zwrócić się bezpośrednio do Petera, do sekcji bezpieczeństwa, powiedzieć im, co znalazłam. Pozwolić, by zaczęli dochodzenie w sprawie mojego męża.

Musi istnieć jakieś proste wytłumaczenie. Rosjanie nie nawiązali jeszcze z Mattem kontaktu. A jeśli tak, to on nie zdaje sobie z tego sprawy. Na nic się nie zgodził. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Dopijam wino.

Ręka mi drży, kiedy odstawiam kieliszek na stół.

Patrzę na Matta i nie mam pojęcia, co powiedzieć. Przez tyle godzin powinnam była już coś wymyślić.

Jego twarz wydaje się całkowicie szczerą. Matt musi wiedzieć, że szykuje się poważna rozmowa. Na pewno to po mnie widać. Ale nie sprawia wrażenia, jakby się denerwował. W ogóle nie sprawia żadnego wrażenia. Wygląda po prostu jak Matt.

– Od jak dawna pracujesz dla Rosjan? – pytam wreszcie. Mówię to brutalnie, bez ogródek. Ale przynajmniej to z siebie wydusiłam. Wpatruję się w męża, bo w tej chwili wyraz jego twarzy jest ważniejszy od wszelkich słów. Czy zobaczę szczerą zdumienie? Oburzenie? Wstyd?

Ale nie widzę nic. Ani śladu emocji. Jego mina w ogóle się nie zmienia. I właśnie to sprawia, że przeszywa mnie strach.

Matt patrzy na mnie spokojnie. Zwleka z odpowiedzią o jeden ułamek sekundy za długo.

– Dwadzieścia dwa lata.

## Rozdział 3

Czuję się, jakby ktoś wyciągnął mi dywan spod nóg. Jakbym spadała, unosiła się, zawieszona w jakimś miejscu, z którego obserwuję samą siebie i to, co się dzieje, ale nie biorę w tym udziału, bo to nie jest rzeczywistość. W uszach mi dzwoni, słyszę dziwny blaszany dźwięk.

Nie spodziewałam się potwierdzenia. Zadając pytanie, oskarżając go o największą możliwą zdradę, przypuszczałam, że może przyzna się do czegoś nieznaczącego. Miał powiedzieć coś w rodzaju: „Raz poszedłem na jakieś spotkanie, ale przysięgam ci, Viv, że dla nich nie pracuję”.

Albo unieść się oburzeniem. „Jak mogłaś tak pomyśleć?”.

Nigdy nie spodziewałam się potwierdzenia.

Dwadzieścia dwa lata. Skupiam się na tej liczbie, bo to coś konkretnego, namacalnego. Trzydzieści siedem minus dwadzieścia dwa. Czyli miał wtedy około piętnastu lat. Chodził do liceum w Seattle.

To się nie trzyma kupy.

W wieku piętnastu lat grał w bejsbol. I na trąbce w szkolnej orkiestrze. Kosił sąsiadom trawniki za parę groszy.

Nic nie rozumiem.

*Dwadzieścia dwa lata.*

Przykładam palce do skroni. Dzwonienie w głowie nie ustaje. Jakby coś się w niej kryło, jakieś odkrycie tak straszne, że nie zdołam go do siebie dopuścić, nie mogę przyznać, że to prawda, bo wtedy cały mój świat by się zawalił.

*Dwadzieścia dwa lata.*

Mój algorytm miał nas doprowadzić do rosyjskiego agenta koordynującego działania szpiechów w Stanach.

*Dwadzieścia dwa lata.*

I nagle w mojej głowie pojawia się zdanie ze starego raportu o wywiadzie. Źródłem był informator z SWZ, który znał rosyjski sposób działania. Werbują nawet dzieci w wieku piętnastu lat.

Zamykam oczy i mocniej wciskam palce w skronie.

Matt nie jest tym, za kogo się podaje.  
Jest rosyjskim agentem.

Zbieg okoliczności. Zawsze myślałam, że tak właśnie się poznaliśmy.  
Historia jak z filmu.

Było to w dniu, kiedy przeprowadziłam się do Waszyngtonu. Lipiec, poniedziałkowy poranek. Przyjechałam z Charlottesville o świcie, z całym dobytkiem upchniętym do accorda. Zaparkowałam na świątłach awaryjnych na ulicy pod starym ceglany budynkiem z rozklekotanymi drabinkami ewakuacyjnymi, tak blisko Narodowego Zoo, że można było wyczuć jego zapach. Moje nowe mieszkanie. Robiłam właśnie trzeci kurs z samochodu do drzwi, manewrując na chodniku wielkim kartonem, kiedy nagle na coś wpadłam.

To był Matt. Miał na sobie dżinsy i błękitną koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci. Przeze mnie wylał na siebie całą kawę.

– O Boże... – jęknęłam, pospiesznie odstawiając karton na chodnik.

Matt w jednej ręce trzymał ociekający kubek, którego plastikowe wieczko leżało teraz u jego stóp, a drugą otrząsał z kawy tak, że krople leciały na wszystkie strony. Na twarzy miał grymas jakby bólu, a na koszuli kilka dużych brązowych plam.

– Strasznie pana przepraszam...

Stałam bezradnie, wyciągając ramiona, jakby moje puste dłonie mogły jakoś zaradzić tej sytuacji.

Matt potrząsnął ręką jeszcze kilka razy, po czym spojrzał na mnie. Uśmiechnął się rozbrajająco i przysięgam, że serce na chwilę stanęło mi w piersi. Te idealne białe zęby, wyraziste brązowe oczy, które zdawały się iskrzyć.

– Nic się nie stało.

– Dam panu jakieś papierowe ręczniki. Mam je w którymś kartonie...

– Wszystko w porządku?

– Albo czystą koszulkę? Może będę miała coś, co będzie na pana pasować...

Popatrzył na swoją koszulę i zamilkł na chwilę, jakby się zastanawiając.

– Naprawdę nie trzeba. Ale dzięki.

Znowu się do mnie uśmiechnął i ruszył dalej. Stałam na środku chodnika i patrzyłam, jak odchodzi. Czekałam na wypadek, gdyby się obejrzał, zmienił zdanie, i ogarnęło mnie poczucie strasznego rozczarowania,

ogromne pragnienie, by przedłużyć naszą rozmowę choć o minutkę.

Potem mówiłam, że była to miłość od pierwszego wejrzenia.

Przez cały ranek nie mogłam o nim zapomnieć. Te oczy, ten uśmiech. Później, po południu, kiedy wszystkie moje rzeczy leżały już bezpiecznie w mieszkaniu, wybrałam się zbadać nową okolicę. I znowu go zobaczyłam. Przeglądał książki na stojaku pod małą księgarnią. Ten sam facet, inna koszula, tym razem biała. Był całkowicie pochłonięty lekturą. Trudno opisać, co wtedy poczułam – podniecenie, adrenalinę i dziwną ulgę. Więc jednak dostałam od losu jeszcze jedną szansę. Odetchnęłam głęboko, podeszłam i stanęłam obok niego.

– Cześć – powiedziałam z uśmiechem.

Spojrzał na mnie, z początku zupełnie mnie nie poznając, po czym nagle sobie przypomniał. Uśmiechnął się, odsłaniając te swoje idealne białe zęby.

– O, witam.

– Tym razem nie mam żadnych pudeł – powiedziałam i natychmiast zapragnęłam zapaść się pod ziemię. Naprawdę nie mogłam wymyślić lepszego tekstu?

On nadal się uśmiechał. Odchrząknęłam. Nigdy wcześniej tego nie robiłam. Skinęłam głową w kierunku sąsiedniej kawiarni.

– Mogę postawić ci kawę? Przynajmniej tyle jestem ci winna.

Spojrzał na markizę kawiarni i z powrotem na mnie. Na jego twarzy malowała się rezerwa. „O Boże, on ma dziewczynę” – pomyślałam. „W ogóle nie trzeba było tego proponować. Co za porażka”.

– Albo może kupię ci koszulę? W końcu tamtą zupełnie zniszczyłam – dodałam z uśmiechem. Mówiłam lekkim, żartobliwym tonem. Dobra robota, Viv. Daj mu wyjście z sytuacji. Teraz będzie mógł się po prostu obśmiać.

On jednak, ku memu zdziwieniu, przechylił głowę i powiedział coś, co napełniło mnie ulgą, oczekiwaniem i szaleńczą radością.

– Kawa brzmi nieźle.

Siedzieliśmy w kącie kawiarni, dopóki nad miastem nie zapadł zmrok. Rozmowa toczyła się wartko, nie było żadnych niezręcznych przerw. Mieliśmy ze sobą tyle wspólnego: oboje jedynacy, niepraktykujący katolicy, bezpartyjni w mieście, gdzie rządzi polityka. Oboje zjeździliśmy w pojedynkę Europę z minimalnym budżetem. Nasze matki były nauczycielkami i oboje w dzieciństwie mieliśmy golden retrievera. Te

podobieństwa były niemal upiorne. Nasze spotkanie zaczęło wyglądać niczym zrządzenie losu. Matt był zabawny, uroczy, inteligentny i uprzejmy – a do tego zabójczo przystojny.

Wreszcie, kiedy nasze filiżanki z kawą od dawna stały puste, a pracownik kawiarni zaczął wycierać pozostałe stoliki, Matt popatrzył na mnie z przejęciem i spytał, czy może zaprosić mnie na kolację.

Poszliśmy do małej włoskiej knajpy za rogiem, zjedliśmy po wielkiej porcji makaronu domowej roboty i wypiliśmy na spólkę karafkę wina, a na koniec zamówiliśmy deser, na który żadne z nas nie miało już miejsca, ale po prostu nie chcieliśmy się jeszcze rozstawać. Ciągłe znajdowaliśmy nowe tematy do rozmowy.

Rozmawialiśmy aż do zamknięcia restauracji, a potem Matt odprowadził mnie do domu i po drodze wziął mnie za rękę. Nigdy jeszcze nie czułam się tak cudownie, tak lekko, tak radośnie. Na chodniku przed moim mieszkaniem, w tym samym miejscu, gdzie na niego wpadłam, pocałował mnie na dobranoc. I zanim zapadłam w sen, wiedziałam już, że poznałam mężczyznę, którego poślubię.

– Viv.

Mrugam i wspomnienie rozplywa się, ot tak. Słyszę z salonu urywki muzyki z programu o ciężarówkach. Gaworzenie. Zabawę zabawkami, plastik uderzający o plastik.

– Viv, popatrz na mnie.

Teraz widzę strach. Twarz Matta nie jest już pozbawiona wyrazu. Czoło mu się zmarszczyło, pojawiły się na nim bruzdy, jak zawsze, gdy czymś się martwi, tylko głębsze niż kiedykolwiek do tej pory.

Nachyla się nad stołem i nakrywa moją dłoń. Cofam ją i zaciskam ręce na kolanach. Matt wydaje się szczerze przestraszony.

– Ja cię kocham.

W tej chwili nie mogę na niego patrzeć, nie mogę znieść tego napięcia w jego oczach. Spuszczam wzrok na stół. Widzę na blacie ślad po czerwonym flamastrze, nieduży. Nie mogę oderwać od niego oczu. To kreska po jakimś zadaniu na plastykę, wsiąkła na stałe w drewno. Czemu nigdy dotąd jej nie zauważyłam?

– Viv, to nie ma żadnego wpływu na to, co do ciebie czuję, przysięgam na Boga. Ty i dzieci jesteście dla mnie wszystkim.

Dzieci. O Boże, dzieci. Co ja im powiem? Podnoszę głowę, spoglądam na



salon, choć i tak nie widzę stąd maluchów. Słyszę, jak bliźniaki się bawią. Starsza dwójka siedzi cicho, na pewno pochłonął ich program.

– Kim ty jesteś? – pytam. Nie zamierzałam szeptać, ale nie potrafię mówić głośniej. Jakbym nie mogła zmusić głosu do posłuszeństwa.

– Viv, to ja. Przysięgam na Boga. Przecież mnie znasz.

– Kim ty jesteś? – pytam znowu i głos zaczyna mi się łamać.

Matt patrzy na mnie oczami wielkimi jak spodki, ze zmarszczonym czołem. Ja też wpatruję się w niego, staram się odczytać wyraz jego twarzy, ale nie jestem pewna, czy to potrafię. Czy kiedykolwiek to potrafiłam?

– Urodziłem się w Wołgogradzie – mówi Matt cicho, spokojnym tonem. – Nazywałem się Aleksander Lenkow.

*Aleksander Lenkow.* To nie może być prawda. To musi być jakiś sen. Albo film, powieść. Nie moje życie. Znowu skupiam się na stole. Widzę konstelację malutkich wgłębień w miejscu, gdzie jedno z dzieci wcisnęło w blat widelec.

– Moi rodzice nazywali się Michaił i Natalia.

*Michaił i Natalia.* A nie Gary i Barb. Moi teściowie, ludzie, których moje dzieci nazywają dziadkiem i babcią. Patrzę na wgłębienia w blacie, te maleńkie kratery.

– Zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem trzynaście lat. Nie miałem innych krewnych. Zajął się mną opieka społeczna i kilka miesięcy później zabrano mnie do Moskwy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co się dzieje, ale umieszczono mnie w programie szkoleniowym wywiadu.

Czuję przelotne współczucie na myśl o nim jako o przerażonym, osieroconym chłopcu, ale szybko tłumi je wszechogarniające poczucie zdrady. Zaciskam ręce jeszcze mocniej.

– Przez dwa lata znajdowałem się w anglojęzycznym otoczeniu. Kiedy skończyłem piętnaście lat, oficjalnie przyjęto mnie do programu. Dano mi nową tożsamość.

– Jako Matthew Miller – mówię znowu szeptem.

Matt kiwa głową, po czym nachyla się bliżej i wbija we mnie spojrzenie.

– Viv, ja nie miałem wyboru.

Spuszczam wzrok na pierścionki na lewej dłoni. Przypominam sobie nasze pierwsze rozmowy. Odkrycia, ile mamy ze sobą wspólnego. To było tak rzeczywiste. Ale wszystko zostało zmyślane. Matt stworzył sobie dzieciństwo, które nigdy nie istniało.

Nagle wszystko jest kłamstwem. Moje życie to kłamstwo.

– Miałem fałszywą tożsamość, ale cała reszta była prawdą – mówi Matt, niemal jakby czytał mi w myślach. – Moje uczucia są prawdziwe. Przysięgam ci to.

Brylant na mojej lewej dłoni iskrzy się w świetle; spoglądam na jego załamania, jedno po drugim. Niejasno zdaję sobie sprawę z odgłosów dochodzących z salonu. Nowe dźwięki, głośniejsze. Luke i Ella się kłócą. Podnoszę głowę, odrywając wzrok od pierścionka. Matt patrzy na mnie, ale głowę ma przechyloną akurat na tyle, bym wiedziała, że też się przysłuchuje.

– Hej, wy tam, dość tych kłótni! – woła, nie odrywając ode mnie spojrzenia.

Patrzemy na siebie, nasłuchując głosów dzieci. Sprzeczka przybiera na sile i wreszcie Matt odsuwa się od stołu i idzie rozsądzić konflikt. Słyszę urywki rozmowy, Luke i Ella próbują przekonać Matta każde do swoich racji, a on namawia ich do kompromisu. W głowie lekko mi się kręci. Może to wino.

Matt wraca z Calebem na rękach i siada. Caleb szczyrzy się do mnie i wsadza sobie do buzi obślinioną piąstkę. Nie umiem zmusić się do uśmiechu, więc tylko patrzę na męża.

– Kim jest prawdziwy Matt Miller? – pytam. Myślę o akcie urodzenia, schowanym głęboko w naszym niepalnym sejfie. Karta z ubezpieczeniem, paszport.

– Nie wiem.

– A Barb i Gary? – pytam. Wyobrażam ich sobie. Matczyna kobieta w pastelowych topach, które przypominały mi ubrania mojej babci. Mężczyzna z brzuchem wylewającym się za pasek, z koszulą porządnie wetkniętą w spodnie, w białych skarpetkach.

– To inni tacy jak ja – mówi Matt.

Chase zaczyna płakać, odrywając nas od rozmowy, co sprawia mi dziwną ulgę. Wstaję od stołu i przechodzę do salonu. Chase jest na podłodze przy kanapie, na której siedzą Luke z Ellą. Widzę fragment niebieskiej piłeczki, która zaklinowała się pod spodem. Sięgam po nią, po czym podnoszę Chase'a. Już prawie się uspokoił, popłakuje tylko, ściskając mocno piłkę.

W moich myślach panuje zamęt. Jak mogłam tak łatwo dać się nabrać? Zwłaszcza w kwestii Barb i Gary'ego? Przecież powinnam była się

zorientować. Poznałam ich dopiero na ślubie. Tylko raz odwiedziliśmy ich w Seattle, oni także do nas nie przyjeżdżają. Były oczywiście różne powody. Powody, które wtedy wydawały się sensowne, a teraz sprawiają wrażenie wysiłonych. Barb boi się latania. Mieliśmy za krótki urlop. Urodziło nam się jedno dziecko za drugim, a komu chciałoby się latać na drugą stronę Stanów z krzyczącymi maluchami?

Miałam z tego powodu wyrzuty sumienia. Moich rodziców widywaliśmy ciągle, jego – prawie nigdy. Raz nawet go za to przeprosiłam. „Tak już się czasem układa” – odparł z uśmiechem. Owszem, uśmiech był nieco smutny, ale Matt nigdy nie sprawiał wrażenia, jakby ta sytuacja szczególnie mu ciążyła. Sugerowałam, że moglibyśmy urządzać sobie rozmowy na czacie, ale Barb i Gary nie znali się na nowych technologiach i wystarczały im telefony co kilka tygodni. Mattowi chyba też.

A ja nigdy nie naciskałam. Czyżby dlatego, że w głębi serca się z tego cieszyłam? Cieszyłam się, że nie musieliśmy jeździć do nich co drugie Boże Narodzenie, że nie trzeba było regularnie nadszarpywać budżetu, żeby przedostać się z całą rodziną na drugi koniec kraju, i że teściowie nie wtykali nosa w nasze życie? Może nawet czułam ulgę, że Matt nie musiał dzielić swojej uwagi. Mógł się całkowicie skupić na mnie i na dzieciach.

Wracam do kuchni i siadam przy stole z Chasem na kolanach.

– A ci wszyscy ludzie na weselu?

Było tam co najmniej kilkudziesięciu krewnych Matta. Ciotki, wujkowie, kuzyni.

– To samo.

Nieemożliwe. Kręcę głową, jakby to mogło pomóc mi ułożyć te chaotyczne fakty w coś na kształt porządku. Coś, co będzie miało sens. Poznałam ponad dwudziestu pięciu uśpionych rosyjskich agentów. Ilu ich w końcu jest? O wiele więcej, niż myśleliśmy.

*Dmitrij Dyndałka.* Nagle myślę tylko o nim. Mówił, że w Stanach są dziesiątki komórek szpiegowskich. Powiedział nam całą masę rzeczy, które wydawały się nonsensem, byliśmy przekonani, że próbuje nas naprowadzić na fałszywy trop. Mówił, że łącznicy zawsze noszą przy sobie informacje o tożsamości szpiegów, podczas gdy my wiedzieliśmy, że są one przetrzymywane elektronicznie. Jego klucz do deszyfrowania wiadomości nie zgadzał się z tym, który mieliśmy z innych źródeł. I wszystkie te niestworzone historie. Że szpiechy infiltrowały rząd, że wspinają się coraz wyżej po szczeblach władzy. Że w Stanach są dziesiątki siatek agentów,

podczas gdy my sądziliśmy, że jest ich co najwyżej kilka.

Więc to ostatnie nie było jednak aż tak wyssane z palca. I nagle dociera do mnie coś innego.

– Ty jesteś szpiegiem – mówię cicho. Tak dalece skupiłam się na jego kłamstwie, na fakcie, że Matt nie jest tym, za kogo się podawał, że nie do końca dotarł do mnie oczywisty wniosek.

– Wcale tego nie chcę. Niczego nie pragnę bardziej, jak naprawdę być Mattem Millerem z Seattle. Uwolnić się od nich.

Czuję na piersiach ołowiany ciężar, trudno mi oddychać.

– Ale jestem w pułapce. – Matt wydaje się taki szczery, taki biedny. Oczywiście, że jest w pułapce. Przecież nie może tego tak po prostu rzucić. Za dużo w niego zainwestowali.

Chase wierci się na moich kolanach, próbuje się wyrwać. Stawiam go na podłodze, a on odchodzi na czworakach, wydając z siebie radosne, wysokie pokrzykiwania.

– Okłamywałeś mnie.

– Nie miałem wyboru. Ty powinnaś to rozumieć najlepiej...

– Ani mi się waż – przerywam, bo wiem, co zamierza powiedzieć.

Przypominam sobie, jak siedzieliśmy przed laty przy małym stoliku w kącie kawiarni nad wielkimi filiżankami kawy.

– Czym się zajmujesz? – zapytał wtedy Matt.

– Właśnie skończyłam studia magisterskie – odpowiedziałam z nadzieją, że to wystarczy, choć wiedziałam, że nie.

– Znalazłaś już jakąś pracę?

Kiwnęłam głową. Napiłam się kawy. Grałam na czas.

– Więc gdzie? – naciskał Matt.

Spuściłam wzrok na swoją filiżankę, na kłębki pary, które się z niej unosiły.

– W konsultingu. To mała firma – powiedziałam. Kłamstwo smakowało gorzko. Ale Matt był wtedy obcym człowiekiem i nie mogłam mu powiedzieć, że zatrudniła mnie CIA.

– A ty? – spytałam i na szczęście rozmowa przeszła na temat programowania.

– To zupełnie nie to samo – mówię teraz. – Miałaś dziesięć lat, żeby mi powiedzieć. Dziesięć lat!

– Wiem – przyznaje ze wstydem Matt.

Teraz i Caleb zaczyna się wiercić. Kręci się i uśmiecha do mnie. Na

pewno dziwi się, czemu nie odpowiadam uśmiechem. Wyciąga do mnie rączki i Matt podaje mi go nad stołem. Caleb mości się na moich kolanach, teraz już spokojny.

– Ty też robisz takie rzeczy? Udajesz czasem czyjegoś krewnego? – pytam. Nie wiem, dlaczego to ma znaczenie. Dlaczego właśnie to chcę wiedzieć.

Matt kręci głową.

– Nie pozwoliliby mi na takie ryzyko.

No tak. W końcu jest cenniejszy niż reszta. Bo ożenił się ze mną. A ja pracuję w CIA.

Chryste, dzięki niemu Rosjanie wygrali prawdziwy los na loterii. Ależ się muszą cieszyć! Niezły fart, agent żonaty z analityczką kontrwywiadu CIA.

I nagle przeszywa mnie zimny dreszcz, czuję się jak porażona prądem.

Przypominam sobie pewien moment, to było kilka tygodni po tym, jak się poznaliśmy. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy rozkładanym stoliku w kącie mojej kawalerki, jedząc pizzę z papierowych talerzyków.

– Nie byłam z tobą do końca szczerą – powiedziałam, wykręcając sobie ręce. Martwiłam się, jak Matt zareaguje na wieść, że nie powiedziałam mu prawdy, ale czułam też ulgę, że to już koniec kłamstw, że teraz już nigdy nie będę musiała go oszukiwać. – Pracuję dla CIA.

Doskonale pamiętam wyraz jego twarzy. Z początku się nie zmienił, jakby ta informacja wcale go nie zaskoczyła. Potem w jego oczach pojawił się jakiś błysk i pomyślałam, że Matt po prostu potrzebował sekundy, aby przyswoić moje słowa.

Ale to nieprawda. Wiedział od początku.

Coś ściska mnie w piersiach. Zamykam oczy i widzę siebie w uczelnianym audytorium, widzę prezentację werbunkową CIA. Przypominam sobie myśl, że temu właśnie mogłabym poświęcić życie, że mogłabym zmieniać świat, służyć swojemu krajowi, przynieść chlubę rodzinie. Czas przewija się do przodu, przez proces aplikacji i weryfikacji, kolejne ewaluacje. Minał rok i już prawie straciłam nadzieję. Aż nagle któregoś dnia dostałam list z rządowym adresem zwrotnym. Zwykły biały papier bez nagłówka. Tylko data rozpoczęcia, pensja, wskazówki. I wydział, do którego mnie przydzielono: Centrum Kontrwywiadu.

To było dwa tygodnie przed tym, jak przeniosłam się do Waszyngtonu. I poznałam Matta.

Zaczyna mi brakować tchu. W swojej głowie przenoszę się z powrotem

do tamtej kawiarni, siedzę w tamtym kącie i na nowo przeżywam naszą pierwszą rozmowę, podczas której odkryliśmy, ile nas łączy. Matt nie improwizował, nie tworzył sobie postaci na podstawie tego, co mówiłam. To on pierwszy powiedział, że wychował się w katolickiej rodzinie, że jego mama jest nauczycielką i że miał kiedyś golden retrievera. Powiedział to wszystko, bo znał już moją przeszłość.

Podnoszę rękę do ust i niejasno zdaję sobie sprawę, że palce mi się trzęsą.

Rosjanom wcale się nie poszczęściło. Okazali się bardzo dalekowzroczni. Nic nie było dziełem przypadku, wszystko zostało ukartowane. To wcale nie był zbieg okoliczności.

Matt miał za zadanie mnie uwieść.

## Rozdział 4

Matt znowu się nachyla i zmarszczki na jego czole robią się głębsze, a oczy otwierają się szerzej. Jestem przekonana, że wie, o czym myślę, widzi, że dotarła do mnie prawda.

– Przysięgam, że wszystko, co czuję do ciebie i do dzieci, jest prawdziwe. Przysięgam na Boga, Viv.

Miałam szkolenie z wykrywania kłamstw i Matt nie zdradza żadnych symptomów, że mnie oszukuje. Mówi szczerze.

Ale przecież sam na pewno przeszedł identyczne szkolenie. I to porządniejsze niż ja. Na pewno nauczyliby go dobrze kłamać.

Czy nie robi tego od dwudziestu dwóch lat?

Caleb przeżuwa mój palec, malutkie ostre ząbki wrzynają mi się w skórę. Nie cofam ręki. Ten ból sprawia mi dziwną przyjemność, bo to jedyna rzecz, która wydaje mi się w tej chwili rzeczywista.

– Tamtego dnia, kiedy się poznaliśmy... – zaczynam. I nie mogę dokończyć. Nie mogę się zmusić, żeby to powiedzieć, żeby spytać o to, co w głębi serca już wiem. To zbyt wiele.

Upływa chwila, zanim Matt odpowiada:

– Obserwowałem cię cały ranek. Kiedy zobaczyłem, jak niesiesz tamto pudło, stanąłem ci na drodze.

Gdy to mówi, na jego twarzy odmalowuje się poczucie winy. W każdym razie takie mam wrażenie.

Myślę o tym, ile razy opowiadałam historię naszego pierwszego spotkania. Ile razy on ją opowiadał. Oboje śmialiśmy się w odpowiednich miejscach i przerywaliśmy, żeby dodać coś od siebie.

To wszystko było kłamstwem.

– Kazano mi się do ciebie zbliżyć – mówi Matt i oddech więźnie mi w gardle. Fakt, że to powiedział... To dowód, że rozmawia ze mną otwarcie. Na pewno. Ale pewnie myślę tak tylko dlatego, że jestem jego żoną. Analityczka kontrwywiadu w mojej głowie powtarza mi to, co już wiem. To najbardziej podstawowa sztuczka, dzięki temu sprawia się wrażenie większej prawdziwości.

– Ale potem się w tobie zakochałem – mówi Matt. – Bardzo, bardzo się

w tobie zakochałem.

Wygląda, jakby mówił szczerze. No i oczywiście, że mnie kocha. Nie spędza się dziesięciu lat w małżeństwie z osobą, do której nic się nie czuje. Kręcę głową. Sama już nie wiem, w co wierzyć. A myśl, że może tak naprawdę Matt wcale mnie *nie* kocha, to więcej, niż potrafię do siebie dopuścić.

– Z początku nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia, jakie miałem szczęście. Dopiero o wiele później zdałem sobie sprawę, jakie to okropne, że cały nasz związek jest oparty na kłamstwie. I to takim, którego nie mogę ci wyznać, bo jeśli to zrobię, wszystko legnie w gruzach...

Naraz przerywa i skupia uwagę na jakimś punkcie za mną. Odwracam się i widzę Luke'a, który stoi w milczeniu przy drzwiach. Zastanawiam się, ile czasu tam czekał. Co usłyszał. Wodzi wzrokiem od Matta do mnie, jego oczy są poważne, tak bardzo przypomina mi w tej chwili swojego ojca.

– Kłóćcie się? – pyta cicho.

– Nie, kochanie – mówię. I serce mi pęka ze współczucia, choć umysł nie do końca pojmuje dlaczego. – Po prostu rozmawiamy o dorosłych sprawach.

Luke nic nie mówi, tylko się nam przygląda, i po raz pierwszy dociera do mnie, że nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy, nie umiem powiedzieć, o czym myśli. To nieodrodny syn Matta, zawsze nim pozostanie. Może nigdy się nie dowiem, o czym myśli i czy mówi prawdę. Ogarnia mnie straszliwe poczucie, że całe życie przecieka mi przez palce, a ja nie potrafię tego powstrzymać.

– Tato, pójdziemy porzucać piłkę? – pyta Luke.

– Nie teraz, młody. Rozmawiam z mamą.

– Przecież obiecałeś.

– Synku, jestem...

– Idź – przerywam mu. Tego właśnie teraz potrzebuję. Żeby sobie poszedł. Żeby mogła się zastanowić. Wbijam w Matta spokojne spojrzenie, po czym dodaję ciszej: – Przecież nie chciałbyś, żeby wyszło na to, że go *okłamałeś*.

Na jego twarzy pojawia się wyraz, jakbym go zraniła. Ale przecież o to mi właśnie chodziło. Niech się czuje zraniony. To nic w porównaniu z tym, przez co ja przechodzę.

I dalej wpatruję się w niego bez mrugnięcia okiem. Nagle ogarnia mnie wściekłość. Straszliwa wściekłość. Matt zawiódł moje zaufanie. Okłamywał



mnie, i to przez całe dziesięć lat.

Patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymuje. Na jego twarzy wciąż widać urazę. Wstaje bez słowa, okrąża stół i zatrzymuje się przy moim krześle. Ja nadal wpatruję się przed siebie, teraz już tylko w ścianę. Matt waha się, po czym kładzie mi rękę na ramieniu. Pod wpływem jego dotyku przeszywa mnie dreszcz.

– Jeszcze o tym porozmawiamy – mówi. Stoi tak przez chwilę, po czym opuszcza rękę i wychodzi za Lukiem z kuchni. Ja pozostaję przy stole, wpatruję się przed siebie i nasłuchuję, jak wkładają kurtki, biorą rękawice i kij do bejsbola, wychodzą na dwór. Czekam, aż drzwi się za nimi zamykają, po czym wstaję, przesuwam Caleba na biodro i podchodzę do zlewu. Obserwuję ich przez okno. Ojciec i syn – podają sobie nawzajem piłeczkę, a wokół nich zapada zmierzch. Idealny obrazek amerykańskiego życia. Ale jeden z nich nie jest prawdziwym Amerykaninem.

I nagle coś do mnie dociera, uderza z taką siłą, że muszę się chwycić zlewu, żeby nie upaść. Tu nie chodzi jedynie o zawiedzione zaufanie. To nie jest coś, co możemy rozwiązać dzięki kłótni albo rozmowie. Tego się nie da rozwiązać, koniec i kropka. Muszę na niego donieść. To rosyjski szpieg i muszę powiadomić o nim władze. Mój gniew wyparowuje, przeradza się w rozpacz.

Przenoszę spojrzenie na telefon, który leży na kuchennym blacie. Ten, w którym mam niezliczone wiadomości od Matta i zdjęcia naszej rodziny, naszego wspólnego życia. Powinnam go podnieść. Powinnam dzwonić w tej chwili do wydziału bezpieczeństwa. Do FBI. Do Omara.

Znowu wyglądam na dwór. Matt uśmiecha się do Luke'a, wolno odchyła ramię do tyłu i wypuszcza piłkę. Jest rozluźniony i swobodny. Ale coś jest nie tak, wszystko jest nie tak, bo zwykły agent by uciekł. Wsiadłby w samolot powrotny do Rosji, zanim władze zdołają go powstrzymać.

Lecz Matt nie ucieka. Nigdzie się nie wybiera.

Caleb ziewa i przesuwam go tak, żeby mógł złożyć główkę na mojej piersi. Przytula się do mnie i znowu ziewa leciutko.

Dalej obserwuję Matta przez okno. Patrzę, jak pokazuje Luke'owi, jak trzymać nogi, żeby pozostały luźne i sprężyste, jak odchylić ramię w odpowiedni sposób. Wygląda zupełnie normalnie.

Wreszcie spogląda na dom, na okno kuchenne, prosto na mnie, jakby wiedział, że tam stoję. Patrzę mu w oczy i nie odrywam wzroku, aż wreszcie sam się odwraca, skupia się z powrotem na grze. Znowu zerkam

na komórkę. Matt wie, że jestem tu sama z telefonem. Agent by do tego nie dopuścił. Agent starałby się zapewnić sobie bezpieczeństwo. Kolejny dowód, że Matt to naprawdę Matt. Mój mąż, człowiek, którego kocham. Ktoś, kto nigdy by nie uciekł.

„Jeszcze o tym porozmawiamy”. Jego słowa dźwięczą mi w uszach. Tego właśnie mi trzeba. Muszę usłyszeć, co ma do powiedzenia. A potem muszę na niego donieść.

Odwracam się od telefonu. Nie mogę zadzwonić. Jeszcze nie. Najpierw musimy porozmawiać.

A on o tym wie.

W mojej głowie pojawia się nieproszona myśl. Matt mnie zna. Zna mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Co, jeśli nie ucieka, bo wie, że nie wykonam tego telefonu, że na niego nie doniosę?

Jestem jak odrętwiała. To nie może się dziać naprawdę.

Kręcę głową i wychodzę z kuchni, byle dalej od okna, byle dalej od telefonu. Przechodzę do salonu. Ella siedzi na kanapie z kolorowanką, po poduszkach walają się kredki. Odstawiam Caleba na podłogę, przy jego zabawkach, i padam na sofę obok córki. Sprawdzam dłonią jej czoło, jest teraz cieplejsze. Ella odsuwa moją rękę, ale ja ją obejmuję.

– Mamo, przestań. – Odpycha mnie bez przekonania, wreszcie poddaje się i ulega z kredką uniesioną w powietrzu.

Całuję ją w czubek głowy, we włosy pachnące dziecięcym szamponem. W moim umyśle dźwięczą jej wcześniejsze słowa. „A gdzie tata?”. I inne zdanie, którego nigdy nie wypowiedziała, ale i tak wyobrażam sobie, jak to robi. „Dlaczego tata odszedł?”.

Caleb bawi się na podłodze, rytmicznie uderza wieczkiem o podstawę pudełka z klockami do rozpoznawania kształtów. Chase podpełzł bliżej i gryzie teraz jeden ze swoich kubeczków do ustawiania. Są za mali, by to zapamiętać. Tę normalność naszego obecnego życia. Przyglądam się kolorującej Elli, która mocno ściska grube kredki, a na twarzy ma wyraz zaciętej koncentracji, i czuję piekące w oczach łzy. Boże, jakże bym chciała ich wszystkich przed tym uchronić.

Słyszę tylne drzwi oraz głosy Matta i Luke’a, którzy rozmawiają o Małej Lidze. W tym roku Matt będzie jej trenerem. *Miał* być. Wstaję, zanim oczy zaczną mi jeszcze bardziej łzawić.

– Cześć – mówi do mnie Matt, kiedy wchodzi do pokoju. Waha się, jest niepewny.

– Pójdę wykąpać bliźniaki – odpowiadam, nie patrząc na niego. Podnoszę chłopców, po jednym w każdej ręce, i odwracam się plecami. Zanoszę ich do łazienki, odkręcam kran, wlewam kubeczek płynu, żeby zrobić pianę, i napełniam wodę, a sama zdejmuję z bliźniaków warstwy ubrań i pieluchy. Wkładam do wanny Chase’a, potem Caleba, w zamyśleniu przesuwam gąbką po ich miękkiej skórze, grubutkich udach i pupach, pulchnych policzkach i brodach. Mam wrażenie, jakby jeszcze wczoraj byli maleńkimi noworodkami, wcześniakami, które woziliśmy do lekarza na ważenie. Jak ten czas leci...

Z salonu napływa głos Matta. Czyta jakąś bajkę. Wiem, że sama czytałam ją dzieciom, ale teraz nie mogę jej sobie przypomnieć. Słyszę chichot Elli.

Kucam na piętach i patrzę, jak bliźniaki bawią się w wodzie. Chase łapie za krawędź wanny, podciąga się i śmieje, zadowolony z siebie, podczas gdy Caleb siedzi spokojnie, oczarowany pluskiem, który wydają jego rączki, uderzając raz po raz w wodę. Kąpiemy ich tylko wtedy, kiedy oboje jesteśmy w domu. Wtedy jedno z nas może się zająć maluchami, a drugie – starszymi dziećmi. Bez Matta byłoby o wiele trudniej.

Wszystko byłoby o wiele trudniejsze.

Wycieram bliźniaki ręcznikiem i przebieram w piżamy. Słyszę, jak Matt w sąsiednim pokoju szykuje Ellę do snu.

– A moja kąpiel? – pyta Ella.

– Dzisiaj nie będzie kąpeli, księżniczko – mówi Matt.

– Ale ja chcę się wykąpać.

Czy kiedykolwiek chciała się kąpać?

– Jutro wieczorem – mówi Matt.

Jutro wieczorem. Czy jutro wieczorem jeszcze tu będzie? Nie wiem, jak w pojedynkę poradzę sobie z kąpielą dzieci, jak mam zająć czymś bliźniaki, kiedy będę myła Ellę, jak mam położyć ich wszystkich do łóżek bez niczyjej pomocy. Ta myśl wydaje mi się przytłaczająca.

Wkładam Caleba do jednego łóżeczka, Chase’a do drugiego, całuję obu w policzki, wdycham ich wspaniały zapach. Włączam nocną lampkę i wyłączam górne światło, wreszcie przechodzę do pokoju Elli, tego, który miał być w motywy słoneczne. Snułam wielkie plany, żeby namalować coś na ścianie, pomalować wiatrak na suficie, takie tam. A potem musiałam dłużej zostawać w pracy. Teraz pokój jest zwyczajnie żółty. Żółte, nagie ściany, żółty, szmaciany dywanik. Więcej nie zdołałam zrobić.

Ella leży już w podwójnym łóżku. Matt siedzi przy niej z książką

odchyloną tak, by mogli razem oglądać ilustracje. To bajka o księżniczce, która jest jednocześnie strażakiem. Ella od półtora tygodnia nie chce do snu żadnej innej historii.

Odwraca się, żeby spojrzeć na mnie rozespanymi oczami. Uśmiecham się i staję w drzwiach, przyglądając się im obojgu. Matt jak zwykle naśladuje różne postacie, a Ella śmieje się tym swoim wysokim, rozchichotanym głosikiem. Wszystko jest aż do bólu normalne. Ona nie ma o niczym pojęcia. Nie wie, że wszystko już wkrótce się zmieni.

Matt kończy czytanie, całuje Ellę na dobranoc i podnosi się, rzucając mi przeciągłe spojrzenie. Podchodzę do łóżka i klękam. Całuję córeczkę w czoło, tak ciepło pod moimi wargami.

– Słodkich snów, kochanie.

Jej rączki owijają się mocno wokół mojej szyi.

– Kocham cię, mamusiu.

„Mamusiu”. Czuję, że zaraz się rozplnę, jakby miały się ze mnie wylać wszystkie emocje, które z takim trudem powstrzymywałam.

– Ja ciebie też kocham, skarbie.

Wyłączam światło i wychodzę na korytarz. Matt stoi pod drzwiami do pokoju Luke’a.

– Dałem mu dodatkowe pół godziny na czytanie, jeśli szybko się położy – mówi cicho. – Pomyślałem, że będziemy mogli w tym czasie porozmawiać.

Kiwam głową i wymijam go, po czym wchodzę do pokoju syna; wszystko jest tu niebieskie i związane z bejsbolem albo piłką nożną. Luke siedzi w łóżku, a obok niego leży sterta książek. Wygląda w tej chwili tak dorośle. Całuję go w czubek głowy i znowu czuję, jak coś ściska mnie w dołku. Jemu będzie najtrudniej. Z całej czwórki on zniesie to najgorzej.

Wracam do salonu. W domu panuje ta dziwna cisza, która zapada, kiedy chaos tak szybko zmienia się w spokój. Matt jest w kuchni, zmywa naczynia w zlewie. Ja biorę się do sprzątnięcia, odkładam do kosza porzucane kolorowe zabawki z plastiku, kawałek po kawałku rozbieram drewniane tory kolejowego zestawu Elli. Teraz jesteśmy sami, tylko we dwoje. Możemy porozmawiać.

Ale jakie to ma znaczenie? Muszę na niego donieść, nieważne, co powie. W głębi serca to wiem. Ale jakaś część mnie w to nie wierzy. Myśli, że jest z tego jakieś wyjście.

Patrę na Matta, który wciąż stoi przy zlewie i wyciera w tej chwili rondel. Przerywam składanie torów i przysiadam na piętach. Dociera do

mnie, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Jakie informacje im przekazujesz? – pytam wreszcie.

Jego ręce nieruchomieją i Matt podnosi głowę.

– Nic cennego. Szczegóły. Czy stresujesz się w pracy, czy jesteś zadowolona. Zwykle drobiazgi.

– Na pewno mówisz im coś więcej. – Próbuję sobie przypomnieć, co takiego mogłam, a nie powinnam mu powiedzieć przez te wszystkie lata, i moje myśli zatrzymują się na kolegach z pracy. Czuję ciężar osiadający na piersiach. – O Boże. Marta. Trey. To przez ciebie próbowano ich zwerbować. Przez *nas*.

Na jego twarzy pojawia się zaskoczenie, a potem wyraz niezrozumienia.

– Skądże.

Panicznie zastanawiam się nad tym, co mu mówiłam. Że Marta zawsze jako pierwsza wyskakuje z pomysłem roboczych drinków, które sprowadzają się do tego, że tuzin skrępowanych ludzi siedzi przez pół godziny w sali konferencyjnej z torebkami czipsów, talerzem ciasteczek i winem. Że Marta zazwyczaj przynosi dwie butelki i zawsze na koniec dnia są puste, choć połowa osób w biurze nie pije i ona jako jedyna bierze dolewki do plastikowego kubeczka. No i ta butelka whisky w jej dolnej szufladzie – o tym też mu powiedziałam, kiedy zobaczyłam, jak Marta dolewa sobie do kawy.

No i Trey. Przypominam sobie niewyraźnie pewną rozmowę sprzed wielu laty.

– Nazywa Sebastiana swoim „współlokatorem” – powiedziałam Mattowi, robiąc palcami cudzysłowy i przewracając oczami. – Czemu zwyczajnie się nie przyzna? Przecież i tak nikogo to nie obchodzi.

– To wszystko były prywatne sprawy – szepczę teraz, czując przytłaczające poczucie zdrady.

– Viv, przysięgam. Nawet im o tym nie pisałem.

– Oboje wzięto na celownik, Matt. Mam uwierzyć, że to był zwykły przypadek?

– Słuchaj, nic o tym nie wiem. Ale przyrzekam ci, że nikomu nic o tym nie mówiłem.

Wlepiam w niego spojrzenie. Matt wydaje się mówić szczerze. Ale sama już nie wiem, w co mam wierzyć. Kręcę głową, spuszczam wzrok z powrotem na tory, dalej rozbieram je na części. Słyszę, że Matt wraca do wycierania naczyń, odkłada je do odpowiednich szafek.

Przez kilka minut panuje cisza, aż w końcu Matt znowu się odzywa.

– Mówię prawdę, Viv. Nie powiedziałem im nic, co mogłoby się przydać, i chyba wcale im to nie przeszkadza. Pewnie uznali, że i tak odniosłem już sukces.

– Bo się ze mną ożeniłeś.

– Owszem. – Wydaje się skrepowany.

Wrzucam ostatnie segmenty torów do pudła i nakrywam je wiekiem, a potem odsuwam pod ścianę. Tak właśnie urządzony jest nasz salon. Przezroczyste pudła na zabawki dosunięte do ściany.

– Czy jesteś lojalny wobec... Rosji?

Jak dziwnie brzmią te słowa w moich ustach.

– Jestem lojalny wobec ciebie.

Myślę o amerykańskiej fladze, która wisi przed domem, o paradach na Czwartego Lipca, zimnych ogniach. O Matcie zdejmującym czapkę i z ręką na sercu śpiewającym bezgłośnie hymn podczas meczów bejsbola. O tym, jak kiedyś powiedział Luke'owi, jakie mamy szczęście, że żyjemy w najlepszym kraju na świecie.

– Rosja czy Ameryka?

– Ameryka. Oczywiście, że Ameryka. Viv, przecież mnie znasz. Wiesz, w co wierzę.

– Czyżby?

– Byłem tylko dzieckiem. Sierotą. Nie miałem wyboru.

– Zawsze jest jakiś wybór.

– Nie w Rosji.

Milknę.

– Ale kiedyś im służyłeś.

– Jasne. Na początku wierzyłem w to, co robię. Byłem w końcu Rosjaninem, a oni zrobili mi pranie mózgu. Ale kiedy zacząłem tu mieszkać... zobaczyłem prawdę...

Zauważam dziecięcy plastikowy kubek z wieczkiem wsunięty za zabawkową kuchnię i wyciągam po niego rękę.

– Czemu mi nie powiedziałeś?

– Niby jak?

– Miałeś na to dziesięć lat. Przez dziesięć lat codziennie miałeś masę okazji. „Viv, muszę ci coś powiedzieć”. I mówisz.

Matt podchodzi bliżej, przysiada na podłokietniku sofy. Ścierkę ma przerzuconą przez ramię.

– Chciałem. Boże, Viv, naprawdę sądzisz, że nie chciałem ci powiedzieć? Tyle razy już prawie to zrobiłem. Ale co wtedy? Wtedy zobaczyłbym ten wyraz w twoich oczach, ten sam, który widzę w tej chwili. Poczucie zdrady, niewiarygodnego bólu. Nie chciałem na to patrzeć. No i się bałem. Co byś zrobiła? Zabrała dzieciaki i uciekła? Nie mogłem cię stracić. Nie mogłem stracić dzieci. Ty i one... – Głos mu się załamuje. – Jesteście dla mnie wszystkim. Wszystkim.

Nic nie mówię. Wreszcie Matt znowu się odzywa.

– Kocham cię, Vivian.

Patrzę na niego, na jego twarz, która wydaje się taka szczera, i przenoszę się w myślach dziesięć lat wstecz. Minał wtedy miesiąc, od kiedy się poznaliśmy. Miesiąc, w trakcie którego widywaliśmy się prawie codziennie. Matt odprowadzał mnie po zmroku do domu; widzę nas na ulicy pod moim mieszkaniem, drzewa po obu stronach szeleściły na wietrze, latarnie rzucały łagodne światło. Jego ramię spoczywało na mojej talii, szliśmy wolno, dopasowanym krokiem. Matt właśnie roześmiał się z czegoś, co powiedziałam, a czego od dawna już nie pamiętam.

– Kocham cię, Viv – powiedział i zamilkł.

Oboje zamilkliśmy. Wszystko nagle znieruchomiało. Zobaczyłam zakradający się na jego policzki rumieniec. Nie zamierzał tego mówić. Po prostu mu się wymknęło i dzięki temu jego słowa nabrały jeszcze większej wartości, bo nie były obmyślane, powiedział je szczerze pod wpływem chwili. Byłam pewna, że spróbuje się z tego wycofać. „Kocham twoje żarty, Viv. Kocham spędzać z tobą czas”. Coś w tym stylu. Ale on tego nie zrobił. Zatrzymał się, stanął twarzą do mnie, przyciągnął mnie do siebie.

– Kocham cię, Vivian. Naprawdę.

Spuszczam wzrok. Ściskam dziecienny kubeczek tak mocno, że bieleją mi knykie. Z trudem wyduszam z siebie kolejne słowa.

– Jak mogłeś wciągnąć w to dzieci?

– Bo chciałem mieć z tobą prawdziwe życie. Chciałem dać ci wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłaś.

– Przecież musiałeś wiedzieć, że któregoś dnia...

– Nie – przerywa. Jego głos jest stanowczy. – Nie wiedziałem. Szczerze wierzyłem, że dotrzmam tak do twojej emerytury. I swojej też. A wtedy bym się od nich wyzwolił.

Cichnę. I on cichnie. W całym domu panuje taka cisza, że wytrąca mnie to z równowagi.

– Pozwoliliby mi tu zostać – mówi łagodnie Matt. – To się już zdarzało. Przeżyłbym swoje życie do końca i umarł, i nikt by się o niczym nie dowiedział.

„Bym, bym, bym”. Ten tryb przypuszczający jest jak zgrzyt. Matt wie, że nie możemy po prostu udawać, że to się nie wydarzyło, że nadal nie mam o niczym pojęcia. Wie, że muszę na niego donieść.

Uśmiecha się do mnie słabo.

– Gdybyś tylko nie była tak dobra w tym, co robisz.

Od tych słów robi mi się niedobrze. Gdybym nie upierała się przy swoim algorytmie, nic by się nie wydarzyło. Zanoszę kubeczek do kuchni, odkręcam wieczko, kładę obydwie części na górnej półce zmywarki. Matt obserwuje mnie w milczeniu. Zamykam zmywarę i opieram się o blat.

Matt wchodzi do kuchni i staje za mną. Ostrożnie, jakby nie był pewien, co zrobię, jak zareaguję. Ja też nie jestem tego pewna. Ale się nie ruszam. Pozwalam mu zbliżyć się o krok, położyć ręce na moich ramionach, zsunąć je na biodra i przyciągnąć mnie do siebie. Moje ciało mięknie w znajomych objęciach, a kiedy zaciskam oczy, spod obu powiek wymyka się po jednej łzie.

Znowu przenoszę się myślami na tamtą ulicę pod moim mieszkaniem. Zatopiłam się w pocałunku, przywarłam do Matta, pragnęłam więcej. Weszliśmy pospiesznie do budynku i po schodach. Czułam jego dotyk, widziałam wyraz jego oczu, ten głód, który się w nich czaił. A potem leżeliśmy już razem na wygniecionej pościeli, spleceni ze sobą. Obudziłam się w jego ramionach, patrzyłam, jak otwiera oczy i dociera do niego, że przy nim jestem; na jego twarzy ukazał się powolny uśmiech. To wszystko było prawdziwe. Musiało być.

– I co ja mam teraz zrobić? – mówię cicho. To pytanie retoryczne. Zadaje je swojemu najlepszemu przyjacielowi, temu, do którego zawsze się zwracałam, na którym zawsze polegałam. Mojemu partnerowi. Mojej opoce.

A może to prośba o ratunek. „Wyciągnij mnie z tego. Powiedz, co mam zrobić, żeby to wszystko zniknęło”.

– Możesz zrobić tylko jedno. – Matt wtula głowę między moją szyję a ramię i czuję drapanie jego zarostu. Przeszywa mnie dreszcz. – Musisz im o mnie powiedzieć.



## Rozdział 5

Słowa z początku wydają się nierealne. Przecież powinien starać się mnie od tego odwieść. A zamiast tego zapada cisza, ziejąca dziura w miejsce rozmowy. Czuję się, jakbym wisiała na krawędzi, zaraz wszystko stracę.

I nagle następuje we mnie jakaś przemiana. Jakby przekreślono mi włącznik. Odwracam się twarzą do Matta. Nie odsuwa się, nadal stoi przy mnie tak blisko, że czuję jego zapach, jego ciepło.

– Musi być jakiś inny sposób – mówię. Matt nie powinien godzić się z porażką, poddawać się tak łatwo.

Odstępuje, a ja czuję zimne powietrze napływające tam, gdzie stał. Podchodzi do szafki, wyciąga kieliszek do wina i stawia go obok mojego. Patrzę, starając się zrozumieć, co się dzieje. Matt nalewa wino do obu kieliszków i podaje mi jeden z nich.

– Nie ma.

– Zawsze jest jakieś...

– Nie ma, Viv. Uwierz mi. Wszystko już przemyślałem. – Podnosi wino i pije duży łyk. – Miałem mnóstwo czasu, żeby się nad tym zastanowić. Co zrobić, jeśli ten dzień kiedykolwiek nadejdzie.

Patrzę na swój kieliszek. Nie powinnam pić alkoholu w takiej chwili. Muszę zachować przytomność umysłu. Ale jednocześnie wizja spicia się na umór wydaje się dziwnie atrakcyjna.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – pyta Matt. On już się z tym pogodził. Z jego perspektywy tamta część rozmowy dobiegła końca. Powiedzieć im. Oto co mam zrobić. Matt nie ma planu. Żadnego sposobu, żeby się z tego wykręcić.

Ale dla mnie to jeszcze nie koniec. Ani trochę. Potrząsam uparcie głową i zastanawiam się nad jego pytaniem. Co jeszcze chcę wiedzieć? Chcę wiedzieć, czy jesteś ze mną całkowicie szczery. Czy mogę ci zaufać na sto procent. Czy naprawdę stoimy po tej samej stronie. Podnoszę głowę i patrzę mu w oczy.

– Wszystko.

Kiwa głową, jakby spodziewał się takiej odpowiedzi. Obraca wino w kieliszku, po czym odstawia go i opiera się o kuchenny blat.

– Mam łącznika. Nazywa się Jurij Jakow.  
Moja twarz nie zmienia wyrazu.  
– Opowiedz mi o nim.  
– Kursuje między Rosją a Stanami. Poza nim nie znam nikogo. Przepływ informacji jest bardzo ograniczony...  
– Jak się porozumiewacie?  
– Zostawiamy sobie wiadomości.  
– Gdzie?  
– W dzielnicy Northwest. W naszej starej okolicy.  
– Ale gdzie konkretnie?  
– Znasz ten bank na rogu, z kopułowym dachem? Z boku jest mały placyk z dwiema ławkami. Umawiamy się na tej przodem do drzwi. Wiadomości zostawiamy pod nią, z prawej strony.

Co za szczegółowa informacja. Większość z tego to dla mnie całkowita nowość. I to cenna.

- Jak często się spotykacie?
- Kiedy jeden z nas wyśle wiadomość.
- Ale mniej więcej.
- Raz na dwa lub trzy miesiące.

Dwa lub trzy miesiące? Przetykam ślinę przez ściśnięte gardło. Zawsze sądziliśmy, że łącznicy spędzają większość czasu w Rosji i tylko niekiedy – co rok czy dwa lata – spotykają się ze szpiechami w Stanach lub w jakimś innym kraju. Oficjalnie Jurij zaledwie kilkakrotnie odwiedzał Amerykę, za każdym razem były to krótkie wizyty. To musi oznaczać, że przyjeżdża tu pod przybranym nazwiskiem.

- Jak się informujecie?
- Kreda na ławce. Zupełnie jak w filmach. – Matt uśmiecha się słabo.

Mogłabym naciskać. Mogłabym się dowiedzieć, czy posługują się jakąś specjalną kredą, gdzie dokładnie zostawiają znaki i jak one wyglądają. To by wystarczyło, żeby zwabić Jurija, znaleźć go i aresztować.

Albo też – myśli sobie analityczka CIA – Matt by mnie zmanipulował i zamiast złapać Jurija, zawiadomiłabym go tylko, że Matt został nakryty. A wtedy Jurij zniknąłby na dobre.

Czuję ucisk w gardle.

- Co mu tam zostawiasz? I co od niego odbierasz?
- Zaszyfrowane dyski USB.
- Jak je szyfrujecie?

– W naszym schowku jest skrytka pod deską podłogową. W środku mam komputer.

Odpowiedzi padają szybko, bez śladu fałszu. Próbuję zapomnieć o tym, że w naszym domu ukryty jest rosyjski laptop, i staram się wymyślić kolejne pytanie.

– I nie przekazujesz mu niczego, co ci mówię?

Matt kręci głową.

– Przysięgam, że nie.

– Nigdy nie wspominałeś mu o Marcie ani Treyu?

– Nigdy.

Spuszczam wzrok na swoje wino. Wierzę mu. Naprawdę. Ale nie wiem, czy to wszystko ma sens. Znowu podnoszę głowę.

– Powiedz mi, co wiesz o całym programie szpiegowskim.

– Pewnie mniej niż ty. Wszystko jest hierarchiczne, każda komórka działa niezależnie. Znam wyłącznie Jurija. Nie mam pojęcia, z kim się kontaktuje.

Obracam wino w swoim kieliszku i patrzę, jak trunek przywiera do szkła. Wyobrażam sobie siebie przy swoim biurku, myślę o lukach w posiadanych informacjach, o wszystkim, co zawsze chciałam wiedzieć. Znowu unoszę wzrok.

– Jak nawiązałaśby kontakt z Moskwą? Na przykład gdyby coś się stało Jurijowi. Z kim byś się skontaktowała? I w jaki sposób?

– Nie zrobiłbym tego. Przez cały rok. Mamy ścisły zakaz takich prób. Dla naszego własnego bezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby po stronie SWZ kryły się wtyczki czy coś takiego. Mam po prostu czekać, aż ktoś zastąpi Jurija i się ze mną skontaktuje.

Tego się obawiałam. Odpowiedzi, która dowiedzie, że namierzenie łączników i kierowników komórek jest praktycznie niemożliwe. Ale jedna rzecz, którą powiedział Matt, zwraca moją uwagę. To coś nowego. „Rok”.

– A co się dzieje po upływie roku?

– Wtedy mam się z nimi skontaktować.

– Jak?

– Dali mi adres. Musiałbym pojechać do innego stanu, założyć nowe konto mejlowe... Przygotowali całą procedurę.

To ma sens. Zawsze się zastanawiałam, co by się wydarzyło, gdyby zastępczy łącznik nie zdołał uzyskać dostępu do nazwisk pięciu agentów. A więc to oni sami musieliby nawiązać kontakt.

– Przykro mi, że nie mogę ci więcej powiedzieć. Ale chyba zrobili to celowo. Tak żeby program pozostał nienaruszony, jeśli jeden z agentów zdradzi... – Matt urywa i wzrusza ramionami, na jego twarzy pojawia się wyraz bezradności.

Oczywiście, że zrobili to celowo. Przecież to wiem. Matt powiedział mi tyle, ile można się było spodziewać. Bez wahania, bez śladu kłamstwa.

Dopija resztkę wina i odstawia kieliszek.

– Coś jeszcze?

Widzę na jego twarzy porażkę. Matt wygląda teraz jak człowiek, który nie jest w stanie nic zrobić. A przecież zawsze miał jakieś rozwiązanie. Potrafi wszystko naprawić, rozwiązać każdy problem, wszystkiego dokonać. Kręcę głową.

– Nie wiem.

Rzuca mi przeciągłe spojrzenie, po czym spuszcza oczy i wzrusza ramionami.

– W takim razie prześpijmy się trochę.

Idę za nim do sypialni, nasze kroki rozbrzmiewają na schodach głośniejsz niż zwykle. Myślę o laptopie ukrytym w naszym schowku. Komputer SWZ w moim własnym domu. Komputer, za pomocą którego mój mąż wymienia tajne wiadomości ze swoim rosyjskim łącznikiem.

W sypialni Matt idzie do garderoby. Ja kieruję się w przeciwną stronę, do łazienki. Zamykam drzwi i stoję cicho, wreszcie sama, po czym osuwam się na podłogę i siadam, opierając się plecami o drzwi. Jestem wykończona. Wyczerpana. Załamana. Powinny pojawić się łzy. Emocje, które we mnie narastały, powinny zalać mnie teraz wielką falą. Ale tak się nie dzieje. Po prostu siedzę i mrugam, gapiąc się przed siebie, a w mojej głowie panuje pustka.

Wreszcie zmuszam się, żeby wstać. Myję zęby i twarz, a potem wychodzę, gotowa odstąpić Mattowi ciasną łazienkę, żeby mógł się przygotować do snu. Ale nie zastaję go w sypialni. Nie ma go ani w garderobie, ani w łóżku. Gdzie się podział? Wychodzę na korytarz i wreszcie go dostrzegam. Stoi w drzwiach pokoju Luke'a. Widzę tylko jego profil, ale więcej mi nie potrzeba. Po jego policzkach spływają łzy.

Ten obraz jest dla mnie wstrząsem. Przez dziesięć lat, od kiedy poznałam Matta, nigdy jeszcze nie widziałam, żeby płakał.

Leżymy w łóżku, milcząc. Słucham jego oddechu, równego, ale szybkiego,

wiem, że nie śpi. Znowu mrugam w ciemnościach, a mój umysł stara się przetworzyć myśli na słowa. Musi istnieć jakieś inne rozwiązanie poza poinformowaniem CIA.

Przetaczam się na bok, żeby popatrzeć na męża. Z nocnej lampki na korytarzu pada dość światła, bym mogła zobaczyć jego twarz.

– Mógłbyś się wycofać.

Matt odwraca do mnie głowę.

– Wiesz, że nie mogę tego zrobić.

– Czemu? Może mógłbyś...

– Prawdopodobnie by mnie zabili. A w każdym razie zniszczyliby mi życie.

Patrzę uważnie na jego twarz, na zmarszczki na jego czole, na oczy, które wyglądają, jakby rzeczywiście zastanawiał się nad tą propozycją, myślał o konsekwencjach.

Odwraca głowę z powrotem i patrzy na sufit.

– Bez SWZ Matt Miller nie istnieje. Jeśli odbiorą mi tożsamość, dokąd miałbym pójść? Jak miałbym żyć?

Przetaczam się na plecy i też wbijam spojrzenie w sufit.

– Więc moglibyśmy pójść z tym do FBI. – Do Omara, do naszego przyjaciela, który chciał dać śpiochom szansę na ujawnienie się i uzyskanie immunitetu w zamian za informacje.

– I co byśmy im powiedzieli?

– Kim jesteś. Przekazalibyśmy im wszystko, co wiesz. Dobilibyśmy targu.

Nawet mówiąc te słowa, wiem, że brzmią pusto. FBI odrzuciło plan Omara, i to prawie bez zastanowienia. Kto zagwarantuje, że zgodziliby się na umowę z Mattem?

– Nie mam dość informacji na wymianę. Nie mam do zaoferowania nic cennego.

– Więc do CIA. Mógłbyś zaproponować, że zostaniesz podwójnym agentem.

– Teraz? W takiej chwili? Dwadzieścia lat milczenia i nagle wyskakuję z taką propozycją, akurat w momencie, kiedy możecie mnie nakryć? Nigdy by nie uwierzyli, że mówię szczerze. – Matt odwraca się w moją stronę. – Poza tym obiecałem sobie, że nie zrobię czegoś takiego. Gdyby chodziło tylko o mnie, w porządku. Ale nie ściągnąłbym takiego niebezpieczeństwa na ciebie i na dzieci. To zbyt duże ryzyko.

Czuję w sercu ból.

– W takim razie rzucę pracę. Gdybyś nie był żonaty z pracowniczką CIA...

– Oni wiedzą, że tego nie zrobisz. Znają naszą sytuację finansową.

Ogarnia mnie dziwne uczucie na myśl o tym, że Rosjanie znają szczegóły naszego życia, nasze słabe punkty. Wiedzą, że nie możemy się wyrwać. Staram się to zignorować, skupić się na najważniejszej kwestii.

– W takim razie zrobię coś, żeby mnie zwolnili.

– Nie dadzą się na to nabrać. A zresztą co wtedy? Co, jeśli każą mi cię zostawić?

Drzwi sypialni skrzypią leciutko i kiedy podnoszę głowę, widzę stojącą w nich Ellę, która tuli do siebie starego, pluszowego smoka. Jej postać odcina się na tle światła z korytarza.

– Mogę spać razem z wami? – pyta i pociąga nosem. Patrzy na Matta, ale to ja jej odpowiadam.

– Jasne, skarbie.

Oczywiście, że może. Przecież jest chora. A ja tak się przejęłam mężem, że nawet nie zatroszczyłam się o córkę, nie starałam się jej pocieszyć.

Ella wdrapuje się na łóżko i wciska między nas. Mości się, podciąga sobie kołdrę pod brodę, pilnując, żeby także smok był zakryty. W pokoju znowu zapada cisza. Wpatruję się w sufit, sama ze swymi obawami. Wiem, że Matt jest zajęty tym samym. Bo jak którekolwiek z nas mogłoby zasnąć w takiej chwili?

Czuję przy sobie ciepło Elli. Słyszę, jak jej oddech zwalnia i cichnie. Spoglądam na nią, na jej otwartą buzię i aureolę delikatnych dziecinnych włosów. Ella wierci się przez sen, wzdycha cicho. Odwracam wzrok i patrzę z powrotem na sufit. Z trudem zmuszam się do wypowiedzenia tych słów, ale muszę to zrobić.

– A co, gdybyśmy wszyscy pojechali do Rosji? – szepczę.

– Nie mógłbym tego zrobić tobie i dzieciom – odpowiada cicho Matt. – Już nigdy nie zobaczyłabyś swoich rodziców. Żadne z was nie mówi po rosyjsku. A tamtejszy system edukacji... możliwości... no i Caleb. Opieka medyczna, operacje... Tam miałyby o wiele gorsze życie.

Znowu zapada między nami cisza. Czuję w oczach łzy bezradności. Jak to możliwe, że nie ma innego rozwiązania? Jak to możliwe, że to nasz jedyny wybór?

– Pewnie rozpoczną dochodzenie – mówi wreszcie Matt. Przewracam się na bok twarzą do niego. Patrzę ponad wciśniętą między nami Ellą. Matt też

odwraca się w moją stronę. – Gdy już powiesz wydziałowi bezpieczeństwa. Będą musieli sprawdzić wszystkich, z którymi się kontaktowałem. Nie wiem, ile to potrwa. Ale nie będziemy mogli nikomu o tym powiedzieć. Nigdzie ani nigdy.

Wyobrażam sobie nasz dom na podsłuchu i pokój pełen agentów przysłuchujących się każdemu słowu, które wypowiadamy do dzieci albo do siebie nawzajem. Wszystko zostanie zapisane, a analitycy tacy jak ja będą roztrząsać każde zdanie. Jak długo to potrwa? Tygodnie? Może nawet miesiące?

– Nigdy, przenigdy nie przyznawaj im się, że ze mną o tym rozmawiałeś – ciągnie Matt. – Nie może na ciebie paść żadne podejrzenie, dla dobra dzieci.

Oczami wyobraźni widzę ostrzeżenia w Athenie, zobowiązania do zachowania tajemnicy, które podpisałam. Wszystko to były tajne informacje. Bardzo tajne, przeznaczone tylko dla wybranych osób. A ja rozmawiałam o tym z Mattem.

– Obiecuj mi, że się do tego nie przyznasz – mówi z napięciem Matt.

Z trudem odpowiadam przez ściśnięte gardło.

– Obiecuję.

Widzę na jego twarzy ulgę.

– Ja też nic nie powiem, Viv. Przysięgam. Nie zrobiłbym ci tego.

Matt zasypia. Nie wiem jak, bo ja na pewno nie zdołam. Patrę na zmieniające się cyfry zegarka, które odmierzają minuty lśniąca zielenią, aż nie potrafię już tego znieść. Schodzę na dół. W domu panuje ciemność i przytłaczająca cisza, przez którą czuję się bardzo samotna. Włączam telewizję, wypełniając pokój błękitnym migoczącym światłem ekranu, znajduję jakiś głupi reality show z kobietami w kostiumach kąpielowych i facetami bez koszul, którzy piją i się o coś wyklócają. Wreszcie dociera do mnie, że nie słucham ani jednego słowa, i wyłączam telewizor. Powraca czerń.

Muszę im o nim powiedzieć. Oboje to wiemy. To jedyny sposób. Próbuje sobie wyobrazić, jak to zrobię. Usiądę z kimś z wydziału bezpieczeństwa, albo może z Peterem lub Bertem, i powiem im, co znalazłam. To wydaje się niemożliwe. Nielojalne. Przecież chodzi o Matta, miłość mojego życia. No i są jeszcze nasze dzieci. Wyobrażam sobie, jak im mówię, że ich tata odszedł, że jest w więzieniu, że nas okłamał, że nie był człowiekiem, za

którego się podawał. I moment, kiedy się dowiedzą, że to przeze mnie go zabrano, że to przeze mnie wychowały się bez ojca.

O szóstej trzydzieści słyszę budzik Matta. Chwilę później zaczyna lecieć woda, jak w każdy inny dzień, jakby to wszystko było tylko snem. Wracam na górę i ubieram się w swój ulubiony kostium ze spodniami. Maluję się lekko, przeciągam grzebieniem przez włosy. Matt wychodzi spod prysznic, owinięty w pasie ręcznikiem, i całuje mnie w głowę, jak co rano. Czuję zapach jego mydła i przyglądam się w lustrze, jak przechodzi do garderoby.

– Ella ma gorączkę – mówi.

Podchodzę do łóżka i kładę dłoń na jej czole.

– Faktycznie.

Przeszywa mnie poczucie winy; nawet nie pomyślałam, żeby to sprawdzić.

– Popracuję dziś w domu. Zawieziesz bliźniaki?

– Jasne.

Patrzę na niego w lustrze i ogarnia mnie dziwny niepokój; może to wszystko naprawdę było jedynie snem? Jak on może się zachowywać tak jak w każdy inny dzień, skoro nasze życie wkrótce rozpadnie się z hukiem?

Reszta poranka to codzienny chaos. Ubieramy i karmimy Luke'a i bliźniaki, robimy to jak zgrany zespół. Przyłapuję się na tym, że spoglądam na Matta częściej, niż powinnam, jakby miał się nagle zmienić w kogoś zupełnie innego. Ale nie. To nadal Matt. Człowiek, którego kocham.

Zanoszę Ellę na kanapę, układam ją pod kocem, zostawiam obok kredki i kolorowankę. Całuję na do widzenia ją i Luke'a. Potem biorę Caleba, a Matt Chase'a, i bez słowa przypinamy ich w fotelikach. Kiedy są gotowi do drogi, stajemy skrepowani na podjeździe, tylko on i ja.

Naprawdę zamierzam to zrobić. Nie mam wyboru. Chciałam wymyślić coś innego, znaleźć jakieś rozwiązanie. Ale nie ma żadnego rozwiązania. Muszę coś powiedzieć, ale nie mogę dobrać słów.

Matt uśmiecha się do mnie smutno, niemal jakby czytał w moich myślach.

– W porządku, Viv.

– Nie widzę innego wyjścia – mówię przeproszająco. – Myślałam o tym przez całą noc...

– Wiem.



– Gdyby chodziło tylko o ciebie i o mnie, wtedy wyjazd... *tam...* byłby jakimś rozwiązaniem. Ale dzieci, a szczególnie Caleb...

– Wiem. Wszystko w porządku, Viv. Naprawdę. – Matt waha się i widzę, że chciałby powiedzieć coś jeszcze. Otwiera usta i znowu je zamyka.

– Co takiego?

– Po prostu... – Milknie i wykręca sobie dłonie. – Będzie ciężko z pieniędzmi – mówi wreszcie. I wydaje z siebie zduszone łkanie, które napełnia mnie przerażeniem, bo przecież Matt nigdy nie traci nad sobą kontroli. Podchodzę do niego, obejmuję go w pasie, kładę policzek na jego piersi. Czuję wokół siebie jego ramiona. W jego objęciach zawsze było mi tak bezpiecznie, zupełnie jak w domu.

– Boże, Viv, przepraszam cię. Co ja zrobiłem? Co się teraz stanie z dziećmi?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Nawet gdybym wiedziała, nie umiałabym zmusić się do mówienia.

Matt odsuwa się i bierze głęboki wdech.

– Żałuję, że to wszystko musiało się wydarzyć. – Po jego policzku stacza się pojedyncza łza. – Nie wiem, co tam znalazłaś, ale chciałbym sprawić, żeby to wszystko zniknęło.

– Ja też – mówię szeptem. Patrzę, jak łza zsuwa mu się aż na brodę. Przychodzi mi do głowy coś jeszcze. Muszę to powiedzieć, ale nie wiem jak. Wreszcie zmuszam się do wymówienia tych słów:

– Wiesz, mógłbyś uciec. – Nie mogę się powstrzymać przed myślą, jakie to dziwne, jakie smutne, że do tego doszło. Dziesięć lat, czwórka dzieci, wspólne życie. A teraz pożegnanie pod garażem?

Matt patrzy na mnie z niedowierzaniem i smutno kręci głową.

– Nic tam na mnie nie czeka.

– Zrozumiałabym.

Kładzie mi ręce na ramionach.

– Moje życie jest tutaj. – Wygląda tak szczerze, kiedy to mówi.

– Ale gdybyś zmienił zdanie... to zadzwoń przynajmniej po opiekunkę do dzieci...

Matt opuszcza ręce, wygląda jak zranione zwierzę. Nawet nie jestem pewna, czemu to powiedziałam. Przecież tak naprawdę nie myślę, że zostawiłby Ellę bez opieki.

Nie wiem, co jeszcze dodać. A nawet gdybym wiedziała, nie mogłabym się do tego zmusić, nie wybuchając płaczem. Więc w końcu odrywam od

niego wzrok, wsiałam do samochodu, przekręcam kluczyk w stacyjce. Silnik zapala za pierwszym razem. Cuda się zdarzają. Wrzucam wsteczny i patrzę na męża, obserwującego, jak wyjeżdżam z podjazdu, oddalam się od znajomego życia, które razem zbudowaliśmy. Dopiero wtedy zaczynam płakać.

Przez punkty kontrolne obsadzone uzbrojoną strażą przejeżdża strumień samochodów. Parkingi oznaczone kolorami zaczynają się wypełniać; w kwaterze głównej CIA pracują tysiące ludzi. Idę jak niewidoma z jednego z dalszych parkingów do biura, jestem zupełnie odrętwiała. Moje kroki są ciężkie. Ludzie mijają mnie na szerokim, betonowym chodniku. Spoglądam na zadbane ogród po prawej stronie, na rośliny i kolory, bo to lepsze niż myślenie o tym co dalej. Łatwiej jest udawać, że to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Kiedy wchodzę przez automatyczne drzwi do lobby, uderza we mnie strumień ciepłego powietrza. Skupiam wzrok na ogromnej fladze amerykańskiej, która zwisa z sufitu atrium. Wygląda dziś złowieszczo, jakby ze mnie szydziła. Wkrótce zdradzę człowieka, którego kocham najbardziej na świecie. Bo nie mam wyboru. Przez wzgląd na tę flagę, mój kraj oraz fakt, że tak naprawdę nie jest to jego kraj.

Jak zwykle przy obrotowych bramkach stoi ochrona, czujna, uważna. Ron, którego widzę tu prawie codziennie i który nigdy się nie uśmiecha, nawet kiedy ja uśmiecham się do niego. Molly, która zawsze wygląda na znudzoną. Ludzie ustawiają się w kolejki, żeby zeskanować identyfikatory i wpisać kod. Dołączam do nich, zdejmuję czapkę i rękawiczki, przyglądam włosy. Czemu tak się denerwuję? Zupełnie jakbym robiła coś złego. To nie ma sensu. Najmniejszego.

Najpierw powiem Peterowi. Decyzję podjęłam już w drodze. Muszę przecwyczyć te słowa, zanim wymówię je przed wydziałem bezpieczeństwa, bo nadal nie potrafię sobie wyobrazić, jak to robię. „Znalazłam zdjęcie męża...”. Nie wiem, jak zdołam powiedzieć to tak, żeby nie wybuchnąć płaczem.

Przechodzę przez długi hol do naszej sekcji – osobnego działu z własnymi boksami i biurami, oddzielonego drzwiami ciężkimi jak w bankowym sejfie, tak jak wszystkie departamenty. Kolejny identyfikator, kolejny kod. Mijam sekretarkę Patricię i biura menedżerów, a potem rzędy boksów, aż wreszcie dochodzę do swojego. Do tego, w którym tak usilnie

staralam się zadomowić. Kredkowe obrazki, zdjęcia dzieci i Matta. Moje życie, porozwieszane dokoła za pomocą pinezek.

Loguję się – kolejna seria haseł – i czekając na autoryzację, zaczynam parzyć kawę w dzbanku. Komputer jest gotowy przed kawą. Otwieram Athenę. Następne hasła. Wlewam kawę do swojego kubka, tego ze zdjęciem wszystkich dzieci, który dostałam od Matta na ostatni Dzień Matki. To jedna z niewielu fotografii, na których cała czwórka patrzy w obiektyw, a troje wręcz się uśmiecha. Jej zrobienie zajęło nam dziesięć minut; ja wydawałam z siebie śmieszne odgłosy, a Matt podskakiwał za mną i machał rękami. Na pewno oboje wyglądaliśmy jak wariaci.

Athena dalej się ładuje, a ja klikaniem zatwierdzam kolejne ostrzeżenia, które wczoraj zlekceważyłam, mówiąc o wszystkim Mattowi. W mojej głowie nieproszone pojawiają się jego słowa: „Ja też nic nie powiem. Nie zrobiłbym ci tego”. Na pewno nie zrobi. Potem myślę o czymś innym, co powiedział. „Jestem lojalny wobec ciebie”. Wierzę w to. Naprawdę.

Znowu loguję się do komputera Jurija, tak jak wczoraj. To samo niebieskie tło, te same bańki, te same ikonki ustawione w czterech rzędach. Moje spojrzenie zatrzymuje się na ostatniej z nich, „Przyjaciele”. W całym dziale panuje cisza. Rozglądam się dokoła, ale nikogo nie ma w pobliżu. Klikam dwa razy, folder się otwiera i wyskakuje lista pięciu zdjęć. Otwieram pierwsze z nich. Ten sam facet w okrągłych okularach. Potem drugie, z rudą kobietą. Zatrzymuję wzrok na kolejnym pliku, trzecim, tym ze zdjęciem Matta, ale go nie otwieram. Nie mogę. Przeskakuję do następnego, czwartego. To kobieta o bladej skórze i cienkich blond włosach. Na piątym jest młody chłopak z nastroszonymi włosami. Zamykam zdjęcia, zamykam cały folder i gapię się na ekran, na błękitne bańki, na ikonkę folderu. „Przyjaciele”. Wszystko to śpiochy. Jak to możliwe?

Moje spojrzenie przesuwa się na górę monitora. Są tam dwa przyciski. Tryb aktywny. Tryb bierny. Włączony jest ten drugi – to jedyny tryb, jakim wolno się posługiwać analitykom. Pozwala on przeglądać zawartość obserwowanego komputera, ale bez wprowadzania zmian. Lecz tym razem mój wzrok przyciąga ten pierwszy guzik, z trybem aktywnym, i nie mogę się odwrócić.

Słyszę za sobą jakiś odgłos. Odwracam się i widzę Petera. Cała zaczynam się trząść, choć Peter nie ma pojęcia, na co właściwie patrzyłam, co zwróciło moją uwagę. Nie ma pojęcia, jakie myśli chodzą mi po głowie.

Spogląda na mój ekran, a ja czuję przyływ adrenaliny. Folder jest na wprost niego. Ale to jedynie ikonka, a Peter tylko zerkał. Teraz znowu patrzy na mnie.

– Jak się ma twoja córeczka? – pyta.

– Ma gorączkę, poza tym nieźle. – Staram się mówić jak najspokojniej. – Matt został z nią w domu.

Matt. Przęłykam grudę w gardle.

– Wczoraj wpadła Tina – mówi Peter. – Chce się z tobą widzieć.

– Dlaczego? – pytam szybko. Za szybko. Tina to kierowniczką całego Centrum Kontrwywiadu. Jest groźna, nie owija w bawełnę. Twarda Tina.

Na twarzy Petera pojawia się wyraz zmieszania.

– Słyszała, że wdarliśmy się do tego laptopa. Chce wiedzieć, co znaleźliśmy.

– Ale nie zdążyłam jeszcze...

– Już jej to mówiłem. Spokojnie. Przesunąłem spotkanie na jutro rano. Tina chce tylko wiedzieć, czy jest tam coś obiecującego.

– Ale...

– To najwyżej dziesięć minut. Poszperaj dziś trochę. Na pewno coś znajdziesz.

Na przykład zdjęcia pięciu śpiochów? A jeden z nich to mój mąż?

– Okej.

Peter się waha.

– Potrzebujesz pomocy? Ja też mogę tam zajrzeć.

– Nie – mówię, znowu zbyt szybko, zbyt stanowczo. – Nie, nie trzeba. Sam masz masę roboty. Coś dla niej znajdę.

Peter kiwa głową, ale na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz. Niepewny.

– Vivian, czy wszystko w porządku? – pyta z wahaniem.

Mrugam. Wiem, co powinnam powiedzieć. Trzeba to zrobić. Nie mam wyboru.

– Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Na osobności.

Kiedy to mówię, robi mi się niedobrze. Ale potrzebuję to z siebie wyrzucić, zanim stracę odwagę.

– Daj mi dziesięć minut. Puszczę ci sygnał na komunikatorze.

Kiwam głową i patrzę, jak odchodzi z powrotem do swojego biura. Puściłam maszynę w ruch. Dziesięć minut. Za dziesięć minut mój świat ulegnie zmianie. Wszystko będzie inaczej. Życie, jakie znam, dobiegnie

końca.

Odwracam się z powrotem do ekranu. Folder „Przyjaciele”. Odrywam wzrok od komputera, nie mogę tego znieść. Patrę dalej, poza zdjęcia mojej rodziny, bo jeśli w tej chwili na nie spojrzę, to się załamie. Mój wzrok zatrzymuje się na małej tabelce, która wisi na ścianie od lat, niezauważana. Dano mi ją podczas szkolenia z dyscypliny analitycznej. Po raz pierwszy od wieków patrę na nią, żeby oderwać się od rzeczywistości. „Zastanów się nad implikacjami drugiego i trzeciego stopnia... Przemysł niezamierzone konsekwencje...”.

W mojej głowie rozbrzmiewają słowa Matta z dzisiejszego ranka, tam, na podjeździe. „Będzie ciężko z pieniędzmi”. Stracimy jego pensję. To wzięłam już pod uwagę. Na pewno będę musiała zabrać młodszą trójkę ze szkoły, pewnie trzeba będzie zatrudnić nianię, byle nie za drogą, no i przestać się trząść o to, że ktoś obcy zajmuje się moimi dziećmi i wozi je samochodem.

Ale teraz po raz pierwszy przychodzi mi do głowy, że ja również stracę pracę. Nie ma mowy, żeby Tina pozwoliła mi zostać, zatrzymać przepustkę, kiedy się dowie, że byłam żoną rosyjskiego agenta. Utrata pensji Matta to jedna sprawa. Ale jak damy sobie radę, jeśli stracimy także moją?

O Boże. Stracę ubezpieczenie zdrowotne. Caleb. Jak zapewnię Calebowi opiekę, której potrzebuje?

Przypominam sobie płacz Matta. „Co się stanie z dziećmi?”. Nagle przyszłość jawi się jasno przed moimi oczami. Medialna szopka, której na pewno nie unikniemy. Moje dzieci bez ojca, bez pieniędzy, oderwane od wszystkiego, co znają. Niesława, która na zawsze je okryje. Wstyd i podejrzenia, bo w końcu są z krwi Matta. Synowie i córka zdrajcy.

Sztywnieję ze strachu. To wszystko w ogóle nie powinno było się wydarzyć. Gdybym nie wpadła na to zdjęcie, nie wymyśliła tego przekłętogo algorytmu, nie włamała się do komputera Jurija, nie dowiedziałabym się o Matcie. Nikt by się o nim nie dowiedział. Jego słowa dźwięczą mi w uszach. „Gdybyś tylko nie była tak dobra w tym, co robisz”.

Moje oczy wracają do guzików na górze ekranu. Aktywny. Bierny. Przecież nie mogę tego zrobić. Ale i tak przesuwam kursor, aż strzałka zawisa nad guzikiem „Aktywny”. Klikam i ramki ekranu zmieniają się z czerwonych na zielone. Chyba zaraz się załamie pod ciężarem poczucia winy. Myślę o swoim pierwszym dniu w pracy, jak podniosłam rękę i złożyłam ślubowanie.

„...Przysięgam wspierać i bronić Konstytucji Stanów Zjednoczonych

przed wszystkimi nieprzyjaciółmi w kraju i za granicą...”.

Ale Matt nie jest nieprzyjacielem. To nie jakiś czarny charakter. To dobry człowiek, porządny człowiek, którego wykorzystano jako dziecko, znalazł się w okolicznościach, na które nie miał żadnego wpływu. Nie zrobił nic złego, nie wyrządził naszemu krajowi żadnej szkody. Nie zrobiłby tego. Wiem, że by tego nie zrobił.

Zawieszam kursor nad folderem. Wciskam prawy przycisk i przesuwam strzałkę na polecenie „Usuń”. Zatrzymuję się na nim, ręka mi się trzęsie.

Czas. Potrzebuję więcej czasu. Czasu, żeby się zastanowić, czasu, żeby coś wymyślić, znaleźć jakieś rozwiązanie. Bo musi istnieć jakaś odpowiedź, jakieś wyjście. Jakiś sposób, aby wrócić do tego, co było dawniej. Zamykam powieki i nagle stoję z Mattem przed ołtarzem, patrzę mu w oczy, wypowiadam słowa przysięgi.

„...W szczęściu i w nieszczęściu...”.

Ślubowałam mu wierność, póki śmierć nas nie rozłączy. I znowu słyszę jego głos, wczoraj w nocy. „Ja też nic nie powiem, Viv. Przysięgam. Nie zrobiłbym ci tego”. To prawda, nie sędzę, że by mi to zrobił. A ja właśnie zamierzam zrobić to jemu.

Oczyrna duszy widzę nasze dzieci. Ich twarze, jedną po drugiej, tak niewinne, tak szczęśliwe. To by je zniszczyło.

A potem kolejne wspomnienie z dnia ślubu, nasz pierwszy taniec i słowa, które Matt wyszeptał mi do ucha. Nigdy dotąd ich nie rozumiałam, przez te wszystkie lata. Ale teraz nagle rozumiem.

Otwieram oczy i mój wzrok natychmiast pada na to samo polecenie. „Usuń”. Jest podkreślone, nadal wisi na nim kursor. Przez moją głowę przelatują kolejne słowa i sama już nie wiem, kto je wymówił, Matt czy ja, ani czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. „Żałuję, że to wszystko w ogóle się wydarzyło”.

„Chciałbym sprawić, żeby to wszystko zniknęło”.

I klikam.

## Rozdział 6

Folder znika.

Wstrzymuję oddech i patrzę na ekran, czekając, czy coś się jeszcze wydarzy. Ale nie. Folder zwyczajnie zniknął, jakby nic z tego nigdy nie miało miejsca. Właśnie tego pragnęłam.

Wreszcie wypuszczam powietrze, robię szybkie wdechy. Przenoszę kursor z powrotem do guzików na górze ekranu. Bierny. Klikam i ramka znowu robi się czerwona.

Folderu nadal nie ma.

Dalej wpatruję się w miejsce, gdzie był jeszcze przed chwilą. Te same bańki w tle, o jedną ikonkę mniej w ostatnim rzędzie. Słyszę dzwoniący gdzieś telefon. Stukanie w klawiaturę w sąsiednich boksach. Głos prezentera z kanału informacyjnego w jednym z podwieszonych pod sufitem telewizorów.

Boże, co ja zrobiłam? Ogarnia mnie panika. Skasowałam pliki z komputera człowieka, którego śledzimy. Włączyłam tryb aktywny, przeszłam na terytorium operacyjne – już samo to wystarczyłoby, żeby mnie zwolnić. Co ja sobie myślałam?

Moje spojrzenie wraca z powrotem do lewego górnego rogu, do znajomego symbolu kosza. Katalog trafił tutaj. Wcale się go nie pozbyłam, nie tak do końca. Klikam ikonkę i, proszę, jest. „Przyjaciele”.

Znowu patrzę na guziki. Aktywny. Bierny. Mogłabym przywrócić folder, udawać, że w ogóle go nie dotykałam. Albo wykasować go na dobre, dokończyć, co zaczęłam. Tak czy owak, muszę podjąć jakąś decyzję. Nie mogę go tu zwyczajnie zostawić.

Skasuję go do końca. Oto co chcę i co powinnam zrobić. W końcu nie zdecydowałam się na to bez powodu. Muszę chronić Matta i naszą rodzinę. Oglądam się za siebie; nikogo nie ma. Klikam „aktywny”, przesuwam kursor, wybieram polecenie „usuń” i przełączam się z powrotem na tryb „bierny”.

Już. Patrzę na pusty kosz i zastanawiam się intensywnie, próbuję sobie przypomnieć, co wiem o usuwaniu plików. Bo ten folder wciąż gdzieś tam jest. Program do odzyskiwania danych mógłby go przywrócić. Potrzebne

mi coś, co zamaskuje moje działania. Na przykład...

Rozlega się krótki brzęk i na środku ekranu pojawia się małe, białe okienko. Nieruchomieję ze strachu. To koniec, złapali mnie, nakryli. Ale w okienku widać twarz Petera i wiadomość od niego: „Wpadaj”.

Prawie mdleję. To tylko Peter. A ja zdążyłam już zapomnieć, że prosiłam go o spotkanie. Zamykam okienko i blokuję komputer. Ręce mi się trzęsą. Wstaję i idę do gabinetu Petera.

Co ja mu powiem? Odtwarzam w głowie naszą ostatnią rozmowę. „Muszę z tobą o czymś porozmawiać. Na osobności”. Oj, niedobrze. Co ja mam mu powiedzieć?

Jego drzwi są uchylone. Widzę go przy komputerze, siedzi plecami do mnie. Pukam szybko i Peter odwraca się na obrotowym krześle.

– Proszę.

Popycham drzwi. Jego gabinet jest malutki – jak zresztą wszystkie. Mieści się w nim tylko szare, modułowe biurko, takie samo jak moje, i okrągły stolik uginający się pod ciężarem papierów. Siadam na stojącym obok krześle.

Peter krzyżuje nogi w kostkach, spogląda na mnie ponad krawędzią okularów. Widzę, że czeka, aż się odezwę. W ustach czuję suchość. Trzeba było sobie przemyśleć, co powiem, zanim tu przyszłam. Zastanawiam się gorączkowo. O czym ludzie rozmawiają na osobności ze swoimi szefami?

– O co chodzi? – pyta wreszcie Peter.

Na usta cisną mi się słowa, które powinnam wypowiedzieć. Te, które powtarzałam sobie w głowie przez całe rano. „Znalazłam zdjęcie swojego męża”. Ale teraz już na to za późno, nawet gdybym zmusiła się do ich wypowiedzenia.

Patrzę na mapy pokrywające ściany. Duże mapy Rosji. Polityczne, drogowe, topograficzne. Moje spojrzenie zatrzymuje się na największej z nich, z konturami kraju. Skupiam się na wąskim skrawku pomiędzy Ukrainą a Kazachstanem. Wołgograd.

– Wypadła mi sprawa rodzinna – mówię. Ledwo rozróżniam litery na mapie. Nie wiem, do czego zmierzam z tymi słowami. Nie mam planu.

Peter wypuszcza powietrze.

– Och, Vivian. – Kiedy na niego spoglądam, jego oczy są pełne troski, współczucia. – Wiem, co chcesz powiedzieć.

Chwilę trwa, zanim dociera do mnie, co ma na myśli, a wtedy ogarnia mnie poczucie winy. Spoglądam na oprawione zdjęcia na biurku. Wszystkie



przedstawiają tę samą kobietę. Pożółkła fotografia w białej, koronkowej sukni. Niepozowane zdjęcie, na którym w grubym swetrze i z natapirowanymi włosami otwiera prezent, a na twarzy ma wyraz absolutnego zachwytu. I stosunkowo niedawne zdjęcie jej z Peterem na tle gór. Oboje wyglądają swobodnie, luźno, radośnie.

Przełykam ślinę i patrzę z powrotem na szefa.

– Co u Katherine? Jak się miewa?

Peter odwraca wzrok. Katherine ma raka piersi. Trzecie stadium, zdiagnozowano go w zeszłym roku. Nadal pamiętam ten dzień, kiedy Peter nam o tym powiedział. Spotkanie zespołu w sali konferencyjnej. Pełne zdumienia milczenie, gdy patrzyliśmy, jak Peter, ten niewzruszony Peter, traci panowanie nad sobą i zaczyna płakać.

Wkrótce potem Katherine zgodziła się na testy kliniczne. Peter nigdy dużo o tym nie mówił, ale chyba jakoś sobie radziła. I nagle kilka tygodni temu Peter przez parę dni z rzędu nie pojawiał się w pracy – co jest zupełnie nie w jego stylu – a kiedy wrócił, blady i zmęczony, powiedział, że Katherine nie bierze już udziału w leczeniu eksperymentalnym. Tym razem obyło się bez łez, ale zapadła taka sama cisza. Wiedzieliśmy, co to oznacza. Leczenie nie działało. Katherine była u kresu drogi. To już tylko kwestia czasu.

– Walczy dzielnie – odpowiada Peter, ale jego oczy mówią, że to walka, której Katherine nie wygra. Zaciska szczękę. – Twój synek też się nie podda.

Przez chwilę nie rozumiem, aż wreszcie do mnie dociera. Peter wie, że Caleb miał wczoraj wizytę u kardiologa. Myśli, że nastąpiło jakieś pogorszenie. Powinnam sprostować, ale tego nie robię. Spuszczam wzrok i kiwam głową, ściska mnie w żołądku.

– Jeśli mogę ci jakoś pomóc... – dodaje szef.

– Dziękuję.

Następuje chwila niezręcznej ciszy i wreszcie Peter mówi:

– Może pójdziesz do domu? Musisz się tym zająć.

Podnoszę głowę.

– Nie mogę. Nie mam już urlopu...

– A od ilu lat wyrabiasz nadgodziny, których potem nie odbierasz?

Uśmiecham się słabo.

– Od wielu.

– Weź dzisiaj wolne.

Już mam odmówić, gdy nagle zaczynam się wahać. O co ja się martwię? Że stracę pracę? Że nie zdam kolejnego testu na wykrywaczu kłamstw? Czuję, jak częściowo opuszcza mnie napięcie. Właśnie tego mi potrzeba. Muszę się stąd wyrwać, uporządkować sobie w głowie, zastanowić się co dalej.

– Dzięki, Peter.

– Będę się za ciebie modlił – mówi cicho, kiedy wstaje, żeby wyjść. Rzuca mi przeciągłe spojrzenie. – O siłę.

Wracam do biurka. Helen i Raff wysunęli krzesła na korytarz obok mojego boksu i o czymś rozmawiają. Teraz nic już nie zdziałam z tym plikiem. Wszystko by zobaczyli.

Jutro. Jutro się tym zajmę.

Zastanawiam się chwilę, po czym wylogowuję się z komputera, zabieram torebkę i kurtkę. Zwlekam jeszcze, czekając, aż ekran pociemnieje. Moje spojrzenie przesuwają się na róg biurka, gdzie stoi nasze zdjęcie ślubne, i ogarnia mnie dziwne uczucie, jakbyśmy właśnie zdołali umknąć przed ciosem – tyle że mimo wszystko z jakiegoś dziwnego powodu krwawię.

Sześć miesięcy po tym, jak się poznaliśmy, miałam wreszcie pojechać do miejsca, z którego pochodzi Matt. Poznać jego rodziców, zobaczyć dom, w którym się wychował, jego liceum, przyjaciół z dzieciństwa. Zdołałam wziąć tygodniowy urlop. Matt kupił bilety, w każdym razie tak powiedział. Bardzo się cieszyłam na ten wyjazd, prawie skakałam z radości.

On dopiero co poznał moich rodziców; spędziliśmy razem Boże Narodzenie w Charlottesville i poszło lepiej, niż się spodziewałam. Rodzice go pokochali. A ja, widząc go z nimi, pokochałam go jeszcze bardziej. Wiedziałam ponad wszelką wątpliwość, że chcę za niego wyjść. Ale zaręczyny nadal wydawały się czymś, co czekało w dalekiej przyszłości. Przecież nie poznałam jeszcze jego rodziców, a nie zamierzałam się zaręczać z kimś, kogo rodziny nawet nie widziałam na oczy. Byłoby w tym coś niewłaściwego. Nawet mu to powiedziałam. W każdym razie tak mi się wydawało.

Pojechaliśmy na lotnisko. Był mroźny styczniowy dzień. Godzinami zastanawiałam się, co na siebie włożyć, i w końcu zdecydowałam się na spodnie i kardigan, ładne, ale konserwatywne, obliczone na to, żeby zrobić dobre wrażenie na ludziach, którzy – miałam nadzieję – zostaną moimi teściami. Staliśmy w długiej kolejce do kontroli, ciągnąc za sobą czarne

walizeczki na kółkach. Matt milczał. Wydawał się spięty, a przez to i ja się denerwowałam, bo nie chciałam, żeby tak się przejmował moim spotkaniem z jego rodzicami. Żeby nabrał wątpliwości co do naszego związku.

Kiedy zbliżyliśmy się do końca kolejki, przypomniałam sobie, że nadal nie mam swojej karty pokładowej, którą Matt wydrukował przed wyjściem.

– A! – odezwałam się. – Dasz mi moją kartę?

Nie przestając na mnie patrzeć, podał mi złożoną kartkę papieru. Twarz miał dziwnie pozbawioną wyrazu.

Jego mina jeszcze bardziej wytrąciła mnie z równowagi.

– Dzięki – powiedziałam. Wreszcie oderwałam od niego wzrok i spojrzałam na papier, żeby się upewnić, że podał mi moją kartę, a nie swoją, bo nawet tego nie sprawdził. Zobaczyłam swoje imię i nazwisko, Vivian Grey, oraz trzy duże, wytłuszczone litery, których nie powinno tam być. HNL.

Wiedziałam, że nie jest to skrót lotniska w Seattle. Gapiłam się na kartkę, usiłując zrozumieć, co to znaczy i co się dzieje.

– Honolulu – powiedział Matt i poczułam, jak obejmuje mnie w pasie.

– Co takiego? – Obróciłam się twarzą do niego.

Uśmiechał się szeroko.

– A właściwie Maui. W Honolulu mamy przesiadkę.

– Maui?

Pchnął mnie lekko do przodu. Zamrugałam, spojrzałam przed siebie i nagle przyszła moja kolej do kontroli. Urzędnik patrzył na mnie z irytacją. Podałam mu kartę pokładową i w pośpiechu wyszperałam z torebki prawo jazdy, oblewając się rumieńcem. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Urzędnik podstemplował bilet i przeszłam dalej, do kontroli bezpieczeństwa. Zaczęłam zdejmować buty. Matt poszedł za mną i położył na taśmie moją walizkę, a potem swoją. Znowu poczułam wokół siebie jego ramiona i jego policzek tuż przy mojej twarzy.

– I co o tym myślisz? – zapytał, omiatając ciepłym oddechem moje ucho. Słyszałam w jego głosie uśmiech.

Co myślałam? Że chcę jechać do Seattle. Chciałam poznać jego rodziców, zobaczyć miejsce, z którego pochodził.

– Ale twoja rodzina...

Przeszłam przez wykrywacz metalu. Matt również i znowu stanęliśmy obok siebie, podczas gdy moja walizka toczyła się do końca pasa.

– Nie mogłem pozwolić, żebyś zużyła cały urlop na *Seattle* – powiedział.

I co miałam na to powiedzieć? Że właśnie to bym wolała? To byłoby strasznie niewdzięczne. Przecież Matt wykupił mi wyjazd na Maui. *Maui*. I zrezygnował ze spotkania z rodziną.

Ale z drugiej strony, czy nie wiedział, jak mi zależało na spotkaniu z jego rodzicami? I że teraz wizytę w Seattle trzeba będzie odłożyć na całe miesiące, dopóki nie uzbieram więcej urlopu?

Matt zestawił nasze bagaże na podłogę.

– Przepakowałem ci rzeczy – powiedział. Wyciągnął uchwyt i odwrócił walizkę do mnie. – Włożyłem same ubrania na ciepłą pogodę. I kostiumy kąpielowe. – Uśmiechał się. Przyciągnął mnie do siebie tak, że zetknęliśmy się biodrami. – Choć oczywiście mam nadzieję, że większość czasu spędzimy bez nich. – W jego oczach tańczyły chochliki.

– Nie wiem, co powiedzieć – odparłam wreszcie, choć w myślach wrzeszczałam: „Czy możemy jeszcze wymienić bilety?!”.

Uśmiech zniknął z jego twarzy i jego ramiona opadły na boki.

– Och – powiedział. Tylko ta jedna sylaba. I nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Przecież tak się dla mnie wysilił.

– Ja po prostu... Tak się cieszyłam na spotkanie z twoimi rodzicami.

Matt wyglądał na kompletnie załamane.

– Przepraszam cię. Naprawdę. Myślałem, że to... Wydawało mi się, że...

– Pokręcił szybko głową. – Chodźmy. Zobaczymy, czy uda nam się wymienić bilety...

Złapałam go za rękę.

– Poczekaj. – Sama nie wiedziałam, dlaczego go powstrzymałam i co zamierzam powiedzieć. Wiedziałam tylko, że nie mogę znieść tego wyrazu na jego twarzy i świadomości, że sprawiłam mu przykrość.

– Nie, masz rację. Źle zrobiłem. Po prostu chciałem, żeby wszystko wyszło idealnie, kiedy będę cię prosił... – Nagle przerwał i jego policzki oblały się rumieńcem.

„Kiedy będę cię prosił o rękę”. Niemal słyszałam te słowa. Byłam pewna, że to właśnie zamierzał powiedzieć. Czułam się, jakby serce stanęło mi w piersiach. Gapiłam się na niego. Na jego twarzy malowała się panika, zaczerwienił się jak nigdy przedtem.

O Boże, on zamierzał mi się oświadczyć. Lecieliśmy na Hawaje, bo Matt zaplanował idealne oświadczyzny. Plaża, egzotyka. Niczego więcej nie mogłabym pragnąć. A ja wszystko zepsułam.

– No to poproś – powiedziałam. Słowa wypadły mi z ust, zanim zdążyłam się nad nimi zastanowić. Ale kiedy je wymówiłam, nabrały sensu. Po takim początku przez całą wycieczkę panowałyby niezręczna atmosfera. Jedyne sposoby, by uratować wyjazd, to stawić czoło sytuacji. Wziąć byka za rogi.

– Co? – szepnął Matt.

– Poproś mnie – powiedziałam pewniejszym tonem.

– Tutaj? – spytał z niedowierzaniem.

Patrzyłam na mężczyznę, za którego chciałam wyjść, którego kochałam całym sercem. Co to ma za znaczenie, gdzie się zaręczymy? Pokiwałam głową.

Z jego twarzy zniknęło zmieszanie i zastąpił je półuśmiech, wyraz zadziwienia, podekscytowania, i już wiedziałam, że podjęłam właściwą decyzję. Jednak wybrniemy z tej sytuacji.

Matt wziął mnie za drugą rękę.

– Vivian, kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie. Nigdy nie sądziłem, że mogę być tak szczęśliwy, nie zasługuję na to.

Łzy napłynęły mi do oczu. To była moja przyszłość, to był człowiek, z którym zamierzałam dożyć swoich dni.

– Niczego nie pragnę bardziej, niż spędzić z tobą całe życie. – Puścił jedną z moich dłoni, sięgnął do kieszeni i wyciągnął pierścionek. Tylko pierścionek, bez pudełka; przed wykrywaczem metalu musiał go położyć na tacce razem z portfelem i kluczami, a ja nawet się nie zorientowałam. Ukłękł na jedno kolano i wyciągnął go do mnie, pełen nadziei i obaw.

– Wyjdiesz za mnie?

– Oczywiście – szepnęłam i kiedy wsuwał mi pierścionek na palec, zobaczyłam na jego twarzy ulgę i radość. Dookoła nas rozległy się oklaski – nawet nie zauważyłam, kiedy zebrał się tłum. Roześmiałam się, ogłupiała ze szczęścia. Uściskałam Matta i pocałowałam go, nie zważając na to, że stoimy na środku lotniska. Popatrzyłam na pierścionek na palcu, na diament lśniący w sztucznym świetle. W tamtej chwili ani trochę mnie nie obchodziło, że nie mam pojęcia o przeszłości Matta. Liczyła się tylko przyszłość.

Wjeżdżam do garażu. W głowie mam zamęt. Chyba dobrze postąpiłam? Owszem, zrobiłam to pod wpływem impulsu. A jutro będę musiała dokończyć sprawę, posprzątać ten bałagan i pozbyć się folderu na dobre.

Ale dobrze, że go wykasowałam. Uratowałam nasze wspólne życie.

Mam jednak nieodparte wrażenie, że powinnam była lepiej to przemyśleć, zanim podejmę działanie. I że teraz muszę się zastanowić nad konsekwencjami. Ale mój umysł się przed tym wzdraga. Tak jakbym podświadomie wiedziała, że dojdę do wniosków, które okażą się ponad moje siły.

Wchodzę do domu i widzę Matta za drzwiami kuchni. Patrzy w moim kierunku, wyciera ręce w ścierkę. Wydaje się zadziwiająco spokojny. Nie sprawia wrażenia kogoś, kto myśli, że właśnie na niego doniosłam. Wszystko w domu wygląda normalnie. Słyszę telewizor w salonie, leci program o pluszowych zwierzakach, które nagle ożywają.

– Wcześniej wróciłaś – mówi Matt.

Cóż, w końcu umawialiśmy się, że będziemy się zachowywać normalnie, prawda? Dla mojego bezpieczeństwa. Matt pewnie sądzi, że ktoś nas w tej chwili podsłuchuje, może nawet obserwuje. Zdejmuję kurtkę i wieszam ją na haczyku przy drzwiach. Odstawiam torebkę na podłogę. Podchodzę bliżej.

– Nie mogłam tego zrobić – mówię cicho.

Ścierka nieruchomieje.

– Co masz na myśli? – pyta po chwili Matt.

– Nie mogłam tego zrobić. Nie mogłam na ciebie donieść.

Składa ścierkę i odkłada ją na blat.

– Viv, przecież o tym rozmawialiśmy. Musisz to zrobić.

Kręcę głową.

– Wcale nie. Pozbyłam się go.

Matt wpatruje się we mnie z takim napięciem, że przechodzi mnie dreszcz.

– Czego się pozbyłaś?

– Tego... czegoś... co cię ze wszystkim łączy.

– Co dokładnie zrobiłaś?

– Sprawiałam, że to zniknęło. – Do mojego głosu zakrada się panika. Przecież te pliki wcale nie zniknęły. W każdym razie jeszcze nie. Czy w ogóle mam możliwość usunięcia ich na dobre?

W oczach Matta płonie jakieś światło.

– Viv, coś ty zrobiła?

No właśnie, co ja tak naprawdę *zrobiłam*? O Boże.

Matt przeczesuje włosy ręką i zakrywa sobie usta.

– Miałaś im o mnie powiedzieć – mówi cicho.

– Nie mogłam – odpowiadam. Bo taka przecież jest prawda. W głębi serca wiedziałam, że powinnam poinformować Petera. To był jedyny słuszny wybór. Ale kiedy przyszedł czas to zrobić, puścić w ruch maszynę, która nas wszystkich zmiażdży, nie potrafiłam tego uczynić.

Matt kręci głową.

– Takie rzeczy nie znikają tak po prostu. – Robi krok w moją stronę. – Ktoś w końcu to znajdzie. Domyślą się, co zrobiłaś.

Mam wrażenie, jakby ktoś ścisnął mnie za serce. Oni nie mogą się dowiedzieć. Nikt nie może się dowiedzieć.

– Miałaś im o wszystkim powiedzieć, bo jesteś potrzebna dzieciom – mówi Matt.

– Właśnie dla nich to *zrobiłam* – odpowiadam gwałtownie. Jak on śmie zachowywać się tak, jakbym nie brała ich pod uwagę? Myślałam przecież wyłącznie o naszej rodzinie.

– I co teraz? Co się z nimi stanie, kiedy oboje nas skażą za szpiegowanie dla Rosji?

Czuję się tak, jakby całe powietrze uszło mi z płuc. Wyciągam rękę i opieram się dla równowagi o ścianę. Szpiegostwo. Zdrada. Czy tego właśnie się dopuściłam?

No i co będzie z dziećmi? Czy zostaną deportowane do Rosji? Do kraju, którego nie znają, gdzie mówi się językiem, o którym nie mają pojęcia, gdzie wszystkie ich marzenia zostaną zmiażdżone?

Ogarnia mnie absolutne przerażenie, ale jestem też zła, wściekła na Matta, i to właśnie ta złość przeze mnie przemawia.

– A co by się stało z dziećmi, gdybym na ciebie doniosła? Co by się stało z nami?

– To lepsze niż...

Robię kolejny krok.

– Stracilibyśmy twoją pensję. Mnie zwolniliby z pracy, więc i ja nie miałabym pieniędzy. Stracilibyśmy ubezpieczenie zdrowotne. I dom.

Matt wygląda na wstrząśniętego, cała krew odpływa mu z twarzy. To sprawia mi przyjemność. Cieszę się, widząc go w tym stanie, tak samo zdesperowanego, tak samo pozbawionego nadziei jak ja.

– Już zawsze wszyscy myśleliby o nich jako o dzieciach rosyjskiego szpiega. Jaki to miałoby na nie wpływ?

Matt znowu przeczesuje włosy palcami. Wydaje się taki niepewny...

Zupełnie nie jak człowiek, którego znam, bo tamten jest niewzruszony, niezmiennie spokojny i opanowany.

– Nie waż się mnie za to obwiniać – dodaję. Mówię i zachowuję się buńczucznie, ale w głębi serca jestem przerażona. Jego słowa dźwięczą mi w uszach. „Miałaś im o wszystkim powiedzieć, bo jesteś potrzebna dzieciom”. Miałaś, czas przeszedł. Nie chciałam odbierać im ojca, ale co, jeśli w zamian zrobiłam coś o wiele gorszego?

Celowe ukrywanie dowodów. Spisek, szpiegostwo – oto zarzuty, jakie by nam postawili. Co, jeśli pójdę przez to do więzienia?

– Masz rację – mówi nagle Matt. Mrugam i znowu skupiam się na nim. Kiwa głową. Na jego twarz powraca pewność siebie. Determinacja. Wygląda, jakby wiedział, co należy robić.

– To moja wina. Muszę to naprawić.

Właśnie to potrzebowałam usłyszeć. *No właśnie, napraw to. Wydobądź nas z tego bagna.* Czuję, jak z moich ramion częściowo ustępuje napięcie. Matt rzucił mi koło ratunkowe akurat w chwili, w której sądziłam, że nic mnie nie ocali przed utonięciem. A ja wyciągam do niego ręce, łapię się go kurczowo.

Matt puszcza głos i nachyla się do przodu tak, że jego twarz znajduje się tuż przed moją.

– Ale w tym celu musisz mi wszystko powiedzieć. Co dokładnie znalazłaś? I jak dokładnie się tego pozbyłaś?



## Rozdział 7

Wpatruję się w niego. Matt chce, żebym wyjawiała mu tajne informacje. Żebym stała się kimś takim jak ludzie, których łapaniu poświęciłam karierę. I wie o tym. On tobą manipuluje, ostrzega głos w mojej głowie.

Ale Matt nie sprawia wrażenia, jakby mną manipulował. Wydaje się szczerzy i zdesperowany. Usiłuje znaleźć sposób, żeby nas z tego wypłatać. Bo ja w tej chwili nie potrafię. W gruncie rzeczy to zupełnie rozsądna prośba. Muszę mu powiedzieć, co wiem. Jak inaczej zdoła temu zaradzić?

Przecież i tak przekroczyłam już granice, których nie powinnam przekraczać. Powiedziałam Mattowi, że odkryłam jego tożsamość. Usunęłam pliki. Ale to? Mam mu powiedzieć, co dokładnie znalazłam, co dokładnie zrobiłam? To oznaczałoby ujawnienie informacji o Athenie, jednym z najważniejszych programów CIA. Ślubowałam, że nikomu nie będę mówić o takich rzeczach. Przełykam ślinę, choć gardło mam tak zaciśnięte, że z trudem mi się to udaje.

Muszę się zastanowić. Muszę przemyśleć, czy to naprawdę rozsądne. Bez słowa wymijam Matta i wchodzę do salonu, gdzie Ella ogląda telewizję, owinięta w koc. Przyklejam na twarz uśmiech.

– Jak się czujesz, skarbie?

Podnosi na mnie wzrok i szczerzy się, a potem szybko przybiera fałszywie cierpiętniczą minę.

– Jestem chora, mamusiu.

Jeszcze tydzień temu na widok tych póz z trudem powstrzymałabym się od śmiechu. Ale teraz przejmuje mnie dreszcz. Bo to przecież kłamstwo. Coś, z czym jej ojciec tak dobrze sobie radzi.

– Przykro mi, że źle się czujesz – mówię, nadal zmuszając się do uśmiechu. Przyglądam się Elli jeszcze przez chwilę, podczas gdy ona kieruje uwagę z powrotem na telewizor. Usiłuję zaprowadzić w myślach jako taki porządek. Potem podnoszę głowę i patrzę w oczy Mattowi, choć słowa skierowane są do córki:

– Tatuś i ja porozmawiamy sobie przed domem.

– Dobrze – mówi nieuważnie Ella, zajęta już swoim programem.

Wychodzę na dwór. Matt podąża za mną i zamyka za sobą drzwi. Zimne

powietrze zdaje się wymierzać mi policzek. Trzeba było wziąć płaszcz. Siadam na górnym stopniu ganku i obejmuję kolana rękami, zwijam się w kulkę.

– Chcesz kurtkę? – pyta Matt.

– Nie.

Siada obok mnie, tak blisko, że się stykamy. Czuję jego ciepło, nacisk jego kolana na moje. Patrzy prosto przed siebie.

– Wiem, że proszę o wiele. Ale jeśli mam to naprawić, muszę znać szczegóły.

*Manipulacja.* Ale czy naprawdę? Z jakiegoś powodu przed oczami staje mi dzień naszych zaręczyn. Tamta chwila na lotnisku, my dwoje. Otaczający nas ludzie, rozchodzący się z uśmiechami na twarzach. Ja też się uśmiechałam. Patrzyłam na swój pierścionek, przyglądałam się, jak odbija światło, taki nowy i czysty, taki idealny.

I nagle coś do mnie dotarło. Zaręczyłam się, nie poznawszy rodziców Matta. A to było dla mnie naprawdę ważne. Przecież mu o tym wspominałam. Czulałam, jak uśmiech znika z mojej twarzy. Poczułam na ramionach rękę Matta, prowadziła mnie dalej, w głąb lotniska, w kierunku naszego wyjścia. Byliśmy zaręczeni i lecieliśmy na Hawaje, właśnie tak, jak chciał Matt.

Ale z drugiej strony zaplanował dla mnie idealne zaręczyny. Na *Hawajach*. I chciał, żeby to była niespodzianka. Spojrzałam na niego, na jego otwartą twarz, jego radość i podniecenie, i uśmiechnęłam się. Zachowywałam się niedorzecznie. No dobrze, więc Matt popełnił błąd. Nawet nie byłam do końca pewna, czy naprawdę mu wspomniałam, że przed zaręczynami chcę poznać jego rodziców. Może i nie.

Ale te wątpliwości nigdy do końca się nie rozwiały. Przez wszystkie dni wylegiwania się na plaży, wędrowek do wodospadów, kolacji przy świecach mojej głowy nie opuszczała jedna myśl. Zaręczyłam się na lotnisku, przed tłumem obcych ludzi, nawet nie poznawszy rodziców Matta. Zupełnie inaczej, niż chciałam. Ale przecież – upominałam się – sama kazałam mu się oświadczyć akurat w tamtym momencie.

I w końcu nadszedł nasz ostatni poranek na Hawajach. Siedzieliśmy przy kawie na małym balkonie, patrząc na kołyszące się palmy i rozkoszując się ciepłą bryzą.

– Wiem, że najpierw chciałaś poznać moich rodziców – odezwał się znienacka Matt.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Więc jednak mu to powiedziałam. Wiedział o tym.

– Ale ja to ja, Viv. Niezależnie od tego, kim są moi rodzice. – Popatrzył na mnie tak intensywnie, że aż się zdziwiłam. – A przeszłość to przeszłość.

Uznałam, że wstydzi się swojej rodziny. Martwi się, co o niej pomyśle. I co pomyśle o nim, kiedy już poznam jego rodziców. Spojrzałam na pierścionek na palcu. Lecz mimo wszystko... Co z tym, czego ja chciałam?

– Ale mimo to źle się zachowałem – dodał Matt. Przeniosłam wzrok z powrotem na niego i zobaczyłam szczerą w jego oczach. Był w nich też żal. Głęboki żal. – Przepraszam cię.

Chciałam, żeby moje wątpliwości się rozwiały. Naprawdę. Matt popełnił błąd. Przyznał się do tego i przeprosił. Nigdy jednak nie zdołałam całkowicie o tym zapomnieć. Wiedział, że chciałam najpierw poznać jego rodziców, a mimo to i tak się oświadczył. Miałam wrażenie, jakby mną manipulował.

Teraz jednak, kiedy patrzę na ten pierścionek, na diament, który stracił już dawny blask, na rękę, która o tyle się postarzała, przestaję to odbierać jako manipulację. Czuję, że Matt postąpił uczciwie.

Bo skoro to nie są jego prawdziwi rodzice, czy nie było lepiej zaręczyć się, zanim ich poznałam? Przecież mogli wpłynąć na moją opinię o nim, na moje uczucia. Czy to dopiero nie byłaby prawdziwa manipulacja?

Odwracam się do Matta i odsuwam nieco, żeby móc swobodnie na niego popatrzeć. Jego twarz jest szczerą, otwartą. Tak samo jak wtedy, kiedy prosił mnie o rękę. Tak samo jak w dniu naszego ślubu, już tyle lat temu. Przypominam sobie, jak staliśmy przed księdzem w starym kamiennym kościele w Charlottesville, minę Matta, kiedy wypowiadał słowa przysięgi. Przecież uczuć tego rodzaju nie da się udawać, prawda? Przełykam ślinę przez zaciśnięte gardło.

Nie wiem. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, czy mu wierzyć. Ale potrzebuję pomocy. Wykopałam pod sobą dołek, a on zaproponował, że pomoże mi się z niego wygrzebać. W głowie ciągle słyszę jego pytanie. „Co się stanie z dziećmi, kiedy oboje nas skazą za szpiegowanie dla Rosji?”. Nie mogę do tego dopuścić. Muszę mu zaufać.

– Mamy dostęp do komputera Jurija – mówię. Słowa przychodzą z większym trudem, niż się spodziewałam. Z każdą sylabą mam wrażenie, jakbym popełniała przestępstwo. Bo to prawda. Ujawniam tajne informacje, pogwałcam ustawę o szpiegowaniu. Dostęp do Atheny jest tak

ograniczony, że nawet w CIA mało kto wie o jej możliwościach. Ludzie idą do więzienia za ujawnianie podobnych informacji.

– Szperałam w nim i znalazłam folder z pięcioma zdjęciami. – Spoglądam na Matta. – Wśród nich było twoje.

Matt patrzy przed siebie. Przytakuje lekko.

– Tylko zdjęcie? Nic więcej?

Kręcę głową.

– Jak na razie nic.

– Było zaszyfrowane?

– Nie.

Matt siedzi przez chwilę w milczeniu, po czym odwraca się do mnie.

– Powiedz, co zrobiłaś.

– Skasowałam je.

– Jak?

– Po prostu wcisnęłam „Usuń”. Wykasowałam je.

– A potem?

– A potem usunęłam je z kosza.

– I? – W jego głosie słychać napięcie.

Przełykam ślinę.

– Na razie to wszystko. Wiem, że to za mało, muszę jeszcze nadpisać dane czy coś takiego. Ale w pobliżu byli ludzie i nie mogłam tego zrobić.

Odwracam wzrok, patrzę na ulicę. Słyszę odgłos silnika, nadjeżdża jakiś pojazd. Widzę, jak pojawia się w zasięgu wzroku – pomarańczowa furgonetka. Firma sprzątająca, z której usług korzysta wielu sąsiadów. Zatrzymuje się pod domem Parkerów. Patrzę, jak z auta wysiadają trzy kobiety w pomarańczowych kamizelkach i wyjmują z bagażnika sprzęt do sprząkania. Kiedy wchodzi do środka i drzwi się za nimi zamykają, na ulicy znowu zapada cisza.

– Gdzieś zostanie informacja, że to usunęłaś – mówi Matt. – Nie uwierzę, że CIA nie monitoruje użytkowników systemu.

Patrzę, jak mój oddech krystalizuje się w powietrzu w małe chmurki. Przecież sama to wiem. Czy nie zatwierdzałam kolejnych ostrzeżeń, że moje działania są nagrywane? Co ja sobie myślałam?

Nic. W tym cały problem. Nic nie myślałam. Chciałam tylko, żeby to wszystko zniknęło.

Spoglądam na męża. Patrzy prosto przed siebie, marszcząc brwi z głęboką koncentracją. Spowijająca nas cisza wydaje się ciężka.

– No dobrze – mówi wreszcie Matt. Kładzie rękę na moim kolanie i ściska je lekko. Odwraca się do mnie, zmarszczka na jego czole rysuje się wyraźnie, w oczach widać troskę. – Wyciągnę cię z tego.

Wstaje i wchodzi z powrotem do domu. Ja siedzę dalej, drżąc, a w mojej głowie odbijają się jego słowa. „Wyciągnę cię z tego”.

*Cię.*

Dlaczego nie powiedział *nas*?

Kiedy po kilku minutach pojawia się z kluczykami do samochodu, nadal siedzę na ganku. Matt przystaje nade mną.

– Niedługo wrócę – mówi.

– Co zamierzasz zrobić?

– Mniejsza o to.

Może odchodzi. Wsiądzie w samolot do Rosji i zostawi mnie, żebym jakoś sobie radziła. Ale przecież by tego nie zrobił.

Tylko *co* w takim razie robi? I dlaczego nie zrobił tego od razu?

– Mam prawo to wiedzieć.

Matt mija mnie i idzie do swojego samochodu, który stoi na podjeździe.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej.

Podnoszę się.

– Co to niby ma znaczyć?

Matt przystaje, odwraca się do mnie i mówi cicho:

– Wykrywacz kłamstw. Proces. Po prostu lepiej, jeśli nie będziesz znała szczegółów.

Wpatruję się w niego, a on we mnie. Wydaje się strapiony. A nawet zły. I to sprawia, że sama wpadam we wściekłość.

– Jak ty możesz się teraz denerwować na *mnie*?

Podnosi ręce i kluczyki dzwonią o siebie nawzajem.

– Bo tak! Gdybyś mnie posłuchała, nie byłibyśmy w tej chwili w takim bagnie.

Patrzymy na siebie ze złością w niemal duszącym milczeniu, aż wreszcie Matt kręci głową, jakbym go rozczarowała. Patrzę, jak odjeżdża bez słowa. Kłębią się we mnie emocje tak pogmatwane, że nie ma w nich żadnego sensu.

Pierwszą rocznicę ślubu obchodziliśmy na Bahamach: pięć dni wylegiwania się na słońcu, nieskończone zasoby tropikalnych drinków i od czasu do

czasu kąpiele w oceanie, żeby się schłodzić. W wodzie natychmiast się obejmowaliśmy i całowaliśmy w usta, które smakowały rumem i solą morską.

Ostatniego wieczoru poszliśmy do baru na plaży – była to mała knajpka na piasku z daszkiem krytym trawą, ze światełkami rozciągniętymi na sznurach i z owocowymi drinkami. Siedzieliśmy na wytartych stołkach barowych tak blisko siebie, że nasze nogi się stykały, a dłoń Matta spoczywała na moim udzie, odrobinę za wysoko. Pamiętam, jak słuchaliśmy huku bałwanów i wdychaliśmy słone powietrze, cali rozgrzani.

– No więc... – zaczęłam, przesuwając palcem po parasoleczce w drinku i przymierzając się do pytania, które od tygodni, miesiący powoli formowało się w mojej głowie. Próbowałam wymyślić jakiś wstęp, ale nie umiałam, więc zwyczajnie strzeliłam: – Kiedy zrobimy sobie dziecko?

Matt niemal zakrztusił się drinkiem. Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, pełnymi miłości, szczerości, radości. Ale nagle coś się zmieniło i odwrócił wzrok, w którym pojawiła się rezerwa.

– Dzieci to duży krok – powiedział i nawet po całym rumie, który wypiałam, poczułam zaskoczenie. Przecież Matt kochał dzieci. Zawsze planowaliśmy, że będziemy je mieć. Pewnie dwoje, może nawet troje.

– Jesteśmy małżeństwem już od roku – przypomniałam.

– Mamy jeszcze czas.

Spuściłam oczy na swojego drinka – było to coś różowego – i zamieszałam słomką podtopione kostki lodu. Nie była to odpowiedź, której się spodziewałam. Ani trochę.

– Co się dzieje?

– Po prostu, wiesz, wydaje mi się, że nie ma co się spieszyć. Może poczekajmy kilka lat, skupmy się najpierw na pracy.

– Na pracy? – Od kiedy to chciał, żebyśmy skupiali się na karierze?

– No tak. – Matt unikał mojego wzroku. – Weź choćby swoje stanowisko.

– Spuścił oczy, nachylił się bliżej i tym razem popatrzył prosto na mnie. – Afryka. Naprawdę chcesz się zajmować tą częścią świata?

Odwróciłam głowę. Byłam jak najbardziej zadowolona z pracy z kontrwywiadem w Afryce. Miałam akurat dość zajęć, żeby się nie nudzić i nie stracić zainteresowania. Czułam, że moja praca ma sens, nawet jeśli nie podejmowałam wielkich decyzji. I naprawdę nic więcej nie było mi trzeba. Afryka nie była tak prestiżowa jak niektóre inne przydziały, ale mnie to nie przeszkadzało.

– No jasne.

– Nie sądzisz, że ciekawiej byłoby pracować przy... no, chociażby Rosji?

Pociągnęłam długi łyk przez słomkę. Oczywiście, że to byłoby ciekawsze. I bardziej stresujące. Na pewno musiałabym dłużej przesiadywać w biurze. Zresztą w tym dziale pracował taki tłum ludzi, że jakie znaczenie mogła mieć pojedyncza osoba?

– Może.

– Czy to nie byłoby lepsze dla twojej kariery? Łatwiejsze awanse i tak dalej?

Od kiedy to przejmował się awansami? I dlaczego uważał, że mi na nich zależy? Gdyby chodziło mi o pieniądze, nie wybrałabym pracy dla rządu. Ciepło, które mnie dotąd wypełniało, zaczęło lekko ustępować.

– No, to oczywiście twoja decyzja, kochanie. To twoja praca i w ogóle. – Matt wzruszył ramionami. – Po prostu wydaje mi się, że byłabyś szczęśliwsza, gdybyś zajmowała się czymś... ważniejszym. No wiesz...

Te słowa mnie ubodły. Po raz pierwszy poczułam się tak, jakby moja praca nie była dość dobra dla Matta. Jakbym *ja* nie była dość dobra.

Jego twarz zmiękła, Matt nakrył moją dłoń ręką i popatrzył na mnie niespokojnie. Przepraszająco. Jakby wiedział, że zranił moje uczucia.

– Po prostu... No, przy tym chyba pracują najlepsi analitycy, prawda? Przy Rosji?

Skąd to nagłe zainteresowanie Rosją? Nic z tego nie rozumiałam. Owszem, to był atrakcyjny dział, wielu ludzi pragnęło się do niego dostać. Ale praca w mniej prestiżowej sekcji też miała swoje zalety. Można było dopilnować, żeby nic się nie prześlizgnęło przez szpary, żeby niczego nie zaniedbano. Mogłam widzieć efekty swoich działań.

– Należysz do osób, które zawsze chcą być najlepsze. To właśnie w tobie kocham.

*To właśnie we mnie kocha?* Po tym komplementcie poczułam się, jakby mnie spoliczkował.

– I pewnie tego typu zmiany staną się trudniejsze, kiedy będziemy mieli dzieci – ciągnął Matt. – Więc może najpierw powinnaś ustawić się tam, gdzie chcesz trafić, i dopiero *wtedy* zastanówmy się nad dziećmi. – Mówiąc to, zamieszał w szklance słomką, nadal nie patrząc mi w oczy.

Dopiłam resztki swojego drinka. Słodycz zniknęła, została tylko gorycz.

– W porządku – powiedziałam i przeszył mnie dreszcz.

Gdy tylko światła samochodu Matta znikają za rogiem, wchodzę z powrotem do domu. Zaglądam do Elli, która nadal siedzi przed telewizorem, po czym idę do schowka pod schodami. Muszę wiedzieć, co się kryje w tym laptopie.

Schowek jest ciasny, zastawiony stosami niebieskich, plastikowych pojemników. Pociągam za łańcuszek, żeby włączyć światło, i patrzę na wąski odsłonięty pasek podłogi. Wszystko wygląda zupełnie normalnie. Schodzę na czworaka, macam i wreszcie znajduję deskę, która z jednej strony leży nieco nierówno. Przesuwam po niej ręką, próbuję podnieść, ale bez skutku.

Rozglądam się po pomieszczeniu i zauważam śrubokręt na jednym z plastikowych pojemników. Podważam nim deskę i zaglądam do środka. Coś odbija światło. Sięgam i wyciągam z otworu małego srebrnego laptopa.

Siadam po turecku, otwieram komputer i go uruchamiam. Szybko się włącza i widzę czarny ekran z białym paskiem oraz migającym kursorem. Nie ma żadnego tekstu, ale oczywiście chodzi o wprowadzenie hasła.

Próbuję zwykłych haseł Matta, tych, których używa do wszystkiego, różnych kombinacji imion i dat urodzin naszych dzieci. Potem sprawdzam hasło, z którego korzystamy do wspólnych kont. Nic nie działa. Bo też czemu miałyby działać? W mojej głowie pojawia się inny zestaw słów. „Aleksander Lenkow. Michaił i Natalia. Wołgograd”. Nie mam najmniejszego pojęcia, co mogło chodzić Mattowi po głowie, kiedy wymyślał hasło, ani nawet czy sam je wybierał. To na nic.

Sfrustrowana zamykam laptopa i przywracam schowek do takiego stanu, w jakim go zastałam. Wracam do salonu, żeby sprawdzić, co z Ellą.

– Wszystko w porządku, kochanie? – pytam.

– Tak – mruczy, nie odrywając oczu od telewizora.

Stoję przez chwilę, po czym idę na górę do naszej sypialni. Przystaję w drzwiach. Najpierw podchodzę do szafki nocnej Matta. Wyciągam szufladę i zaczynam szperać. Zmięte paragony, drobniaki, jakieś obrazki, które narysowała dla niego Ella. Nic choćby odrobinę podejrzanego. Zaglądam pod łóżko i wyciągam plastikowy pojemnik. Są w nim letnie ubrania Matta: kostiumy kąpielowe, szorty, koszulki. Zamykam pudło i wsuwam je z powrotem.

Otwieram górną szufladę jego komody. Przesuwam stertę bokserek, górę skarpetek, szukam czegokolwiek, co nie powinno się tu znajdować. Potem robię to samo z kolejną szufladą i jeszcze jedną. Nic.



Idę do garderoby. Przesuwam ręką po ubraniach na wieszakach. Koszulki polo, eleganckie koszule, spodnie. Sama nie wiem, czego szukam. Czegoś, co dowiedzie, że Matt nie jest człowiekiem, za którego go uważam. Albo nieobecności tego czegoś: czy to wystarczy, żeby udowodnić, że to wszystko nieprawda?

Na górnej półce leży stara, płócienna torba. Sięgam po nią i przenoszę ją na dywan. Rozsuwam suwak i zaczynam szperać w środku. Kolekcja krawatów – Matt od lat ich nie nosi – i stare czapki bejsbolówki. Sprawdzam wszystkie zapinane kieszenie. Pusto.

Odkładam torbę na półkę, ściągam stertę pudełek na buty i klękam z nimi na podłodze. Pierwsze jest pełne starych rachunków. Drugie – paragonów. W trzecim są wyjściowe buty Matta, czarne i lśniące. Przysiadam na piętach z otwartym pudełkiem na kolanach. Co ja robię? Jak to możliwe, że upadłam tak nisko?

Już mam zakryć karton wiekiem, kiedy coś przyciąga mój wzrok. Coś czarnego, wsunięte w jeden z butów. Wiem, co to jest, jeszcze zanim moje palce zaciskają się na tym przedmiocie.

Pistolet.

Wyciągam go za kolbę i patrzę. Czarny, metalowy zamek, szeroki spust. Marki Glock. Odsuwam zamek i widzę w środku błysk miedzi.

Naładowany.

Matt trzyma w naszej garderobie naładowany pistolet.

Słyszę na dole Elle, która mnie woła. Drżącymi rękami odkładam broń do buta, nakrywam wieko i odstawiam pudła na półkę. Spoglądam na nie po raz ostatni, po czym wyłączam światło i schodzę na dół.

Matt wraca po trzech godzinach. Wchodzi jakby w pośpiechu, zdejmując kurtkę, rzuca mi uśmiech, jednocześnie przepaszający i skrępowany. Potem zbliża się i mnie obejmuje.

– Przepraszam – mówi w moje włosy. Nadal jest zmarznięty po pobycie na dworze. Zimne dłonie, zimne policzki. Przechodzi mnie dreszcz. – Nie powinienem mówić tego wszystkiego. Nie mam prawa się na ciebie denerwować. To moja wina.

Odsuwam się i patrzę na niego. Wygląda i sprawia na mnie wrażenie obcego człowieka. Jedyne, o czym mogę myśleć, to ten pistolet w naszej garderobie.

– Zrobiłeś to, co miałeś zrobić?

Matt cofa ręce i odwraca się, ale udaje mi się dostrzec wyraz jego twarzy. Napięty.

– Tak.

– Więc... wszystko w porządku?

Przed oczami znowu staje mi tamta broń. Minęło już kilka godzin, a ja nadal nie wiem, co o niej sądzić. Czy to dowód, że Matt nie jest tym, za kogo go uważam? Że jest niebezpieczny? A może chce tylko ochronić nas, swoją rodzinę, przed ludźmi, którzy naprawdę są niebezpieczni?

Stoi plecami do mnie, zupełnie nieruchomo. Widzę, jak jego ramiona podnoszą się i opadają, jakby wziął głęboki oddech i wypuścił powietrze.

– Mam nadzieję.

Następnego ranka, kiedy docieram do swojego biurka, widzę czerwone światełko migające na telefonie. Mam wiadomość. Sprawdzam historię połączeń przychodzących. Trzy telefony od Omara, dwa wczoraj i jeden dziś rano. Zamykam oczy. Przecież wiedziałam, że tak będzie. A przynajmniej powinnam wiedzieć. Gdybym się lepiej zastanowiła.

Podnoszę słuchawkę i wybieram jego numer. Miejmy to już za sobą.

– Vivian – mówi bez wstępu Omar.

– Cześć, Omar. Przepraszam, że nie odbierałam twoich telefonów. Wczoraj wyszłam wcześniej z pracy, a dziś dopiero co dotarłam do biura.

– Nie ma sprawy. – Omar wydaje się czymś przejęty.

– Słuchaj, jeśli chodzi o komputer Jurija... – zaczynam, wbijając sobie paznokcie w skórę dłoni. – Nie wygląda to obiecująco. Obawiam się, że nic tam nie ma. – To okropne tak go okłamywać. Przypominam sobie, jak przed laty pocieszałam go, kiedy FBI odrzuciło jego plan. I wszystkie te rozmowy w barze O’Neilla, w biurze i nawet w naszych domach, kiedy żaliliśmy się sobie nawzajem, że nie możemy znaleźć nic wartościowego. I utwierdzaliśmy się w przekonaniu, że śpiochy stanowią prawdziwe zagrożenie – a my nie potrafimy ich powstrzymać. Myślę o naszej przyjaźni, scementowanej wspólnym poczuciem porażki. A teraz wreszcie na coś wpadłam i nie mam wyboru, nie mogę mu o tym powiedzieć.

Omar milczy po drugiej stronie linii.

Zamykam oczy, jakby dzięki temu kłamstwo mogło stać się łatwiejsze.

– Oczywiście musimy poczekać na tłumaczenie i analizę. Ale na razie nie znalazłam nic ciekawego. – Mój głos brzmi zdumiewająco pewnie.

Kolejna pauza.

– Naprawdę nic?

Wpijam paznokcie w ciało jeszcze mocniej.

– Zawsze pozostaje nadzieja, że coś jest ukryte w plikach, jakaś steganografia albo coś podobnego. Ale jak na razie nic.

– Przecież zawsze coś znajdujesz.

Teraz ja z kolei milknę. Rozczarowanie bym zrozumiała. Ale tu chodzi o coś więcej. To jest niepokojące.

– Tak...

– Na przykład z pozostałą czwórką. U wszystkich coś wygrzebałaś. Dość, żeby zlecić tłumaczenie w trybie pilnym.

– Wiem.

– Ale tu nie znalazłaś nic. – To stwierdzenie, nie pytanie. W głosie Omara wyraźnie pobrzmiwa sceptycyzm. Serce bije mi teraz szybko.

– No cóż – mówię, z trudem powstrzymując głos od drżenia. – Tak czy inaczej, na nic jeszcze nie wpadłam.

– Hm – odpowiada Omar. – Peter mówił co innego.

Czuję się, jakby ktoś uderzył mnie pięścią w żołądek, ulatuje ze mnie całe powietrze. Na pewno chodzi o te zdjęcia. Peter je znalazł. Nieważne, co zrobił Matt, to nie wystarczyło. I nagle zdaję sobie sprawę z czyjejś obecności za sobą. Odwracam się. To Peter. Stoi w milczeniu i mnie obserwuje. Słucha.

– Nie wiedziałam, że coś znalazł – mówię do telefonu, nie odrywając wzroku od Petera, żeby wszystko słyszał. W ustach mam strasznie sucho.

Peter kiwa głową. Nie potrafię odczytać wyrazu jego twarzy.

Omar mówi dalej, wspomina, że zajrzy do kwatery głównej, coś o jakimś spotkaniu, ale nic do mnie nie dociera. Myśli kłębią mi się w głowie. Czy Peter znalazł zdjęcie Matta? Niemożliwe, inaczej poszedłby już do działu bezpieczeństwa. Czy zobaczył, że skasowałam folder? To samo. Nie stałby tu, żeby ze mną porozmawiać.

– Vivian?

Mrugam, próbując skupić się na rozmowie. W moim uchu rozbrzmiewa głos Omara.

– To do zobaczenia?

– Tak – mówię cicho. – Na razie.

Rozłączam się i kładę ręce na kolanach, żeby Peter nie widział, jak się trzęsą. Odwracam się do niego i czekam, aż coś powie, bo sama nie

potrafię zmusić ust do posłuszeństwa.

Peter odzywa się dopiero po chwili.

– Nie zdążyłem cię złapać, zanim wykonałaś telefon. Rano włączyłem Athenę i rozejrzałem się trochę. Pomyślałem, że przyda ci się pomoc. Chciałem trochę cię odciążyć.

O Boże. Powinnam była się domyślić, że może to zrobić.

– Znalazłem pewien folder. Został wykasowany.

Moje dzieci. Widzę w głowie ich twarze. Ich uśmiechy, oczy pełne radości i niewinności.

– Nazywa się „Przyjaciele”...

Luke jest na tyle duży, żeby to zrozumieć. Ile razy mu powtarzaliśmy, że nie wolno kłamać? A teraz się dowie, że całe życie jego ojca, małżeństwo jego rodziców, wszystko to było kłamstwem.

– Pięć zdjęć...

I Ella. Ella uwielbia Matta. To jej bohater. Jak to na nią wpłynie?

– Spotkanie z FBI o dziesiątej...

Chase i Caleb. Za młodzi, żeby to zrozumieć, za młodzi, by zachować jakieś wspomnienia naszej rodziny sprzed katastrofy, do której wkrótce dojdzie.

– Omar tam będzie...

Omar. Omar zna Matta. Przedstawiłam ich sobie, kiedy zaczęłam spędzać z Omarem więcej czasu. Był u nas w domu, a my byliśmy u niego. Może Peter nie rozpoznał Matta. Ale Omar na pewno go pozna. A zresztą jeśli ja także będę w pokoju, kiedy pokażą to zdjęcie...

Muszę udawać. Zachowywać się tak, jakbym była zaskoczona.

– Vivian?

Mrugam. Peter patrzy na mnie z uniesionymi brwiami.

– Przepraszam – odpowiadam. – Co mówiłeś?

– Będiesz? Na spotkaniu?

– Tak. Tak, oczywiście.

Peter waha się przez chwilę i na jego twarzy widać troskę. Potem odchodzi, wraca do siebie. Wpatruję się w ekran, usiłując sobie przypomnieć, jak się poczułam, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam zdjęcie Matta, bo teraz będę musiała to odegrać. Niedowierzanie. Niezrozumienie. Strach.

A potem racjonalizacja: Rosjanie dopiero planują go zwerbować.

Mogłabym od razu poprosić, żeby Peter pokazał mi te pliki. Wtedy tylko

przed nim musiałabym udawać, że nigdy dotąd nie widziałam tego zdjęcia. Ale lepiej mieć więcej świadków, którzy zobaczą, jak próbuję sobie poradzić z tym odkryciem.

O ile zdołam to zrobić w dostatecznie przekonujący sposób.

Nie „o ile”. Muszę być przekonująca. Bo jeśli choćby w najdrobniejszy sposób zdradzę, że już o tym wiem, szybko się domyślą, że to nie Jurij skasował pliki.

Że to byłam ja.

Peter wraca za pięć dziesiąta. Razem idziemy do skrzydła, gdzie mieszczą się biura kierownictwa kontrwywiadu.

– Vivian, czy wszystko w porządku? – pyta Peter, patrząc na mnie sponad okularów.

– Tak – odpowiadam. W swojej wyobraźni jestem już w sali konferencyjnej i oglądam zdjęcie Matta.

– Jeśli potrzebujesz więcej wolnego czasu, żeby zająć się Calebem...

Kręcę głową. Nie przychodzą mi na myśl żadne słowa. Powinnam zrobić to, co mówił Matt. Powinnam wszystko im powiedzieć. I tak go nakryją, tyle że teraz ja również wpakowałam się w kłopoty. Czemu go nie posłuchałam?

Wchodzimy do skrzydła i sekretarka prowadzi nas do sali konferencyjnej. Byłam tu kilkakrotnie, ale za każdym razem czuję się tak samo niezręcznie. Pomieszczenie jest ciemniejsze, niż to konieczne, stoją w nim ciężki, lśniący stół i drogie skórzane fotele. Na ścianach wiszą cztery zegary, wskazujące czas w Waszyngtonie, Moskwie, Pekinie i Teheranie.

Omar siedzi już przy stole z dwoma innymi mężczyznami z FBI, obaj mają na sobie garnitury. To chyba jego szefowie. Kiwa do mnie głową, ale bez zwykłego uśmiechu, to zaledwie skinienie. Nie odrywa od mnie wzroku.

Siadam po drugiej stronie stołu i czekam. Peter podchodzi do komputera, loguje się i widzę, jak wielki ekran na ścianie ożywa. Peter uruchamia Athenę, a ja wbijam spojrzenie w zegar na ścianie, ten z czasem lokalnym. Patrę, jak długa wskazówka rusza się po tarczy, skupiam się na niej, bo wiem, że jeśli pomyślę o Matcie, o dzieciach, to się rozsypię. Wszystko się rozsypie i nigdy się z tego nie otrząsnę. Muszę przez to przebrnąć.

Kilka chwil później wchodzi Tina, a za nią Nick, szef sekcji rosyjskiej,

oraz dwójka asystentów w czarnych garniturach. Tina wita się, kiwając wszystkim głową, i zajmuje miejsce u szczytu stołu. Na jej twarzy widnieje nieprzyjemny wyraz. Nieprzyjemny i wzbudzający strach.

– Więc weszliśmy do laptopa numer pięć – zaczyna. – Mam nadzieję, że tym razem mieliśmy więcej szczęścia niż przy pierwszej czwórce? – Jej wzrok przesuwają się po pokoju i zatrzymuje na Peterze.

Peter odchrząkuje.

– Tak jest.

Pokazuje gestem ekran z główną stroną Atheny. Klika dwa razy ikonkę z imieniem Jurija i sekundę później widzę wierne odwzorowanie pulpitu z niebieskimi bańkami, który tak dobrze znam. Mój wzrok zsuwa się na ostatni rząd ikon, do miejsca, gdzie powinien być folder ze zdjęciami, ale nic tam nie ma.

Peter coś mówi, lecz nie słyszę jego słów. Skupiam się na tym, jak udąć zaskoczenie, i jednocześnie próbuję zapanować nad twarzą, bo wiem, że Omar mnie obserwuje. Patrzę, jak na ekranie pojawia się rząd znaków: to program odzyskiwania danych. Chwilę później folder zostaje przywrócony. „Przyjaciele”.

I już. Moje życie w formie, w jakiej je znałam, właśnie dobiega końca.

Próbuję wypchnąć z umysłu twarz dziecka. Oddycham przez nos, wdech, wydech.

Peter klika i pojawia się lista z pięcioma zdjęciami. Przesuwa kursor na górę ekranu i zmienia widok z listy nazw plików na duże ikony. Na ekranie natychmiast pojawia się pięć fotografii. Niejasno dostrzegam na pierwszej z nich okrągłe okulary, a na drugiej – jaskrawopomarańczowe włosy. Moje spojrzenie skupia się jednak na tej trzeciej. Na Matcie.

Ale to wcale nie jest Matt.

## Rozdział 8

To ktoś, kto wygląda jak Matt. W każdym razie podobnie. Ciemne włosy, ciemne oczy, szeroki uśmiech. Samo zdjęcie też zdecydowanie przypomina to, które było tu poprzednio z tą samą nazwą pliku. Ta sama pozycja modela, ta sama odległość od aparatu, to samo tło. Ale rysy niezaprzeczalnie się różnią. To zupełnie inna osoba. Wcale nie mój mąż.

Mrugam. Raz, drugi. Ogarnia mnie niedowierzanie, które powoli przeradza się w ulgę. W ogromną, absolutnie cudowną falę ulgi. Mattowi się udało. Naprawił to, dokładnie tak, jak mówił. Nie wiem, jak tego dokonał, ale jego zdjęcia już tu nie ma. Naszej rodzinie nic nie grozi.

Jesteśmy bezpieczni.

Wreszcie odrywam wzrok od fotografii, spoglądam w lewo, na pierwsze i drugie zdjęcie, na człowieka w okrągłych okularach i kobietę o pomarańczowych włosach. Oddech więźnie mi w gardle. Mężczyzna ma ostrzejsze rysy niż wczoraj, bardziej kwadratową brodę. Kobieta ma wyższe kości policzkowe i szersze czoło. To też są inni ludzie.

Patrząc w prawo, na dwa ostatnie zdjęcia, na bladą kobietę i mężczyznę z nastroszonymi włosami, choć z góry wiem, co zobaczę. Podobne rysy, podobne ujęcia, ale inni ludzie niż wczoraj.

O Boże.

Matt to jedna sprawa. Ale pozostała czwórka?

Czuję coś w piersi, narasta we mnie miazdzące ciśnienie. Sama nie wiem czemu. Kiedy skasowałam zdjęcie Matta, usunęłam też pozostałe cztery pliki. Byłam skłonna się ich pozbyć, by chronić swojego męża. Więc dlaczego przeszkadza mi, że one również zostały zastąpione? Co to za różnica?

Przez mgłę w moim umyśle przedzierają się głosy. Rozmowa, Tina i Peter. Zastanawiają się, czy to naprawdę mogą być uśpieni agenci. Znowu mrugam i próbuję się skupić.

– Ale folder nie jest zaszyfrowany – mówi Tina.

– To prawda, choć zgodnie z całym naszym doświadczeniem powinien być – odpowiada Peter. – Ale został wykasowany.

Tina przechyla głowę, marszczy brwi.

– Jakaś pomyłka Jurija?

Peter kiwa głową.

– Niewykluczone. Może folder został pobrany przypadkowo albo szyfrowanie się nie powiodło, albo coś w tym stylu, i Jurij po prostu to skasował.

– Nie zdając sobie sprawy, że pliki nadal tam będą – uzupełnia Tina.

– No właśnie.

– I że je znajdziemy.

Peter znowu potakuje.

Tina przykładą palec wskazujący do ust, jasnoczerwony lakier do paznokci odbija światło. Stuka raz, drugi. Potem spogląda na reprezentację FBI – Omara i dwóch agentów w ciemnych garniturach, wszyscy trzej siedzą z rękami złożonymi przed sobą.

– Jakież opinie?

Ten w środku odchrząkuje i odzywa się:

– Trzeba założyć, że te zdjęcia to trop wiodący do rosyjskich szpiechów.

– Zgadzam się.

– Zrobimy, co w naszej mocy, żeby zidentyfikować tych ludzi.

Tina szorstko przytakuje.

W głowie mi pulsuje. Oni wcale nie są agentami. Może to nawet nie są prawdziwi ludzie, ale cyfrowo zmienione kombinacje różnych osób, które pošlą FBI w pogoń za fałszywym tropem.

I to wszystko moja wina. To ja ujawniłam tajne informacje. No jasne, zrobiłam to, żeby chronić swoją rodzinę. Ale teraz straciliśmy możliwość namierzenia czterech pozostałych rosyjskich agentów. Chwytam podłokietniki fotela i czuję w głowie nagłą lekkość. Co ja narobiłam?

Rozmowa toczy się dalej. Usiłuję się skupić, słyszę imię Jurija.

– W Moskwie – mówi Peter.

– Wiemy, gdzie dokładnie w Moskwie? – pyta Tina.

– Nie. Ale oczywiście dołożymy wszelkich starań, żeby odkryć jego miejsce pobytu.

– A komputer? Mamy jakieś informacje o jego lokalizacji?

– Nie. Nie używał go, żeby podłączyć się do internetu.

On jest *tutaj*, krzyczę w myślach. W Stanach, w tym mieście. Na fałszywych papierach. Co kilka miesięcy, albo kiedy mój mąż wyśle mu wiadomość, zagląda na placyk przy banku w dzielnicy Northwest. Zaciskam zęby, a gdy podnoszę głowę, widzę przyglądającego mi się



Omara. Nie mruga, nie uśmiecha się. Nie słyszę reszty rozmowy, tylko pulsującą mi w uszach krew.

Po spotkaniu wracam korytarzem, chcąc jak najszybciej uciec z powrotem do swojego biurka, lecz Omar dogania mnie truchtem i rusza obok. Serce bije mi mocno. Nie wiem, o czym Omar chce ze mną rozmawiać ani co mam mu powiedzieć, jak odpowiedzieć na jego pytania.

– Wszystko w porządku, Vivian?

Spoglądam na niego i widzę na jego twarzy wyraz troski – może fałszywej? Nagle zasycha mi w ustach.

– Tak. Po prostu mam pewien problem.

Kolejnych kilka kroków, nadal w tym samym tempie, i już stoimy przed windą. Wciskam guzik, patrzę, jak zapala się światełko, i mam nadzieję, że winda zjedzie jak najszybciej.

– Sprawy rodzinne? – pyta Omar. Sposób, w jaki to mówi, jego wystudiowana obojętność, sprawiają, że zaczynam podejrzewać w tej rozmowie przesłuchanie. Może było to jedno z tych niewinnych wstępnych pytań, których zadaniem jest nawiązanie dobrej relacji z przesłuchiwanym – albo wprowadzenie go w pułapkę.

Odwracam się w stronę zamkniętych drzwi windy.

– Tak. Ella jest chora. A Caleb miał kilka wizyt u lekarza... – Milknę, zastanawiając się irracjonalnie, czy te kłamstwa nie sprowadzą na moje dzieci nieszczęścia. Karma i tak dalej.

Kątem oka widzę, że Omar też patrzy przed siebie.

– Przykro mi to słyszeć. – Spogląda na mnie. – Pamiętaj, że się przyjaźnimy. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebować jakiejś pomocy...

Kiwam szybko głową i patrzę na numery nad drzwiami windy. Zmieniają się, ale wolno, o wiele za wolno. Co to miało znaczyć? Jeśli kiedykolwiek będę potrzebować jakiejś pomocy? Stoimy obok siebie i czekamy.

Wreszcie rozlega się dzwonek i drzwi się otwierają. Wchodzimy do środka. Wciskam przycisk z numerem swojego piętra i spoglądam na Omara. Powinnam się odezwać, nawiązać jakąś rozmowę. Nie możemy jechać tak w milczeniu. To nienormalne. Zastanawiam się, co powiedzieć, kiedy on odzywa się pierwszy.

– Wiesz, tu jest jakaś wtyczka.

– Co?

Omar patrzy na mnie.

– Kret. W Centrum Kontrwywiadu.

Dlaczego mi to mówi? Czyżby mnie podejrzewali? Z trudem staram się dopilnować, by na mojej twarzy nie pojawił się żaden wyraz.

– Nie wiedziałam.

Omar kiwa głową.

– FBI prowadzi dochodzenie w sprawie jednej osoby.

Przecież nie może chodzić o mnie, prawda? Jak mam na to zareagować?

– Niewiarygodne.

– No.

Omar milknie, a ja nie mam pojęcia, co jeszcze powinnam powiedzieć. Jestem pewna, że w tej ciszy słyszę bicie mojego serca.

– Słuchaj, poświadczyłem za ciebie – mówi nagle Omar, szybko i cicho. – Powiedziałem, że jesteś moją przyjaciółką i nie ma mowy, żebyś to zrobiła. Że powinni zostawić cię w spokoju.

Winda staje. Nie oddycham. Całkowicie znieruchomiałam. Drzwi się otwierają.

– Ale coś tu się kroi. Wiem o tym. – Omar ścisza głos. – I w końcu ciebie też sprawdzą.

Zmuszam się, żeby na niego spojrzeć. Na jego twarzy widać troskę i współczucie i z jakiegoś powodu przeraża mnie to bardziej niż zwykła podejrzliwość. Omar wyciąga rękę na bok, żeby przyblokować czujniki, i przytrzymuje dla mnie drzwi. Wychodzę z windy, oczekując, że za mną podąży. Nie robi tego, więc odwracam się z powrotem. Przeszywa mnie wzrokiem.

– Jeśli masz kłopoty – mówi, odsuwając rękę tak, żeby drzwi zaczęły się zamykać – to wiesz, gdzie mnie szukać.

Reszta dnia zaciera się w mojej pamięci. W naszych boksach buzuje, wszyscy rozmawiają o pięciu zdjęciach i o tym, jak najlepiej namierzyć Jurija, naradzają się, jak dotrzeć do jego łącznika, czyli kierownika siatki. A ja chcę tylko, żeby to wszystko po prostu zniknęło. Chcę zostać sam na sam ze swoimi myślami, chcę mieć czas, żeby to wszystko przetrwać.

Choćby ta rozmowa z Omarem. Dlaczego ostrzegł mnie o krecie? I dlaczego zachowywał się tak, jakby podejrzewał, że mnie nakryto? Jeśli myśli, że to ja jestem szpiegiem, czemu chroni mnie przed dochodzeniem?

Wszystko to nie ma za grosz sensu.

Do tego Matt i te zdjęcia. Nie wiem, jak to zrobił. Przecież niemożliwe,

żeby sam miał dostęp do komputera Jurija. Bardziej prawdopodobne, że z nim rozmawiał. Ale chyba Matt by mnie nie zdradził? Obiecał, że nikomu nie powie.

Czuję ciężar na sercu. Ogarnia mnie ponury nastrój. Wszystkie pięć zdjęć uległo zmianie. Jeśli celem była ochrona mojej rodziny, wystarczyło zająć się tylko zdjęciem Matta. Podmienienie wszystkich pięciu dokonało czegoś więcej. Zapewniło ochronę całej siatce śpiących agentów.

Patrzę na zdjęcie w kącie biurka, to z naszego ślubu. Patrzę w oczy Matta, aż wydają się ze mnie szydzić. „Czy starasz się zrobić to, co najlepsze dla nas?” – myślę. „Czy dla nich?”.

O ciąży dowiedziałam się dokładnie dwa miesiące po przeniesieniu do sekcji rosyjskiej. Pamiętam, jak siedziałam na skraju wanny i wpatrywałam się w mały patyczek oraz niebieską, wolno ciemniejącą kreskę, porównując ją z ilustracją na opakowaniu. Ogarniały mnie na przemian niedowierzanie i radość.

Miałam przeróżne urocze plany, jak przekazać tę informację Mattowi – pomysły, które znałam od znajomych albo wyczytałam w internecie, zachowane przez lata w pamięci. Ale kiedy zobaczyłam tę kreskę, kiedy dowiedziałam się, że noszę w sobie dziecko, *nasze* dziecko, nie mogłam czekać. Niemal wyskoczyłam z łazienki. Matt był w garderobie, zapinał właśnie koszulę. Przystanęłam przed nim i zawahałam się na sekundę, po czym z wielkim uśmiechem pokazałam mu test.

Jego ręce znieruchomiały. Popatrzył na test, a potem na mnie, i otworzył szeroko oczy.

– Naprawdę? – zapytał.

A kiedy pokiwałam głową, na jego twarzy ukazał się wyraz radości, którego nigdy nie zapomnę. Od czasu wyjazdu na Bahamy dręczyły mnie obawy, że może Matt nie pragnie dzieci tak bardzo, jak mi się wydawało i jak ja ich pragnęłam. Ale ten uśmiech rozwiął wszelkie resztki zwątpienia. Widniała w nim czysta radość. Nigdy nie widziałam Matta tak szczęśliwego.

– Będziemy mieli dziecko – szepnął i usłyszałam w jego słowach takie samo zadziwienie, jakie sama czułam. Kiwnęłam głową, a on podszedł bliżej, objął mnie i pocałował, jakbym nagle stała się czymś niezmiernie kruchym. Miałam wrażenie, że serce rośnie we mnie jak balon i zaraz po prostu wypłynie mi z piersi.

Cały dzień w pracy spędziłam w radosnym oszołomieniu, przyłapując się na tym, że gapię się w ekran komputera albo na stronę raportu i nic nie widzę. Kiedy nikt nie patrzył, otworzyłam w komputerze informacje dla pracowników, znalazłam sekcję o urlopie macierzyńskim i nieobecnościach. Wcisnęłam klawisz „drukuj” i schowałam kartki do torby.

Wyszłam z pracy przed czasem i zjadłam w domu uroczą kolację, przygotowaną przez Matta. Chyba z dziesięć razy pytał, jak się czuję i czy czegoś mi nie potrzeba. Potem przebrałam się w dresy, wyciągnęłam wydruki i przyniosłam je na kanapę, gdzie Matt przeglądał nagrane programy. Zatrzymał je i popatrzył na kartki, a potem na mnie. Jego twarz wyrażała coś, czego nie potrafiłam do końca odczytać.

Wreszcie wybrał jakiś program, jeden z konkursów kulinarnych, a ja wtuliłam się w niego, położyłam mu głowę na piersi i zaczęłam oglądać razem z nim. Kiedy program dobiegł końca i uczestnicy ustawili się przed jurorami, Matt zatrzymał nagranie.

– Potrzebny nam dom – powiedział.

– Co?

Słyszałam jego słowa, ale było to tak niespodziewane, że nie rozumiałam od razu.

– Dom. Nie możemy wychowywać dziecka *tutaj*.

Ogarnął gestem nasze mieszkanie. Rozejrzałam się. Salon, kuchnia, jadalnia – jednym spojrzeniem mogłam ogarnąć każdy centymetr. To miejsce nigdy dotąd nie wydawało mi się tak ciasne.

Ale z drugiej strony mieliśmy swobodę. Nie obciążała nas hipoteka. Mieszkaliśmy blisko centrum. Nigdy nie czułam potrzeby, żeby kupować dom. Sądziłam, że Matt też nie.

– No, przez pierwszych kilka lat... – zaczęłam.

– Potrzebna nam przestrzeń. Podwórko. Prawdziwa sąsiedzka wspólnota.

Wydawał się tak pewny swego, tak przejęty. No i przecież miło byłoby mieć kiedyś te wszystkie rzeczy. Wzruszyłam ramionami.

– Nie zaszkodzi się rozejrzeć.

Zanim upłynął tydzień, mieliśmy już pośrednika nieruchomości, myszowatego facecika o rzadkich siwych włosach, na które gapiłam się z tylnego siedzenia jego samochodu, kiedy jeździliśmy po całym Waszyngtonie. Zaczęliśmy w pobliżu miasta, w naszym przedziale cenowym. Domy były małe. W większości nadawały się do remontu.

Widziałam po twarzy Matta, że żaden z nich ani trochę mu się nie podoba. „Te schody byłyby niebezpieczne dla dzieci” – mówił. Albo: „Potrzebujemy więcej przestrzeni. Tu nie ma miejsca na huśtawki”. Zawsze znajdował jakiś problem.

Zaczęliśmy więc zapuszczać się dalej od centrum, gdzie domy były większe, ale niekoniecznie lepsze. Albo lepsze, ale nie większe. W końcu zwiększyliśmy budżet. Myślałam, że dzięki temu znajdziemy kilka propozycji, spośród których zdołamy coś wybrać. Może domy będą strasznie przestarzałe, ale przynajmniej da się w nich mieszkać. I ciasne, ale jakoś sobie poradzimy. I na przedmieściach, ale w końcu żadne z nas i tak nie korzystało z transportu miejskiego.

Niemniej Matt wszędzie wyszukiwał coś, co wykluczało daną propozycję. Półpiętro zbyt niebezpieczne dla niemowlaków. Ogródek ze strumykiem – a co, jeśli dzieci wpadną do wody? Nigdy dotąd nie był aż tak wybredny.

– W życiu nie znajdziemy ideału – powiedziałam wreszcie.

– Chcę po prostu znaleźć coś, co będzie najlepsze dla dziecka. I dla pozostałych dzieci, jakie możemy jeszcze mieć – powiedział. Po czym rzucił mi spojrzenie: „Myślałem, że ty też tego pragniesz?”.

Gdyby pośrednik nie był tak mało przedsiębiorczy – i nie ostrzył sobie zębów na tak dużą prowizję, kiedy wreszcie się na coś zdecydujemy – przysięgłabym, że da sobie spokój. Mimo to szukaliśmy dalej. Znowu zwiększyliśmy budżet, zaczęliśmy rozglądać się nawet w dalszych okolicach, w hrabstwach na pograniczu miasta i wsi. Były to, jak wyjaśnił nasz agent, tak zwane zamieścia.

Matt zaczął okazywać nieco większy entuzjazm. Podobały mu się wielkie kolonialne rezydencje, duże podwórka, sąsiedztwa pełne dzieciaków na rowerach. Ja krzywiłam się na ceny i na odległość od miasta.

– Ale pomyśl, jakie to wspaniałe miejsce dla dzieci – odpowiadał, a z tym przecież nie mogłam się spierać.

Wreszcie coś znaleźliśmy. Odnowiony dom ze świetnym rozkładem pomieszczeń, w ślepej uliczce, osłonięty od tyłu drzewami. Po minie Matta od razu widziałam, że jego zdaniem to ideał. Mnie też się podobał. Wyobrażałam sobie, jak wychowujemy tam dzieci. I choć nigdy bym się do tego nie przyznała, miałam już całkowicie, absolutnie dość naszych poszukiwań. Wolałabym siedzieć w domu i czytać poradniki ciążowe. Wieczorem postanowiliśmy, że złożymy ofertę.

Ale następnego dnia zeszłam na dół i zastałam Matta nad włączonym

laptopem. Od razu zobaczyłam, że coś jest nie tak. Wyglądał, jakby nie spał.

– Chodzi o szkoły – wyjaśnił. – Tragiczne.

Podeszłam do komputera i popatrzyłam. Na ekranie znajdował się ranking szkół. Matt miał rację: faktycznie były tragiczne.

– Musimy mieć dobre szkoły – powiedział.

Odwrócił się z powrotem do ekranu. Zminimalizował okno i pojawiło się inne. Dom. Mały, nie robił wielkiego wrażenia, przypominał te, które oglądaliśmy na samym początku.

– To w Bethesdzie – powiedział Matt. – Wszystkie tamtejsze szkoły to dziesiątki. – W jego głosie brzmiało podniecenie. Ostatni raz słyszałam u niego taki ton, kiedy weszliśmy do tej wymarzonej kolonialnej rezydencji. – Viv, to nasz dom.

– Jakiś mały... A przecież te małe ci się nie podobały.

– Wiem. – Matt wzruszył ramionami. – Najwyżej się trochę ściśnimy. No i nie będziemy mieli wielkiego ogródka. Nie dostanę wszystkiego, co mi się wymarzyło. Ale szkoły są fantastyczne. Warto będzie, przez wzgląd na dzieciaki.

Spojrzałam uważnie na ekran.

– Widziałeś, ile on kosztuje?

– Tak, niewiele więcej niż ten ostatni. Ten, który zamierzaliśmy kupić.

Czułam, że serce bije mi jak szalone. Niewiele więcej? Różnica wynosiła prawie pięćdziesiąt tysięcy! A już cena tego ostatniego domu sporo przekraczała nasz budżet, który zresztą moim zdaniem też przerastał nasze możliwości. Zdecydowanie nie było nas na to stać.

– Możemy sobie na niego pozwolić – powiedział Matt, czytając w moich myślach. Otworzył kolejne okno z jakąś tabelką. – Widzisz?

To był budżet. Matt wszystko już wyliczył.

– Niedługo powinienem dostać podwyżkę. Ty też co roku będziesz miała większą pensję, a w końcu awansujesz. Damy radę.

Prawie nie mogłam oddychać.

– Ale będę musiała zostać w pracy.

Zapadła niezręczna cisza.

– A chciałaś z niej zrezygnować?

– No, nie. Nie zrezygnować. Ale może bezpłatny urlop...

Chyba rzeczywiście nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Po prostu było dla mnie oczywiste, że na jakiś czas zostanę w domu. I byłam przekonana, że

Matt także tego pragnie. W końcu nasze matki zajmowały się nami, kiedy byliśmy mali. A nie mieliśmy w pobliżu żadnych krewnych. Chyba nie chciał, żebyśmy oddali dziecko do żłobka?

– Przecież nie jesteś typem kury domowej, prawda? – spytał Matt.

Typem kury domowej? Co to miało znaczyć?

– Nie mówię, że chcę zrezygnować z pracy *na zawsze*. – Znowu poczułam się jak w tamten dzień na plaży, znów odniosłam wrażenie, że nie jestem dość dobra, że Matt miał mnie za kogoś lepszego. – Tylko na jakiś czas.

– Przecież uwielbiasz swoją pracę.

Wcale jej nie uwielbiałam, już nie. Od kiedy przeniosłam się do sekcji rosyjskiej. Nie odpowiadały mi stres, długie godziny, poczucie, że nieważne, jak ciężko pracuję, i tak nie widzę żadnych efektów. Wiedziałam, że z dzieckiem będzie jeszcze gorzej.

– Lubię, kiedy moje działania przekładają się na wymierne efekty. Ale od kiedy zaczęłam pracować przy Rosji...

– Przecież masz najlepszą pracę w CIA, prawda? Każdy by się z tobą zamienił.

Zawahałam się.

– Owszem, to dobra praca.

– I rzuciłabyś to, żeby przesiadywać w domu z dzieckiem?

Utkwiłam w nim spojrzenie.

– *Z naszym* dzieckiem. I owszem, może tak. Sama nie wiem.

Matt pokręcił głową i w pokoju znowu zapadła niezręczna cisza.

– Jeśli zrezygnujesz z pracy, jak oszczędzimy na studia dla dzieci? Skąd weźmiemy pieniądze na wakacje i inne takie? – spytał wreszcie.

Po raz pierwszy, od kiedy zrobiłam sobie test, zaczęło mi się robić niedobrze. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Matt mówił dalej:

– Viv, te wszystkie szkoły mają po dziesięć punktów. *Dziesięć*. To niesamowite. – Wyciągnął rękę i położył ją na moim podbrzuszu, patrząc na mnie wymownie. – Ja tylko myślę o tym, co będzie najlepsze dla dziecka.

W ciszy, która zapadła, zawisło niewypowiedziane pytanie: „A ty?”

Oczywiście, że tak. Jak to możliwe, że już zaczęłam się czuć niczym wyrodna matka? Spojrzałam z powrotem na ekran. Znowu widać było na nim ten dom. Już teraz miałam wrażenie, że jest dla nas jak kula u nogi, a przecież nawet nie zdążyliśmy go obejrzeć. Kiedy wreszcie się odezwałam, mój głos był zduszony:

– Chodźmy go obejrzyć.

Tego wieczoru wracam do domu później niż zwykle. Kiedy wchodzę, wszyscy siedzą przy kuchennym stole, a w kolorowych, plastikowych miskach i na dziecięcych krzeselkach do jedzenia widzę resztki spaghetti i pulpetów.

– Mamusia! – woła Ella.

– Cześć, mamo – mówi jednocześnie Luke.

Bliźniaki są bez koszulek, buzie mają pokryte sosem do spaghetti, kawałki makaronu poprzyklejały im się do czoła, do ramion, do włosów. Matt uśmiecha się do mnie, jakby wszystko było jak zawsze i nic się nie wydarzyło. Potem wstaje, idzie do kuchenki i zaczyna nakładać mi na talerz kolację.

Zostawiam kurtkę i torebkę przy drzwiach i wchodzę do kuchni z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Całuję w głowę Ellę, a potem Luke'a. Macham do usadzonych po przeciwnych stronach stołu bliźniaków. Chase raczy mnie szczerbatym uśmiechem i wali w swoją tackę, posyłając w powietrze kropelki sosu. Podsuwam sobie krzesło w tym samym momencie, w którym Matt stawia przede mną talerz ze spaghetti. Siada naprzeciwko mnie, a ja patrzę na niego i czuję, jak twarz mi tężeje.

– Dzięki – mówię.

– Wszystko w porządku? – pyta ostrożnie.

Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zwracam się do Elli:

– Jak się czujesz, skarbie?

– Lepiej.

– To dobrze.

Patrzę przelotnie na Matta. Obserwuje mnie. Przenoszę uwagę na Luke'a.

– Jak szkoła?

– W porządku.

Próbuję wymyślić coś jeszcze, o co mogę spytać. Coś konkretnego. Jakaś klasówka albo prezentacja, albo coś w tym stylu, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Zamiast tego biorę kęs letniego spaghetti, z premedytacją unikając wzroku Matta.

– Wszystko w porządku? – pyta mnie znowu.

Przeżuwam wolno.

– Myślałam, że nie. Ale nagle, czary-mary, okazuje się, że wszystko jest okej. – Mówiąc to, wbijam w niego wymowne spojrzenie.



Matt rozumie. Widzę to po jego minie.

– Cieszę się – odpowiada.

Zapada niezręczna cisza. Wreszcie przerywa ją Ella.

– Tatusiu, już zjadłam – mówi. Oboje na nią spoglądamy.

– Poczekaj, aż mamusia też skończy, kochanie – mówi Matt.

Kręcę głową.

– Nie ma potrzeby.

Matt waha się, lecz ja patrzę na niego stanowczo. „Daj jej wstać od stołu. Niech wszyscy sobie idą, żebyśmy mogli porozmawiać”.

– W porządku – mówi do mnie Matt, a potem zwraca się do Elli: – Zanieś, proszę, swoją miskę do zlewu.

– Tato, a ja też mogę już wstać? – pyta Luke.

– Jasne, młody.

Luke i Ella odchodzą od stołu. Matt bierze wilgotne ściereczki i zaczyna wycierać buzię i rączki Chase'a. Jem jeszcze kilka kęsów, patrząc, jak doprowadza dziecko do porządku, wyjmuję z krzeselka i stawia na podłodze. Patrzy na mnie przelotnie, po czym zaczyna zajmować się Calebem. Wreszcie odkładam widelec. Nie mam apetytu; po co wmuszać w siebie jedzenie?

– Jak to zrobiłeś? – pytam.

– Masz na myśli podmienione zdjęcia?

– Tak.

Matt skupia się na naszym synku, wyciera jego małe, pulchne paluszki.

– Mówiłem, że cię z tego wyplączę.

– Ale jak to zrobiłeś?

Nie odpowiada, nie patrzy na mnie, dalej wyciera ręce Calebowi.

Zgrzytam zębami.

– Czy możesz odpowiedzieć mi na pytanie?

Matt wyjmuje Caleba z krzeselka i sadza go sobie na kolanach. Malec wtyka sobie paluszki do buzi i zaczyna je ssać.

– Mówiłem, że lepiej, jeśli nie będziesz znała szczegółów.

– Tylko bez takich tekstów. Sam to zrobiłeś? A może komuś o tym powiedziałeś?

Matt zaczyna podrzucać Caleba na kolanie.

– Powiedziałem Jurijowi.

To dla mnie wstrząs, czuję się zdradzona.

– Przecież mówiłeś, że nikomu nie powiesz.

Na twarzy Matta pojawia się wyraz niezrozumienia.

– Co takiego?

– Obiecałeś, że nigdy o tym nie powiesz.

Matt mruga i nagle sobie przypomina.

– Nie, Viv, obiecałem tylko, że nie powiem o tym *FBI*.

Gapię się na niego. Caleb wije się i próbuje wydostać się z jego objęć.

– Musiałem mu powiedzieć. Nie miałem wyboru – mówi Matt. Caleb krzyczy i wierci się coraz mocniej. – Zaraz wrócę – mruczy Matt i zabiera dziecko do salonu.

Spoglądam na swoje dłonie, na ślubną obrączkę. Czy tak czuje się ktoś, kogo zdradzono? Wychodząc za Matta, sądziłam, że mi się poszczęściło i że nigdy nie będę musiała się tego obawiać. W życiu nie potrafiłabym sobie wyobrazić, że mnie zdradzi. Zakrywam lewą dłoń prawą, obrączka znika mi z oczu.

Matt wraca chwilę później, sam. Znowu siada. Słucham odgłosów z sąsiedniego pokoju. Luke i Ella grają w Czarnego Piotrusia.

Spuszczam głos i nachylam się niżej.

– Więc teraz Rosjanie wiedzą, że wyjawiałam ci tajne informacje.

– Tylko Jurij.

Kręcę głową.

– Jak mogłeś to zrobić?

– Gdybym sam mógł się tym zająć, tobym to zrobił. Ale nie byłem w stanie. Jedynym sposobem było zwrócić się do Jurija.

– I podmienić wszystkie *pięć* fotografii?

Matt odchyła się na krzesło i patrzy na mnie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiadam. Bo co miałabym powiedzieć? Że nie mam pewności, czy naprawdę jest wobec mnie lojalny?

– Nic z tego by się nie wydarzyło, gdybyś zwyczajnie im o mnie powiedziała.

Matt patrzy na mnie, jakby to *jego* zdradzono.

Ale ma rację. I czuję, jak buzujący we mnie gniew zmienia się częściowo w poczucie winy. Przecież Matt sam mówił, żebym na niego doniosła. Nie polecał od razu do Jurija. Te zdjęcia nie zmieniły się pierwszego dnia.

Gdyby bardziej mu zależało na Rosjanach niż na mnie, zrobiliby coś natychmiast, kiedy się o tym dowiedział.

– Więc teraz już wszystko okej? – pytam wreszcie. Próbuję odsunąć od

siebie twarze pozostałych czterech śpiochów i zapomnieć, że przeze mnie nikt nie zdoła ich już wykryć. „To ty skasowałaś folder, Viv. To ty pierwsza usunęłaś te pliki”. – Jesteśmy już bezpieczni?

Matt odwraca wzrok i widzę już, że odpowiedź brzmi: nie.

– No cóż, nie do końca.

Nie do końca. Zmuszam się do zastanowienia.

– Bo nadal mogą wykryć, że to ja usunęłam folder?

Wyobrażam sobie przesłuchanie w dziale bezpieczeństwa, kiedy odkryją, że skasowałam pliki. Mogę powiedzieć, że to był wypadek. Nie mam pojęcia, jak to zrobiłam. Może okaże się to trochę naciągane i nabiorą podejrzeń, ale z czasem zapomną o sprawie. A zdjęcia Matta już nie znajdują.

– No właśnie – potwierdza Matt. – Ale to nie wszystko. Athena rejestruje czynności wykonywane przez użytkowników.

Skąd on zna nazwę programu? Jestem pewna, że nigdy o niej nie wspominałam.

– A więc istnieje zapis tego, co dokładnie widziałaś na komputerze Jurija. Teoretycznie ktoś mógłby sprawdzić, co w nim robiłaś, obejrzyć pliki, które otwierałaś.

– Mogliby zobaczyć, że otworzyłam plik z twoim zdjęciem.

– No właśnie.

– Więc ono nadal jest gdzieś na serwerze?

– Zgadza się.

To oznacza, że są tam również pozostałe cztery zdjęcia. Jeszcze nie jest za późno, żeby dostarczyć FBI prawdziwe fotografie. Nadal mam szansę, żeby się do wszystkiego przyznać, powiedzieć CIA o czterech pozostałych śpiochach, i o Matcie też. Zrobić to, co należy.

Więc nie stała się żadna krzywda. Może mogliby przymknąć oko na fakt, że skasowałam folder. Impulsywna reakcja przestraszony żony.

Ale to nieprawda. Bo istnieje wyłącznie jedno wytłumaczenie zmian we wszystkich pięciu zdjęciach. Zdradziłam Rosjanom szczegóły ściśle tajnego programu. Dopuściłam się zdrady. Już przez samo to trafiłabym do więzienia. Przerazenie ścina mi krew w żyłach.

Myślę o Omarze i o tym, jak na mnie patrzył przez ostatnich kilka dni. „W Centrum Kontrwywiadu jest wtyczka”. Jeśli to mnie podejrzewają, wystarczy, że sprawdzą serwer, a ich obawy się potwierdzą.

– Istnieje sposób, żeby to załatwić – odzywa się nagle Matt. – Można to wykasować.

Wydaje się niespokojny, mówi niechętnie.

– Jak? – Mój głos brzmi jak szept.

Matt sięga do kieszeni i wyciąga USB. Mały prostokąt czarnego plastiku. Podnosi go.

– Jest tu nagrany program. Wykasuje zapis twojej aktywności z ostatnich dwóch dni.

Wlepiam spojrzenie w USB. To by usunęło wszelki ślad po tym, że znalazłam zdjęcie Matta. Nie mieliby żadnych dowodów, żeby mnie skazać. Żeby rozdzielić mnie z dziećmi.

– Twojej i wszystkich innych osób – dodaje Matt. – Program cofnie serwer o dwa dni.

Podnoszę na niego wzrok. „Cofnie serwer o dwa dni”. Dwa dni straconej pracy całego CIA, wszyscy ci ludzie, wszystkie zadania.

Ale w ostatecznym rozrachunku to nie tak wiele, prawda?

Dzięki temu moja rodzina pozostałaby cała. Ten program raz na zawsze wykasowałby zdjęcie Matta. Zdjęcia pozostałych czterech śpiochów też, ale w mojej głowie nie pozostaje cień wątpliwości, czy chcę, żeby Rosjanie to zrobili. Nawet nie muszę się nad tym zastanawiać. W zamian za ocalenie mojej rodziny pozwoliłabym, żeby pozostała czwórka się wymknęła. Wiem, że to złe. I na samą myśl czuję się jak zdradziecka żmija. Ale tu chodzi o moje dzieci.

– Więc co? – pytam. – Po prostu odpalę ten program?

– No, w tym cała rzecz. – Matt patrzy na mnie uważnie. – To ty musiałabyś go odpalić.

## Rozdział 9

Kładzie pendrive'a na stole, a ja patrzę na nośnik jak na bombę.

– Ja nic z tym nie zrobię. Komputery są zabezpieczone. Nie mamy nawet wejść...

– Jest jeden port USB w pokoju z ograniczonym dostępem.

Gapię się na Matta. Czy kiedykolwiek wspominałam mu o tym pomieszczeniu? Z całą pewnością nie mówiłam nic o mieszczących się tam komputerach. Ale ma rację. Jest tam osobny komputer do zrzucania danych od agentów polowych.

– Cóż, to nie ma znaczenia. Tamten komputer jest chroniony hasłem. Nie mam dostępu do...

– Nie musisz. Program zadziała automatycznie. Wystarczy podłączyć USB.

Poraża mnie świadomość tego, o co mnie prosi.

– Chcesz, żebym wrzuciła coś do sieci komputerowej CIA.

– To zniszczy ślady po tym, że skasowałeś folder.

Zniszczy też zdjęcia. Wszystkie pięć. Odwracam wzrok. Potem wypowiadam słowa, które rozbrzmiewają mi w głowie, choć wiem, że nie powinnam tego robić.

– Jesteś rosyjskim agentem i prosisz mnie, żebym wrzuciła jakiś program do systemu CIA.

– Jestem twoim mężem, który próbuje dopilnować, żebyś nie trafiła do więzienia.

– Prosząc mnie o coś, przez co mogę dostać dożywocie.

Matt wyciąga rękę nad stołem i nakrywa moją dłoń.

– Jeśli dowiedzą się, co zrobiłaś, i tak dostaniesz niezły wyrok.

Słyszę w drugim pokoju Ellę.

– To nie fair! – krzyczy.

„Masz rację” – myślę, wpatrując się w nośnik. „To nie fair. Nic z tego nie jest fair”.

– Tatusiu! – piszczy Ella. – Luke oszukuje!

– Wcale nie! – krzyczy Luke.

Nadal wpatruję się w dysk. Czuję na sobie wzrok Matta. Żadne z nas nie

wstaje, żeby pójść do salonu i rozsądzić spór. Dzieci dalej się kłóca, ale teraz już ciszej. Kiedy wracają do zabawy, wyciągam dłoń spod palców Matta i zaciskam razem ręce.

– Co to jest, ale tak naprawdę? Coś, co da Rosjanom dostęp do naszego systemu?

Matt kręci głową.

– Nie. Absolutnie nie. Przysięgam ci, to tylko program, który zresetuje serwery do stanu sprzed dwóch dni.

– Skąd wiesz?

– Sprawdziłem. Zrobiłem diagnostykę. Nic więcej tam nie ma.

A czemu miałabym ci wierzyć? Nie wypowiadam tych słów, ale nie muszę. Jestem pewna, że można je wyczytać z mojej twarzy.

– Jeśli tego nie zrobisz, pójdziesz do więzienia. – Matt wydaje się mówić całkowicie szczerze, uczciwie. I chyba jest przestraszony. – A ja daję ci możliwość, żeby tego uniknąć.

Znowu spoglądam na USB, pragnąc siłą woli sprawić, żeby zniknął, żeby wszystko to po prostu zniknęło. Mam wrażenie, jakbym zapadała się coraz niżej i niżej i nie mogę zrobić nic, żeby to powstrzymać. Czy byłabym zdolna posunąć się do czegoś takiego?

Podnoszę głowę i obrzucam Matta przeciągłym spojrzeniem. Jego słowa odbijają się echem w moim umyśle. „Zrobiłem diagnostykę”.

– Pokaż mi.

Na jego twarzy odbija się niezrozumienie.

– Co?

– Powiedziałaś, że zrobiłaś diagnostykę. Pokaż mi ten program.

Matt cofa się jak spoliczkowany.

– Ty mi nie wierzysz.

– Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Wpatrujemy się w siebie nawzajem, nie mrugając, aż w końcu Matt mówi:

– W porządku.

Wstaje, wychodzi z pokoju, a ja podnoszę się, żeby pójść za nim. Idzie do schowka pod schodami. Włącza światło i sięga po śrubokręt, ten sam, z którego i ja wcześniej korzystałam. Patrzą, jak podważa deskę i wyjmuję komputer. Odwraca się, rzuca mi przeciągłe spojrzenie, którego nie potrafię odczytać, po czym wymija mnie i rusza z powrotem do stołu.

Otwiera laptopa i siada przed nim; ja stoję za jego plecami i obserwuję

ekran. Pojawia się biały pasek z migającym kursorem. Spoglądam na klawiaturę i śledzę palce Matta, kiedy powoli i uważnie uderza nimi w klawisze. Rozpoznaję litery, to jedno z jego zwykłych haseł, daty urodzin dzieci. Na koniec stuka jeszcze w kilka klawiszy i dopiero po chwili dociera do mnie ich znaczenie. To data naszej rocznicy. Więc jednak o nas myślał.

– Przecież i tak nic z tego nie zrozumiesz, prawda? – pyta, nie odwracając się.

Cieszę się, że siedzi plecami do mnie, bo ma rację. Nie znam się na technologii; nie zdołam połapać się w szczegółach. Ale nie o to chodzi. Chcę sprawdzić, jak się teraz zachowa i co mi pokaże. Zrozumiem dość, by się zorientować, czy naprawdę potrafi przeprowadzić diagnostykę programu, czy też było to kłamstwo. Może to wystarczy.

– Rozumiem więcej, niż myślisz.

Matt otwiera jakiś program, wpisuje polecenie i w dół ekranu zaczyna przewijać się jakiś tekst.

– Zapis czynności użytkownika – mruczy. Pokazuje palcem jedną linijkę: to dzisiejsza data. Potem kolejną, sprzed kilku godzin.

Zjeżdża w dół ekranu i wskazuje część tekstu.

– A to zawartość dysku – tłumaczy. Przyglądam się pobieżnie znakom, z których większość jest dla mnie całkowicie niezrozumiała, ale niektóre fragmenty układają się w całość, zgadzają się z tym, co mówił Matt. Nic nie wskazuje na to, żeby w programie było coś jeszcze.

Zresztą najważniejsza są ta data i godzina. To, że miał mi coś do pokazania. Rzeczywiście zrobił diagnostykę programu, tak jak mówił.

Nie kłamał.

Odwraca się na krześle i patrzy na mnie. Na jego twarzy widzę wyrzut i ogarnia mnie poczucie winy.

– Teraz mi wierzysz?

Okrażam stół i siadam na krześle naprzeciwko niego. Waham się i w końcu mówię:

– Wiesz, oni znają się na swojej robocie. Ludzie w CIA. Co, jeśli odkryją, że to moja sprawa?

– Nie odkryją – odpowiada cicho Matt.

– Skąd masz taką pewność?

– Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Pomyśl, co wiedzą Rosjanie. – Sięga przez stół i zakrywa moje dłonie. – Oni też znają się na swojej robocie.

Tej nocy znowu nie mogę spać. Zamiast tego chodzę po domu z bólem serca. Patrząc na śpiące dzieci, na ich unoszące się i opadające piersi, na buzie, które we śnie wydają się jeszcze młodsze. Drepczę po korytarzu, spoglądając na wszystkie zdjęcia na ścianach, na pamiątki po ulotnych chwilach, szczęśliwe uśmiechy. Na obrazki przychepione magnesami do lodówki. Na zabawki leżące nieruchomo w ciemnościach, czekające dnia. Chcę tylko, żeby to wszystko trwało dalej. Normalne życie.

Ale prawda jest taka, że mogę trafić do więzienia. To właściwie pewne, jeśli CIA dowie się, co zrobiłam. Wyjawiłam tajne informacje, stworzyłam zagrożenie dla działań agencji. Ileż mnie ominie, jeśli naprawdę mnie zamkną. Na samą myśl wzbierają we mnie emocje. Pierwsze kroki i słowa Caleba. Pierwszy ząb, który wypadnie Elli, i jej oczekiwanie na wróżkę zębuszkę. Występy tańca, dziecięcy bejsbol, nauka jazdy na rowerach. A przede wszystkim drobne codzienne momenty. Tulenie dzieci, kiedy przyśni im się koszmar albo kiedy są chore. Słuchanie, jak mówią: „Kocham cię, mamusiu”, i czego się nauczyły w szkole, na co się cieszą, a czego się boją.

Owszem, uruchomienie programu oznacza, że FBI nie złapie śpiochów, których inaczej mogłoby złapać. Ale z szerszej perspektywy jakie to ma znaczenie? Na moim weselu były dosłownie dziesiątki rosyjskich agentów. Problem jest o wiele większy, niż sądziliśmy. Pięcioro to kropla w morzu.

Siedzę na kanapie w mroku przed nadejściem poranka, aż w końcu Matt schodzi na dół. Włącza lampę w kuchni i mruga, żeby oswoić oczy ze światłem. Podchodzi do ekspresu do kawy i wciska guzik. Obserwuję go w milczeniu. Wreszcie mnie zauważa, przystaje i wbija we mnie spojrzenie. Nie odwracam wzroku. Powoli podnoszę rękę, trzymając USB kciukiem i palcem wskazującym.

– Powiedz mi, co mam zrobić.

Zrobię to. Ta śiadomość jest niemal powalająca. Patrząc jak oszołomiona, kiedy Matt wyciera nośnik małą szmatką, taką jak do czyszczenia okularów.

– To żeby się pozbyć odcisków – mówi. Chowa go pod fałszywym dnem podróżnego kubka na kawę o podwójnych ściankach. Kubek jest lśniący, metaliczny. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Skąd Matt go wziął? Gdzie on to wszystko trzyma?

Jak mogłam być tak ślepa?



– Wystarczy, że go podłączysz – mówi Matt, podając mi kubek. Biorę go. Widzę w nim swoje odbicie, zniekształcone. To ja, ale wyglądam jak ktoś inny. – Z przodu komputera jest wejście USB.

– Okej.

Dalej gapię się na odbicie w kubku, na ten wizerunek siebie, który tak naprawdę nie jest mną.

– Podłącz dysk, odczekaj co najmniej pięć minut, ale nie więcej niż dziesięć, i wyjmij go. Po dziesięciu minutach serwer zacznie się restartować. Jeśli dysk wciąż będzie podłączony, kiedy reset dobiegnie końca, będą mogli sprawdzić, z którego komputera rozszedł się program.

Pięć minut? Mam tam siedzieć przez pięć minut z podłączonym USB? A co, jeśli ktoś mnie zobaczy?

– Poczekam do wieczora.

Matt kręci głową.

– Nie da rady. Ktoś musi być zalogowany na komputerze.

– Zalogowany? – Te słowa wypełniają mnie strachem. To oznacza godziny pracy. Dostęp do tego komputera ma Peter; zazwyczaj loguje się na nim rano, blokuje go na cały dzień, po czym wylogowuje się przed wyjściem. Mam wrażenie, że to, o co prosi Matt, jest bardzo ryzykowne. – A co, jeśli ktoś mnie zobaczy?

– Nie możesz do tego dopuścić – mówi Matt i widzę na jego twarzy strach, pierwsze drgnienie niepewności od czasu, kiedy pokazał mi dysk. – Nie pozwól na to.

Jadę do biura. Kubek tkwi w uchwycie obok mnie. Idąc z parkingu, ściskam go mocno, a jeszcze mocniej, gdy wchodzę do lobby i widzę wiszącą tam flagę USA. Całą uwagę skupiam na tym, żeby wyglądać spokojnie, obojętnie.

W drodze do środka mijam trzy znaki – nigdy nie zauważyłam, że jest ich aż tyle – z listą zabronionych przedmiotów. Lista jest długa i obejmuje wszelkie urządzenia elektroniczne. Nawet gdyby nośnik był całkowicie pusty, nadal nie pozwolono by mi go tu wnieść. I nie będę miała wymówki, że o tym nie wiedziałam.

Czekam w kolejce do bramek. Po prawej stronie stoi kobieta mniej więcej w moim wieku, którą poproszono na bok do przeszukania; Ron sprawdza jej torebkę. Po lewej strażnicy przeciągają skanerem wzdłuż ciała starszego mężczyzny, kolejna rewizja. Odwracam wzrok. Czuję kropelki

potu na czole i na górnej wardze. Kiedy nadchodzi moja kolej, przysuwam identyfikator do czytnika i wpisuję swój kod. Bramka otwiera się i mnie przepuszcza.

Włączają się czujniki, słychać niski pisk i dwóch strażników, których nie rozpoznaję, patrzy w moim kierunku. Serce wali mi tak mocno, że wszyscy obok muszą to słyszeć. Robię minę, jakbym nie wiedziała, co się dzieje, po czym uśmiecham się i pokazuję im kubek gestem mówiącym: „Proszę, to tylko to. Spokojnie, żadnej elektroniki”.

Czujniki do wykrywania urządzeń elektronicznych słyną z tego, że ciągle się mylą.

Jeden ze strażników podchodzi bliżej. Bierze skaner i przesuwają wzdłuż mnie i nad moją torbą. Skaner piszczy tylko przy kubku. Strażnik przepuszcza mnie ze znużoną miną.

Uśmiecham się i kiwam mu głową. Ruszam przez hol równym krokiem. Kiedy schodzę strażnikom z widoku, ocieram pot z czoła wierzchem drżącej ręki.

Przy wejściu do naszego skrzydła znowu przykładam identyfikator i wpisuję kod. Ciężkie drzwi się otwierają i popycham je do przodu. Natychmiast widzę Patricję. Mijam ją, uśmiechając się po drodze.

– Dzień dobry – mówię zupełnie jak zazwyczaj. Idę do swojego boksu i loguję się na komputerze. Jak zawsze, normalne powitania, wszystko w normie.

Zajmuję miejsce przy biurku i wbijam spojrzenie w drzwi. WSTĘP TYLKO DLA UPOWAŻNIONYCH, duże czerwone litery. Obok nich skanery; jeden do identyfikatorów, drugi – do odcisków palców. Na moim ekranie otwiera się jakiś program, ale na niego nie patrzę. Nie przeszukuję danych, nie sprawdzam mejli. Siedzę i gapię się na te drzwi.

Kilka minut po dziewiątej podchodzi do nich Peter. Patrzę, jak przykładą identyfikator do jednego skanera i wpisuje kod, a potem dotyka palcem drugiego i czeka.

Spuszczam wzrok na kubek, który stoi przede mną na biurku. Peter zalogował się do komputera; mogę to zrobić, kiedy zechcę. Muszę to zrobić. Sięgam po kubek i zaciskam na nim palce. Z trudem podnoszę się z krzesła i zmuszam nogi, żeby ruszyły w kierunku drzwi.

Skanuję identyfikator i przykładam palec do czytnika. Zamek się otwiera, a ja popycham ciężkie drzwi. W środku panuje ciemność; włączam światło. Pokoik jest mały, mniejszy nawet od gabinetu Petera. Na jednym

stole stoją obok siebie dwa komputery z ekranami zwróconymi w przeciwne strony. I trzeci pod drugą ścianą. To właśnie ten przyciąga moją uwagę. Widzę z przodu port USB.

Siadam przed jednym z dwóch pozostałych komputerów i stawiam kubek przed sobą. Loguję się – jeśli ktoś tu wejdzie, muszę wyglądać, jakbym pracowała. Przywołuję najtajniejszy dokument, do którego mam dostęp, jedynie garstka osób w całym CIA może go przeczytać. To informacja tak tajna, że jeśli ktokolwiek tu wejdzie, będę musiała poprosić, by wyszedł i wrócił, gdy skończę. Robię wdech i odkręcam dno kubka. Widzę dysk. Obciążam rękaw na dłoń, wytrząsam na nią nośnik i z powrotem zakręcam denko.

Przez chwilę siedzę nieruchomo, nasłuchując, ale dookoła panuje cisza.

Pospiesznie wstaję z krzesła i podchodzę do trzeciego komputera. Wsuwam pendrive, który trzymam przez rękaw. Wchodzi szybko i gładko. Końcówka niemal natychmiast zapala się na pomarańczowo. Kilka sekund i siedzę już z powrotem na swoim krześle.

Cała się trzęsę. Nigdy w życiu tak się nie bałam.

Dokoła nadal spokój. Spoglądam na zegar na dole ekranu. Pięć minut. Tylko tyle mi trzeba. Pięć minut w samotności, a potem wyjmę dysk, schowam go z powrotem do kubka i sprawa załatwiona. Jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

Spoglądam na nośnik, na świecąca pomarańczowo końcówkę. Co teraz robi ten program? Pewnie wkłada się powoli do serwera. Szykuje się, żeby usunąć wszystko z ostatnich dwóch dni. Nic więcej. Boże, mam nadzieję, że nic więcej.

Mija minuta, a ja mam wrażenie, że trwa to całą wieczność. Obliczam w głowie ułamki. Jedna piąta potrzebnego czasu. Dwadzieścia procent.

I wtedy za drzwiami rozlega się dzwonek, ktoś przykłada identyfikator do skanera. Nieruchomieję, a potem odwracam się do wejścia. Spokojnie. *Muszę zachować spokój. Cztery minuty. Jeszcze tylko cztery minuty.*

Drzwi się otwierają, to znowu Peter. O Boże, Peter. Zżera mnie strach. Peter ma dostęp do wszystkiego tego co ja. Nie mam żadnego pretekstu, żeby poprosić go o wyjście. Jeśli usiądzie obok mnie, jak zdołam wyciągnąć dysk z tamtego komputera?

– Cześć, Vivian – mówi. Uprzejmie, normalnie. Mam nadzieję, że nie widzi, jaka jestem roztrzęsiona. Jak dogłębnie przerażona.

– Cześć. – Z trudem panuję nad głosem.

Wchodzi i siada przy terminalu obok mnie, zaczyna wprowadzać swoje hasła. Nie mogę przestać myśleć o komputerze za nami. Peter nie ma chyba powodu, żeby dziś z niego korzystać? Ale co, jeśli zauważy dysk?

Spoglądam na zegar. Minęły trzy minuty. Sześćdziesiąt procent. Jeszcze dwie i...

– Vivian – mówi Peter.

– Tak? – Odwracam się do niego.

– Mógłbym cię przeprosić na kilka minut? Muszę sprawdzić nową informację. Eagle Justice.

To poziom, do którego nie mam dostępu. Peter robi dokładnie to, co sama zamierzałam zrobić, wykorzystuje swoje wyższe uprawnienia, żeby pozbyć się mnie z pokoju. Znowu patrzę na zegar. Wciąż trzy minuty. Słowo daję, czas chyba zwolnił.

– Mógłbyś mi dać jeszcze dosłownie kilka minutek? Zaraz skończę.

– Chciałbym, ale muszę to przejrzeć przed porannym spotkaniem kierowników. Polecenie Nicka.

Nie. Nie, to nie może się dziać naprawdę. Co ja mam zrobić? Co, na litość boską, mam teraz zrobić?

– Vivian?

– No tak. Jasne. Tylko się wyloguję.

– Jeśli mogłabyś po prostu zablokować komputer... Serio, muszę to jak najszybciej sprawdzić.

Waham się. Mózg mnie zawodzi, nie podsuwa mi żadnych pomysłów, mogę jedynie spełnić prośbę Petera.

– Jasne.

Blokuję komputer, control-alt-delete. Wstaję. Kiedy otwieram drzwi, żeby wyjść, moje spojrzenie mimowolnie ucieka do wciąż podłączonego nośnika, który nadal świeci się na pomarańczowo.

Wracam do swojego biurka i siadam jak nieprzytomna. Odszukuję wzrokiem zegar – pięć minut – a potem wbijam spojrzenie w drzwi. Mój umysł jest jak sparaliżowany, nie mogę wymyślić żadnego rozwiązania. Przypominam sobie słowa Matta z dzisiejszego ranka. „Pięć minut... nie więcej niż dziesięć... serwer zacznie się resetować”.

Minęło sześć minut, a drzwi nadal są zamknięte. Co, jeśli Peter zobaczy pendrive'a?

Siedem minut. Siedzę przerażona, zmrożona przez strach.

Osiem minut. Czy mogę go stamtąd wywabić? Nie mam pojęcia, jak to

zrobić. A może lepiej zwyczajnie zaczekać? Przecież Peter na pewno zaraz skończy...

Dziewięć minut. Jestem jak skamieniała, nie mogę się ruszyć. Zmuszam się, żeby odsunąć krzesło i wstać. Powiem, że czegoś zapomniałam. Kubka. Przewrócę go niby przypadkiem w stronę komputera, schylę się do podłogi i wyjmę USB...

Jakieś mignięcie na ekranie przyciąga moją uwagę. Zmiana w kolorze i kontraście. Mój ekran na chwilę czernieje. Odwracam się, patrzę wzdłuż rzędu boksów i widzę, jak pozostałe ekrany również robią się czarne. Kolejno, jeden po drugim. Szybkie mignięcie, które przebiega przez całe skrzydło jak prąd. A potem wszystko wraca do normy. Ludzie rozglądają się dookoła i mruczą pod nosami. Co się dzieje?

O Boże.

Biegnę do pokoju z ograniczonym dostępem. Podnoszę identyfikator i przyciskam palec do czytnika. W głowie rozbrzmiewają mi wskazówki Matta. „Jeśli dysk wciąż będzie podłączony, kiedy reset dobiegnie końca, będą mogli sprawdzić, z którego komputera rozszedł się program...”.

Drzwi otwierają się w tej samej chwili, kiedy zamek się zwalnia, a ja zaczynam je popychać. Tracę równowagę i wpadam prosto na Petera.

– Vivian – mówi zaskoczony. Poprawia okulary na nosie.

– Kubek. Zapomniałam swojego kubka – mówię szybko. Za szybko. Peter posyła mi pytające spojrzenie zabarwione podejrzeniem. Ale to nie ma teraz znaczenia, nic nie ma znaczenia poza dotarciem do nośnika i wyjęciem go. Usuwam się z drogi, żeby przepuścić Petera, każda sekunda zwłoki jest dla mnie jak tortura.

Wreszcie Peter wychodzi z pokoju, a ja wchodzę i zamykam za sobą drzwi. W następnym momencie jestem już na podłodze i wyciągam pendrive'a, biorę kubek, odkręcam denko, chowam dysk i zakręcam na powrót.

A potem opadam na krzesło, całkowicie wyczerpana. Cała się trzęsę. Nie mogę złapać oddechu.

W końcu drżenie ustępuje, ale strach pozostaje. A ja nie wiem dlaczego. Powinien zniknąć. Przecież odzyskałam USB. Nic mi już nie grozi. Reset na pewno jeszcze się nie skończył.

Mimo to wypełnia mnie dziwne wrażenie, że wcale nie jestem bezpieczna, nawet jeśli wszystko poszło zgodnie z planem.

Nie mija dużo czasu, gdy któryś ze zgromadzonych w sali analityków wyciąga wniosek, że wszystkie efekty pracy z ostatnich dwóch dni zostały wykasowane. Wszyscy użalają się z powodu utraconych dokumentów i prezentacji w PowerPoincie. Szybko roznosi się wieść, że awaria dotyczy całego systemu. Szerzą się teorie spiskowe, mówi się o wszelkich możliwościach, poczynając od zagranicznego wywiadu, przez hakerów, aż po niezadowolonych pracowników działu informatycznego.

Peter chodzi od boksu do boks, sprawdzając, czy wszystkich jego analityków spotkało to samo; słyszę ciche rozmowy i jego zbliżające się kroki. Kiedy dociera do mnie, przystaje na długą chwilę i tylko patrzy na mnie w milczeniu. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu, ale mimo to z jakiegoś powodu ogarnia mnie strach.

– U ciebie to samo? – pyta. – Dwa dni na straty?

– Na to wygląda.

Peter kiwa głową, wciąż nie okazując żadnych emocji, po czym idzie dalej.

Patrzę na jego plecy i mój strach zmienia się nagle w potężną falę mdłości. Jestem pewna, że zaraz zwymiotuję. Muszę wyjść, muszę się stąd wydostać.

Odpycham krzesło, biegnę przejściem między rzędami boksów, wypadam z naszego skrzydła. Pędzę do toalety dla kobiet, podpierając się dla równowagi o ścianę. Popycham drzwi, przechodzę szybko obok podwójnego rzędu umywalek i luster aż do kabin. Zamykam się w tej najdalszej. Zatrząskuję zamek, po czym obracam się i wymiotuję.

Kiedy jest już po wszystkim, ocieram usta wierzchem dłoni. Nogi się pode mną trzęsą; całe moje ciało ogarnia słabość. Prostuję się i oddycham głęboko, usiłuję się uspokoić. Udało się, musiało się udać. A ja muszę nad sobą zapanować i jakoś dotrwać do końca dnia.

Wreszcie zmuszam się, by opuścić bezpieczne zacisze kabiny i przejść z powrotem do umywalek. Staję przy tej najbliższej i myję ręce. Na drugim końcu stoi jakaś dziewczyna, wygląda, jakby była świeżo po studiach. Uśmiecha się do mnie w lustrze. Odpowiadam tym samym, po czym patrzę na swoje odbicie. Ciemne worki pod oczami. Błada cera. Wyglądam strasznie. Wyglądam jak zdrajczyni.

Odwracam wzrok, odrywam kawałek szorstkiego ręcznika z brązowego papieru, wycieram ręce. Muszę się uspokoić. Muszę *wyglądać* na spokojną. Na litość boską, przecież otaczają mnie analitycy kontrwywiadu.

Wdech i wydech. Wdech i wydech, Viv.

Wracam do naszego skrzydła, przechodzę na swój koniec, staram się wytłumić rozmowy, nerwowe plotki na temat awarii. Koledzy z zespołu zebrali się w przejściu; dołączam do nich, stoimy blisko mojego boksu. Rozmawiają, ale prawie nie zwracam na nich uwagi, najwyżej wyłapuję słowo tu i tam, kiwam głową, wykrzykuję, kiedy trzeba – w każdym razie taką mam nadzieję. Nie mogę oderwać wzroku od kubka i od zegara. Nie mogę się doczekać, żeby stąd wyjść i wrócić do domu. Oddać USB Mattowi, pozbyć się dowodu, zamknąć sprawę.

– Jak myślicie, kto to był? – pyta Marta na wpół serio i jej głos przebija się przez mgiełkę w mojej głowie. – Rosjanie? Chińczycy?

Rozgląda się po nas, ale odpowiada jej Peter.

– Gdyby Rosjanie mieli możliwość włamania się do naszego systemu, nie poprzestaliby na wykasowaniu kilku dni. – Patrzy na Martę, nie na mnie, ale mimo to wyraz jego twarzy sprawia, że przechodzi mnie dreszcz. – Jeśli to byli Rosjanie, to na tym się nie skończy. Nie mam co do tego wątpliwości.

Jadę do domu, a kubek znowu tkwi w uchwycie obok mnie. Napięcie częściowo ustąpiło, odpłynęło z ramion, lecz nadal czuję ucisk w żołądku. Co ja zrobiłam?

Zaciskam dłonie na kierownicy. Kłębią się we mnie emocje. Ulga, niepewność, żal.

Może się uda. Może nie trafię do więzienia. Ale czy nie będę już zawsze żyła w strachu, że to odkryją? Owszem, wolno mi będzie patrzeć, jak moje dzieci dorastają, ale czy wszystko nie zostanie skażone? Czy każda słodka chwila nie straci odrobiny swojej słodyczy?

Czy powinnam była zaryzykować karę i powiedzieć o wszystkim szefostwu?

Mam niejasne wrażenie, że trzeba było lepiej to przemyśleć. Że zadziałałam pod wpływem impulsu, choć wtedy wydawało mi się, że jest inaczej.

Podjeżdżam pod dom. Stoi przed nim samochód Matta, jak zawsze. Zapada zmrok i w środku palą się jasne światła. Zasłonki w kuchni są rozsunięte i widzę swoją rodzinę, całą piątkę, zgromadzoną przy stole.

Więc może nigdy już nie poczuję stuprocentowej swobody, stuprocentowego szczęścia. Ale moje dzieci owszem. A czy nie o to właśnie

chodzi, kiedy jest się rodzicem?

Wyłączam silnik, wysiadam z samochodu i idę do skrzynki pocztowej. Pełno w niej przesyłek i ulotek, tak samo jak zawsze. A na wierzchu leży cienka brązowa koperta, wciśnięta na siłę i zwinięta, inaczej nie zmieściłaby się do wąskiej skrzynki. Wyjmuję wszystko, nie odrywając od niej wzroku. Nie ma na niej znaczka ani adresu zwrotnego, tylko moje imię, czarny marker, drukowane litery. *VIVIAN*.

Ogarnia mnie lodowate zimno. Gapię się zeszywniała na przesyłkę i wreszcie zmuszam swoje nogi, żeby się ruszyły, zanosły mnie na ganek. Siadam, odkładam resztę korespondencji na bok i biorę kopertę. Odwracam ją, wsuwam palec pod zabezpieczoną krawędź.

Wiem już, co jest w środku. W końcu może to być wyłącznie jedna rzecz.

Wyciągam zawartość – mały plik papierów, dwie czy trzy kartki, nic więcej. Żołądek mam zawiązany w węzeł. Na wierzchu jest zrzut ekranu. Mój komputer. Pasek identyfikacji na górze i na dole, mój numer pracownika. Na środku widać otwartą Athenę, a w niej laptop Jurija. Otwarty folder, „Przyjaciele”.

Podnoszę pierwszą kartkę, żeby obejrzeć, co jest pod spodem. Te same paski identyfikacyjne, ten sam numer pracownika, ten sam folder. Ale tym razem jedno ze zdjęć jest otwarte i ekran wypełnia zbliżenie głowy.

Po raz kolejny patrzę na twarz męża.



## Rozdział 10

Nie mogę oddychać. Przecież to wykasowałam. Postąpiłam dokładnie tak, jak kazał Matt, podjęłam ryzyko, podłączyłam USB. A jednak mam to przed sobą. Na moich kolanach. Dowód, przez który mogę trafić do więzienia. Ktoś dostarczył go tutaj, do mojego domu.

Podnoszę kartkę, żeby obejrzeć resztę wydruków. Kod źródłowy, rząd znaków, które nie do końca rozumiem. Ale nie muszę. To zapis moich czynności, moich wyszukiwań. Dowód, że widziałam zdjęcie Matta. Że skasowałam folder.

Słyszę za sobą dźwięk otwieranych drzwi.

– Viv? – pyta Matt.

Nie podnoszę głowy. Nie mogę się do tego zmusić. Zupełnie jakby nagle opuściły mnie nawet resztki sił. Następuje chwila milczenia i wyobrażam sobie Matta stojącego w drzwiach, spoglądającego na mnie, na wydruki, dostrzegającego ich treść. Czy wstrząśnie nim to tak jak mną?

Czuje, jak podchodzi bliżej, a potem staje przy mnie i wreszcie siada tuż obok. Nadal na niego nie patrzę. Nie mogę.

Sięga po papiery, a ja go nie powstrzymuję. Przegląda je, przekłada w milczeniu kartki. Bez słowa. Potem wsuwa je z powrotem do koperty.

Znowu cisza. Skupiam się na oddechu, patrzę na kolejne chmurki pary, które unoszą się z moich ust i znikają. Nawet nie wiem, o co go spytać. Jak przetworzyć plątaninę myśli w mojej głowie na coś spójnego. Zamiast tego czekam więc, aż sam się odezwie, odpowie na moje niewypowiedziane pytania.

– To zabezpieczenie – mówi wreszcie Matt.

*Zabezpieczenie.* Ale to nieprawda. To coś więcej. O wiele więcej.

– Ostrzeżenie – mówi dalej Matt. A potem dodaje ciszej: – Chcą mieć pewność, że nikomu nie powiesz.

Odwracam się do niego. Policzki ma zaróżowione, a nos czerwony od zimna. Nie włożył kurтки.

– To szantaż – odpowiadam łamiącym się głosem.

Patrzy mi w oczy, a ja rozpaczliwie próbuję odczytać coś z jego twarzy. Zaniepokojenie? Nie wiem. Matt odwraca wzrok.

– Tak, to szantaż.

Patrzę na ulicę, na chodnik, gdzie spacerujemy z wózkiem bliźniaków i gdzie Luke uczył się jeździć na rowerze.

– Oni tu byli – mówię. – Wiedzą, gdzie mieszkamy.

– Zawsze wiedzieli.

Słowa padają jak cios. Oczywiście, że wiedzieli. Nagle nic już nie wydaje się bezpieczne.

– Dzieci... – wyduszam przez zaciśniętą krtań.

Kątem oka widzę, jak Matt kręci głową, bardzo zdecydowanie.

– Nie ma żadnego ryzyka dla dzieci.

– Skąd wiesz? – Mój głos to tylko szept.

– Bo dla nich pracuję. W ich przekonaniu dzieci należą... do *nich*.

Wiem, że te słowa miały mnie uspokoić, ale zamiast tego jeszcze zwiększyły moje przerażenie. Obejmuję się ramionami i patrzę z powrotem na ulicę. Nadjeżdża jakiś samochód, słysząc warkot silnika, zza zakrętu wyłaniają się światła. Auto Nguyenów. Ich garaż się otwiera i samochód wjeżdża na podjazd, prosto na swoje miejsce. Garaż zamyka się, zanim jeszcze gaśnie silnik.

– To, co dziś zrobiłam... – zaczynam i nagle brakuje mi słów. Próbuje jeszcze raz: – To miało usunąć dowody.

– Wiem.

– Czemu mi nie powiedziałeś, że oni to mają?

– Nie wiedziałem. – Na czole Matta pojawiają się znajome fałdy; jego brwi są zmarszczone. – Przysięgam, Viv. Nie wiedziałem. Musieli jakimś sposobem zdobyć dostęp do programu. Albo mają kogoś, kto może sprawdzić zapisy wyszukiwarki.

Kolejne światła. Samochód, którego nie rozpoznaję. Przejeżdża obok nas i jedzie dalej. Patrzę za nim, dopóki nie znika mi z oczu.

– Nic z tym nie zrobią – mówi Matt. – Zniszczyliby moją przykrywkę.

W moim umyśle zaczyna się krystalizować pewna myśl, układa się w słowa. Cztery. Cztery słowa, które wszystko tłumaczą. Wypowiadam je, powoli, sylaba po sylabie.

– Teraz należę do nich.

Jak mogłam być tak naiwna? Na litość boską, przecież jestem analityczką CIA. Wiem, jak działają wywiady, te najbardziej agresywne. Przekonują cię, żebyś coś dla nich zrobił, a potem mają cię w kieszeni. Szantażem zmuszają do robienia kolejnych rzeczy. Żądają coraz więcej

i więcej, i więcej. Nie ma ucieczki.

– To wcale nie tak – mówi Matt.

– Przeciwnie.

– *To ja* należę do nich. Ty jesteś moją żoną. Nie zrobiliby ci tego.

– Doprawdy? – Spoglądam ostentacyjnie na kopertę. Bo tak mi to właśnie wygląda.

Jakiś wyraz przebiega po twarzy Matta – czyżby niepewność? – po czym natychmiast znika. Matt odwraca się ode mnie, patrzy na ulicę. Oboje siedzimy cicho. Te cztery słowa niemal mnie miażdżą, rozchodzą się echem po mojej głowie, szydzą ze mnie. *Teraz należę do nich.*

– Będą chcieli, żebym coś zrobiła – mówię wreszcie.

Matt kręci głową, ale już bez zdecydowania, jakby sam w to nie wierzył. Pewnie dlatego, że w głębi serca on też wie, że to prawda. *Teraz należę do nich.*

– To tylko kwestia czasu – mówię. – Będą chcieli, żebym coś zrobiła, i co wtedy pocznę?

– Coś wymyślimy – odpowiada Matt, ale obietnica brzmi pusto. – To nasza wspólna sprawa.

*Czy na pewno?* – zastanawiam się. Patrzę, jak jedna z ulicznych lamp migocze, po czym gaśnie.

*Czy kiedykolwiek była to nasza wspólna sprawa?*

W dniu, kiedy urodził się Luke, coś się we mnie zmieniło. Byłam zupełnie nieprzygotowana na ogromną, miażdżącą, wszechogarniającą miłość, jaką poczułam do tego maleńkiego człowieczka. Na potrzebę, by go chronić, by się nim zająć.

Przez pierwszy miesiąc jego życia byłam w siódmym niebie. Jasne, było wyczerpująco. Ale i cudownie. W drugim i trzecim miesiącu już niekoniecznie. Codziennie budziłam się ze świadomością, że od powrotu do pracy dzieli mnie o jeden dzień mniej. Będę musiała zostawić Luke'a pod opieką kogoś, kto nie jest jego rodzicem, kto z całą pewnością nie będzie go kochał tak jak ja, i to na całe godziny, całe długie dni. I po co? Nie czułam, jakby moja praca miała jakiegokolwiek znaczenie. Już nie.

Żałowałam, że odeszłam z sekcji afrykańskiej. Ale tamto stanowisko było już nieosiągalne, zajął je ktoś inny, a innej równie dobrej opcji nie miałam. Kiedy wreszcie nadszedł dzień powrotu, przygotowałam się na tyle, na ile zdołałam. Posłaliśmy Luke'a do najlepszego żłobka w okolicy, z najdłuższą

listą akredytacji, nieskazitelną reputacją. Miałam zamrażarkę pełną odciągniętego mleka. Precyzyjnie opisane butelki. Prześcieradło do łóżeczka, pieluszki i ściereczki, wszystko, co niezbędne, zapakowane i gotowe do drogi. Kupiłam też nowy strój dla siebie, jedwabną bluzkę i spodnie, które niemal całkowicie maskowały ostatnie kilogramy ciążyowego tłuszczu. Miałam nadzieję, że to mi doda pewności siebie w jednym z najtrudniejszych dni mojego życia.

Okazało się jednak, że wszystkie moje starania były daremne. Nic nie mogło mnie przygotować na to, co poczułam, oddając Luke'a obcej kobiecie. Na konieczność odwrócenia się do wyjścia, spojrzenia na jego czujną, niemal zdumioną twarzyczkę, jego wlepione we mnie oczka, w których malowały się pytania: „Dokąd idziesz? Czemu mnie zostawiasz?”.

Załamalam się, gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi salki dla niemowlaków. Płakałam przez całą drogę do pracy. Dojechałam na miejsce ze spuchniętymi oczami i z plamami od łez na jedwabnej bluzce. Czułam się, jakby ucięto mi rękę. Tego ranka trzy osoby zajrzały do mnie kolejno, żeby przywitać mnie po powrocie z urlopu i zapytać o Luke'a. I za każdym razem wybuchałam płaczem. Chyba wreszcie rozeszła się wieść o moim stanie, bo do końca dnia koledzy starali się mnie unikać, co zupełnie mi nie przeszkadzało.

Kiedy wróciłam wieczorem do domu, Luke spał w swoim łóżeczku. W żłobku nie miał drzemki, więc wcześniej zasnął. A ja to przegapiłam. Straciłam cały dzień z synkiem. Dzień, którego nigdy nie odzyskam. Jak ja to przeżyję pięć razy w tygodniu? Mam go widzieć zaledwie przez godzinę na dzień? Wtuliłam się w ramiona Matta i znowu się załamalam.

– Nie dam rady – powiedziałam, wybuchając płaczem.

Matt tulił mnie i głaskał po włosach. Czekałam, aż się ze mną zgodzi. Czekałam, aż powie, że to moja decyzja. Że jeśli chcę zostać z Lukiem w domu, to jakoś sobie poradzimy. Jeśli chcę poszukać nowej pracy, przeżyjemy z mniejszą pensją. Sprzedamy dom, przeprowadzimy się gdzie indziej, poradzimy sobie bez wycieczek i kolacji na mieście. Zrobimy wszystko, co będzie trzeba.

Ale kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiało napięcie:

– Z czasem będzie łatwiej, kochanie.

Znieruchomiałam. Potem podniosłam głowę. Chciałam, żeby zobaczył moją twarz, żeby widział, że mówię poważnie. Znał mnie przecież.

Zrozumie.

– Matt, ja naprawdę nie dam rady.

Widziałam własny ból odbity w jego oczach. Znowu wtuliłam się w jego ramię i poczułam, że zaczynam się rozluźniać. Zrozumiał. Wiedziałam, że zrozumie. Znowu zaczął w milczeniu głaskać mnie po włosach.

Po kilku minutach się odezwał.

– Wytrzymaj – powiedział. To słowo było dla mnie jak nóż w serce. – Będzie łatwiej.

Mijały dni, potem tygodnie. Codziennie chodziłam do pracy, tej pracy, która stała się teraz kłamstwem. Jedynym powodem do radości był fakt, że najwyraźniej nikomu nie udało się wyśledzić, że awaria zaczęła się od pokoju z ograniczonym dostępem. Wyglądało na to, że dysk USB nie wyrządził żadnych szkód, nie licząc dwóch straconych dni pracy; wsłuchiwałam się we wszystkie plotki i czytałam wszystkie raporty, które udało mi się znaleźć. Nie miałam też żadnych wieści od Rosjan, szefów Matta, którzy zostawili mi tę kopertę.

Początkowo CIA skupiła się na Juriju. Próbowali go namierzyć w Moskwie. FBI zaś usiłowało zidentyfikować pięć osób ze zdjęć – aż nagle jakiś tydzień temu jeden z analityków natknął się na te same fotografie u kogoś, o kim wiedzieliśmy już, że werbuje dla Rosjan. Były też inne informacje. FBI odnalazło i przepytowało całą piątkę, ale w końcu doszło do wniosku, że żadna z tych osób nie ma nic wspólnego z Jurijem i Rosjanie pewnie dopiero zamierzają je skaptować. Jurij szybko zniknął z radaru FBI – był tylko kolejnym pomniejszym agentem werbunkowym – a niedługo potem zapomniała o nim także CIA.

Odetchnęłam z ulgą. Im mniej się o nim mówiło, tym lepiej. Zresztą kiedy FBI stwierdziło, że Jurij nie jest zaangażowany w działania siatki agentów, podejrzenia Omara jakby osłabły, przynajmniej trochę. Od tamtego czasu rozmawiałam z nim kilka razy; nasze konwersacje stopniowo zrobiły się bardziej przyjacielskie, znormalniały. Nadal przypuszczam, że nie do końca mi ufa, ale jest lepiej niż przedtem.

I jeszcze Peter. Ostatnio rzadko bywa w pracy. Zdrowie Katherine się pogorszyło, jak nam powiedział Bert podczas jednego z porannych spotkań w trzecim dniu nieobecności Petera. W pokoju zapadła cisza. Helen zaczęła płakać, nam wszystkim też zwilgotniały oczy. Kilka dni później Katherine odeszła. Peter wrócił wreszcie do pracy, ale od tamtej pory wydaje się

pusty. Złamany. Ostatnie, o czym teraz myśli, to ja.

Między Mattem a mną nie układa się za dobrze. Obwiniam go o wszystko. Nie tylko o to, że przez lata mnie okłamywał i że wplątał nas w całą sytuację, ale również o to, że poszedł do Jurija. Powiedział wszystko Rosjanom. Sprzedał mnie.

Dom nie wydaje mi się już bezpieczny. Wymieniłam wszystkie zamki i zainstalowałam dodatkowe. Nie podnoszę żaluzji. Odłączyłam tablet, laptopa, bezprzewodowe głośniki, schowałam wszystko w pudle w garażu. Kiedy jesteśmy razem – dzieciaki, Matt i ja – wyłączam komórkę i wyjmuję baterię. Mattowi każę robić to samo. Patrzy na mnie jak na paranoiczkę, jakbym oszalała, a to wszystko było bezcelowe, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie wiem, kto nas obserwuje, kto słucha. Ale zakładam, że ktoś to robi.

Któregoś dnia, niedługo po tym, jak dostałam tamtą kopertę, wyszłam wcześniej z pracy i pojechałam do sklepu z telefonami komórkowymi w centrum handlowym po drugiej stronie miasta. Upewniłam się, że nikt mnie nie śledzi, i zapłaciłam gotówką za telefon na kartę prepaid – anonimowy aparat, który trzymam w ukryciu. Nie powiedziałam o tym Mattowi i sama nie do końca wiem, dlaczego to zrobiłam. Po prostu poczułam, że powinnam mieć coś takiego na wszelki wypadek.

Dzieci to teraz mój jedyny ratunek. Przyłapuję się na tym, że siadam i po prostu na nie patrzę, chłonę każdą chwilę. Prace domowe, gotowanie, sprzątanie – nic nie ma teraz znaczenia. Pozwalam Mattowi nadrabiać moje obowiązki. On pilnuje, żeby życie toczyło się dalej, a ja tylko siedzę i patrzę. Jest mi to winien.

I dobrze o tym wie. Co tydzień przynosi mi kwiaty. W domu nie ma ani drobinki kurzu, posiłki zawsze są gotowe, pranie jest zrobione i poskładane. Matt zajmuje się maluchem, który akurat bardziej marudzi, rozsądza spory, zawozi dzieciaki na wszystkie spotkania z kolegami i zajęcia pozalekcyjne. Jakby to miało wynagrodzić kłamstwa, które niemal zniszczyły naszą rodzinę – i nadal mogą to zrobić.

Jest piątek. Pięć tygodni od czasu, kiedy znalazłam zdjęcie Matta i nasze życie uległo zmianie. Dni są teraz dłuższe, zrobiło się cieplej. Drzewa znowu się zielenią. Trawa rośnie bujnie. Wreszcie przyszła wiosna i ja również zaczynam się czuć, jakby i dla nas nadeszła nowa pora roku. Nowy początek.

Wyszłam z pracy kilka godzin wcześniej, żebyśmy mogli zabrać dzieci na festyn. Zaparkowaliśmy na wielkim pastwisku, gdzie ochotnicy w pomarańczowych kamizelkach kierują minivany i SUV-y do długich rzędów miejsc postojowych. Na teren festynu doszliśmy piechotą. Matt pchał podwójny wózek bliźniaków, a ja prowadziłam starsze dzieci za rękę. Ella była tak rozemocjonowana, że przez całą drogę niemal wychodziła z siebie i buzia jej się nie zamykała.

Przez cały wieczór patrzyliśmy, jak nasze dzieci przesiadają się na kolejne atrakcje: wirujące filiżanki, faliste zjeżdżalnie, małą kolejkę górską w kształcie smoka. Radość na ich buziach sprawiała, że nie zwracaliśmy uwagi na wyśrubowane ceny biletów. Robiliśmy zdjęcia telefonami. Zjedliśmy w szóstkę całego mrówkowca i śmialiśmy się z bliźniaków, którzy umorusali sobie buzie cukrem pudrem.

Stoimy teraz przed pociągiem – wagoniki jeżdżą po ułożonych w kółko torach. To już ostatnia atrakcja tego wieczoru. Korzystają z niej wszystkie dzieci: Luke i Caleb siedzą w jednym wagoniku, Ella i Chase w drugim. Cała czwórka się uśmiecha. Serce mam tak przepełnione miłością do nich, że chyba zaraz pęknie.

Matt sięga po moją rękę – codzienny, a jednocześnie obcy gest. Przez ostatnie tygodnie wzdragałam się przed jego dotykiem. Ale nie dziś.

Pozwalam, by jego palce zamknęły się na mojej dłoni, czuję ciepło i miękkość jego skóry. I nagle, zupełnie znienacka, wraca do mnie rzeczywistość. Myślę o Rosjanach, o kolejnych kłamstwach. O USB i mającej przede mną groźbie więzienia. O wszystkim, co od tygodni mnie zżera, a o czym nie myślałam przez ostatnich kilka cudownych godzin.

W pierwszym odruchu chcę się odsunąć. Ale tego nie robię. Czekam.

Matt uśmiecha się i przyciąga mnie do siebie, przez chwilę istniejemy wyłącznie my, zupełnie jak kiedyś. Czuję, jak zaczyna mnie opuszczać napięcie, z którego nawet nie zdawałam sobie sprawy. Może pora już na wybaczenie. Pora zostawić to wszystko za sobą, cieszyć się życiem, odrzucić strach. Może Matt miał rację; może ta koperta była jedynie ostrzeżeniem. Niepotrzebnym, bo przecież nigdy nie pisnęłabym o tym ani słowa. I teraz, kiedy już znam prawdę, może zostawią nas w spokoju. Znajdziemy sposób, żeby się z tego otrząsnąć.

Pociąg zwalnia i zatrzymuje się w początkowym punkcie. Podchodzę i biorę na rękę Caleba. Pozostała trójka wychodzi sama, Chase drepcze

chwiejnie za Lukiem i Ellą. Przypinamy bliźniaków w wózku spacerowym i wracamy przez pastwisko do samochodu. Ella ściska mocno sznureczek od balonu, a Luke ma na głowie plastikowy hełm strażacki – upierał się, że jest już na niego za duży, ale i tak zgodził się go włożyć. Bliźniacy siedzą cicho w wózku, który przedziera się z trudem przez nierówne pole. Obaj usypiają, zanim dochodzimy do minivana.

Biorę Chase'a, a Matt wyjmuję Caleba, i ostrożnie przenosimy ich do samochodu. Z uśmiechem uciszamy Ellę i Luke'a, którzy nadal są cali w emocjach. Patrzę, jak Luke zapina sobie pasy, i upewniam się, czy zrobił to tak, jak trzeba.

– Dobra robota, młody – mówię.

Spoglądam na Matta, który przypina Ellę po drugiej stronie, pilnując, żeby jej balon nie został na zewnątrz. Potem otwieram drzwi po stronie pasażera.

I coś widzę.

Brązową kopertę ze swoim imieniem wypisanym czarnymi drukowanymi literami. Leży na fotelu. Wygląda tak samo jak tamta w skrzynce.

Zastygam w miejscu. Nie mogę oderwać od niej wzroku. Czuję pulsowanie w głowie i w uszach. Nie słyszę nic ponadto. Głosy dzieci milkną; wszystko milknie oprócz tego rytmicznego dźwięku.

Rusz się, mówi mi mózg. Podnieś to. Więc podnoszę. Biorę kopertę i wsuwam się do samochodu. Docierają do mnie niewyraźne głosy za plecami, dźwięk otwieranych przez Matta drzwi kierowcy. Ale się nie odwracam. Wpatruję się w trzymaną na kolanach przesyłkę. Kątem oka widzę, jak Matt zastyga, nieruchomieje. I wiem, że też zauważył kopertę.

Zmuszam się, żeby podnieść głowę i na niego spojrzeć. Patrzymy sobie w oczy, pełne niewypowiedzianych myśli.

Słyszę głosy z tylnego siedzenia. Ella chce wiedzieć, dlaczego nie ruszamy. Luke pyta, co się dzieje.

– Dobrze już, dobrze – mówi Matt, udając lekki ton, ale słyszę w jego głosie, że też się denerwuje. – Już jedziemy.

Przekręca kluczyk w stacyjce, wycofuje auto. Znowu patrzę na kopertę. Wiem, że muszę ją otworzyć, sprawdzić, co jest w środku.

Kto ją tu podrzucił? Jurij? Ktoś inny? Jak się dostali do zamkniętego samochodu? Musieli nas śledzić. Czy teraz również nas obserwują?

Obracam kopertę na drugą stronę i wsuwam palec pod zalepioną krawędź. Otwieram, zaglądam do środka. Nośnik USB. Czarny, taki sam jak



tamten, który dał mi Matt i który zabrałam do pracy. Wytrząsam go sobie na rękę. Razem z nim wypada mała karteczka. Liścik, znajome już drukowane litery.

## Tak jak poprzednio. Rozdział 11

Wpatruję się w dysk i w liścik. Powinnam czuć się tak, jakby mój świat właśnie się walił. Powinnam myśleć: „Teraz? Akurat kiedy wreszcie pozwoliłam sobie cieszyć się życiem?”. Zamiast tego ogarnia mnie dziwne wrażenie spokoju. W głębi serca spodziewałam się tego, od kiedy znalazłam w skrzynce pocztowej tamtą pierwszą kopertę. Może nie wiedziałam dokładnie, w jaki sposób się to wydarzy, ale nie miałam wątpliwości. To, że w końcu rzeczywiście do tego doszło, przynosi mi pewną ulgę. Tak jak ze złą wiadomością, która mimo wszystko jest lepsza od niepewności.

Matt patrzy prosto przed siebie, nie odrywa wzroku od jezdni. Twarz ma zbliziałą, niemal trupio bladą, ale może to tylko przez światło księżyca. Niemniej jego zaciśnięte zęby – to już na pewno za sprawą koperty.

– Widziałeś? – pytam. Głos mam zduszony.

Widzę, z jakim trudem próbuje się zmusić do odpowiedzi.

– Tak.

– Wiedziałam, że to zrobią – mówię przyciszonym tonem.

Matt spogląda we wsteczne lustro na dzieci, a potem na mnie.

– Coś wymyślimy.

Odwracam wzrok, wyglądam przez szybę, patrzę na latarnie, aż zmieniają się w rozmazaną smugę. Matt prowadzi w milczeniu, dzieci siedzą cicho, jedyny dźwięk to szum silnika i odgłosy z drogi. Zamykam oczy. A więc to już. Nadeszło to, na co czekałam. Niemal sprawia mi to satysfakcję – więc jednak się nie myliłam – ale nie ma w tym radości. Ani trochę. Czuję tylko pustkę. I znowu to wrażenie, po raz kolejny, że wszystko, co kocham, wszystko, co się dla mnie liczy na świecie, zostanie mi zaraz odebrane.

Zanim dojeżdżamy do domu, Ella też usypia. Kładziemy całą czwórkę do łóżek, na szczęście szybko nam idzie. Całuję Luke'a na dobranoc, biorę elektroniczną nianię i wychodzę drzwiami ogrodowymi. Nie czekam na Matta. Siadam na jednym z krzeseł na tarasie i patrzę w ciemnościach na ogród, raz po raz zerkając na ziarnisty czarno-biały obraz na monitorze, który pokazuje dziecinne pokoje. Powietrze pachnie słodko; z ogrodu

sąsiadów napływa woń kwiatów. Cykady grają swoje melodie. Panuje pełna spokoju cisza, którą przerywa jedynie skrzypnięcie drzwi. Nie odwracam się.

Podchodzi Matt i siada na krześle obok mnie. Z początku się nie odzywa, towarzyszy mi w milczeniu.

– Przykro mi – mówi wreszcie. – Nie sądziłem, że do tego dojdzie.

– A ja owszem.

Kątem oka widzę, że kiwa głową.

– Wiem.

Znowu zapada cisza.

– Mógłbym spróbować porozmawiać z Jurijem – proponuje w końcu.

– I co byś mu powiedział?

Na chwilę, która trwa tyle, co uderzenie serca, zapada milczenie i wiem, że Matt sam nie ma pojęcia.

– Spróbowałbym go przekonać.

Śmieję się i brzmi to okrutnie. Ta propozycja jest tak absurdalna, że nie zasługuje nawet na odpowiedź.

– Przecież nie mogą tego ujawnić. Wtedy byłbym spalony – mówi Matt urażonym tonem.

– A co ich to obchodzi? – odpowiadam szorstko. – Pytam poważnie. Jeśli ja na nic im się nie przydam, to po co mają trzymać ciebie?

Matt rozgrzebuje palcem u nogi grudkę ziemi, nie odpowiada.

Mrugam w ciemnościach, pozwalam, by spowiła nas cisza, ciężka i gęsta.

– Co na nim jest? – pytam.

– Mogę sprawdzić – brzmi odpowiedź. Następuje chwila milczenia, a potem rozlega się szuranie, Matt odpycha krzesło i wstaje. Bez słowa wraca do domu. Nie odwracam się, nie oglądam na niego, nie patrzę, jak odchodzi. Siedzę i wpatruję się w kontury drzew w mroku, sama ze swoimi myślami.

W drugą ciążę zaszłam, kiedy Luke miał dwa lata. Tym razem nie od razu powiedziałam Mattowi. Przez cały dzień trzymałam tę informację dla siebie, to była moja słodka tajemnica. W drodze powrotnej z pracy wstąpiłam do sklepu i kupiłam Luke'owi koszulkę z napisem WIELKI BRAT. Wieczorem wykąpałam go i ubrałam w piżamę z polarowymi spodenkami w dinozaury, ale zamiast góry włożyłam mu tę nową koszulkę.

– Idź pokazać ją tacie – szepnęłam. I patrzyłam, jak biegnie do salonu,

wypinając pierś.

Matt popatrzył na koszulkę; zobaczyłam zmianę na jego twarzy. Podniósł na mnie wzrok i ujrzałam w jego oczach tę samą nieukrywaną radość co trzy lata wcześniej, kiedy pokazałam mu test.

– Jesteśmy w ciąży? – zapytał z miną jak maluch na Boże Narodzenie.

– Jesteśmy w ciąży – odparłam z szerokim uśmiechem.

Mijały tygodnie. Ubrania robiły się coraz ciasniejsze, a brzuch coraz większy. Wreszcie odłożyłam codzienne spodnie i wyciągnęłam ciążowe z elastycznym pasem. Poszliśmy na USG i zobaczyliśmy nasze maleństwo. Dowiedzieliśmy się, że to dziewczynka. Całymi wieczorami przeglądaliśmy książki z imionami dla dzieci, przerzucając się propozycjami. Luke lubił całować mnie w brzuch, obejmować go rączkami i mówić: „Kocham cię, siostrzyczko”. To pod jego dotykiem poczułam pierwsze kopnięcie.

Życie było dobre.

– Kiedy urodzi się dziecko, zamierzam zrobić sobie przerwę w pracy – powiedziałam któregoś wieczoru, kiedy leżeliśmy z Mattem w łóżku. Rozmyślałam nad tym od kilku miesięcy i wreszcie zebrałam się na odwagę, żeby to powiedzieć. – Dwoje dzieci w żłobku pochłonęłoby niemal całą moją pensję...

Matt milczał. Spojrzałam na niego, ale w ciemnościach prawie nie widziałam jego twarzy.

– Na jak długo?

– Rok albo dwa lata.

– A będziesz mogła wrócić potem do pracy?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie jestem pewna.

Krążyły plotki o cięciach w budżecie, które praktycznie uniemożliwiłyby zatrudnianie nowych pracowników i powrót dawnych z urlopów.

Matt znowu zamilkł.

– Kochanie, jesteś pewna, że tego chcesz? Tak ciężko pracowałam, żeby dostać to stanowisko.

– Jestem pewna. – Wcale nie byłam, nie tak do końca, ale miałam wrażenie, że to właśnie powinnam powiedzieć.

– W porządku – odparł zdecydowanie. – Jeśli tego właśnie pragniesz.

Ułożyliśmy nowy budżet na podstawie pensji Matta. Nie zapisaliśmy dziecka na listę oczekujących do żłobka. Zaplanowałam sobie, że napiszę podanie o urlop bezpłatny, szczególnie obmyślałam, co powiem szefom.

I nagle coś się popsuło. Powinłam była to przewidzieć.

– Robią redukcję pracowników – powiedział Matt któregoś dnia przy kolacji. – Zwalniają ludzi.

Widziałam niepokój wyryty w linii jego zaciśniętych ust.

Poczułam, że moje serce na ułamek sekundy staje. Widelec zawisł w powietrzu.

– Ale tobie to nie grozi?

Matt zaczął przepychać tłuczone ziemniaki z jednego końca talerza na drugi. Nie patrzył na mnie.

– Chyba nie.

Od tego czasu co wieczór wracał z kolejnymi informacjami. Ten został zwolniony. Tamtego może też to czeka, bo wszyscy tak mówią. I z każdym wieczorem coraz wyraźniej czułam, jak zamiera we mnie nadzieja. Nie rozmawialiśmy o tym, ale sama wiedziałam. Nie mogłam odejść, jeszcze nie teraz. Miałam stabilną pracę. Oczekiwaliśmy drugiego dziecka. Potrzebna nam była co najmniej jedna pensja.

Więc czekałam i czekałam. Dziecko, a z nim mój brzuch coraz bardziej rosły. Wpisaliśmy córeczkę na listę oczekujących do żłobka, tak na wszelki wypadek. Wkrótce z trudem dotaczałam się do pracy, co godzinę odbywałam wyprawy do damskiej toalety, a potem do działu kadr, żeby załatwić sprawy związane z macierzyńskim i ustalić datę powrotu do pracy – trzy miesiące po terminie porodu.

Tamtego dnia wszystko stało się rzeczywistością. Fakt, że nie odejdę z CIA. Ze życie po raz kolejny nie układa się tak, jak planowałam. Wieczorem przy kolacji powiedziałam do Matta:

– Dzisiaj potwierdziłam datę powrotu do pracy.

Krótko i do rzeczy. Częściowo miałam nadzieję, że zaprotestuje. Ale wiedziałam, że tego nie zrobi.

– To tylko na razie – powiedział. – Kiedy skończą się zwolnienia...

– Wiem – odparłam, choć wcale nie wiedziałam. Miałam poczucie pewnej niezmienności. Oddam kolejne dziecko do żłobka. Jednak nie będę mogła zostać w domu. Ani z nim, ani z Lukiem.

– Przykro mi, kochanie – powiedział Matt. I naprawdę wyglądał, jakby było mu przykro.

Wzruszyłam ramionami i odłożyłam widelec. Straciłam apetyt.

– Mówi się trudno.

Drzwi się otwierają i Matt znowu wychodzi na dwór. Straciłam poczucie czasu. Czy minęła godzina? Dwie? Wszystko wydaje się nierzeczywiste. Księżyc stoi wysoko na niebie, jasny sierp. Cykady ucichły, bryza zamarła. Matt siada przy mnie. Patrzą na niego, czekając, aż się odezwie. Ale on nic nie mówi, obraca tylko obrączkę na palcu.

– Bardzo źle? – pytam wreszcie.

On dalej kręci obrączką, raz za razem. Wygląda, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczy.

– Co zrobi ten program? – Mój głos jest pozbawiony wyrazu.

Matt cicho wciąga powietrze.

– Da im dostęp. Wpuści ich do wszystkich programów w systemie.

– Tajnych programów.

– Zgadza się.

Tak jak myślałam. Sama na ich miejscu postąpiłabym identycznie. Kiwam głową. Czuję się odrętwiała, jakby to się nie działo naprawdę.

– Więc udostępniłabym im tajne informacje – mówię cicho.

Matt się waha.

– Mniej więcej.

– A oni będą mogli z nimi zrobić, co zechcą.

– Dopóki wasi informatycy się nie zorientują i ich nie wykopią.

Zastanawiam się, jak przede wszystkim Rosjanie wykorzystaliby ten dostęp. Będą chcieli się dowiedzieć jak najwięcej o naszych informatorach w Rosji i o danych, które od nich uzyskujemy. Wytropią ich. Wyślą do więzienia albo gorzej.

Reset to jedno. Ale dać im dostęp? Ktoś może zginąć.

Zrywa się podmuch bryzy. Wzdrygam się. Obejmuję się ramionami, słucham szelestu liści. Jak mogę to zrobić? Jak mogłabym ze sobą żyć, jeśli to zrobię?

– Wasi informatycy – mówi Matt. – Znają się na robocie. Szybko to wyłapią.

– Wasi też się znają. Sam to powiedziałeś. – Mocniej obejmuję się ramionami. Dla ciepła, dla poczucia bezpieczeństwa, sama już nie wiem. – Co, jeśli są lepsi od naszych?

Matt spuszcza wzrok na swoje ręce, nie odpowiada. Dociera do mnie, że nazwałam Rosjan „jego” ludźmi. A on mnie nie poprawił.

Wbijam wzrok w ciemność. Jak do tego wszystkiego doszło? Jak doszło do punktu, w którym siedzę tu i poważnie zastanawiam się nad czymś tak

straszny, tak zdradziecki, że nie wiem, czy zniosłabym potem poczucie winy?

A wszystko dlatego, że byłam słaba. Nie zrobiłam od razu tego, co należało. Wkopywałam się coraz głębiej i głębiej i za każdym razem coraz trudniej było mi się wygrzebać, więc nawet nie próbowałam. Tylko wkopywałam się jeszcze bardziej.

Znowu podmuch wiatru, tym razem mocniejszy. Słyszę, jak z któregoś drzewa odłamuje się gałąź i spada z cichym trzaskiem na ziemię.

Czy przez całe życie nie postępowałam dokładnie tak samo? Tyle razy powinnam była postawić na swoim, zrobić to, o czym w głębi duszy wiedziałam, że było słuszne. Nie kupić tego domu. Wziąć urlop po narodzinach Luke'a, a potem Elli. Życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdybym to zrobiła.

Czuję na skórze kroplę deszczu, potem kolejną, jak zimne ukłucia szpilki. Na tym się nie skończy. Jeśli ich posłucham, wkopię się jeszcze głębiej.

– Nie mogę tego zrobić – szepczę.

Więcej kropli, spadają coraz szybciej. Słyszę, jak uderzają o taras, czuję, jak wsiąkają w moje ubranie. Nie mogę wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Nie mogę ryzykować ludzkim życiem. Odzywam się znowu, tym razem głośniej, bardziej zdecydowanie, jakbym chciała przekonać samą siebie:

– Nie zrobię tego.

## Rozdział 12

– Nie zrobisz? – powtarza za mną Matt. Nawet w ciemności widzę zdumienie na jego twarzy. I nagle na moich oczach ten wyraz zmienia się w coś innego. Chyba we frustrację. – Nie możesz zwyczajnie... odmówić.

– Może i mogę. – Wstaję i wracam do domu, uciekam w równej mierze przed Mattem, co przed deszczem. Mówię bardziej pewnie, niż się czuję. Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, czy mogę odmówić. *I jak to zrobić.* Nie wykonać rozkazu Jurija, a jednocześnie ustrzec się przed więzieniem. Pozostać z dziećmi. Ale nie chcę słyszeć od męża, że nie mam wyboru.

Matt idzie za mną, zamyka drzwi, odcinając szum deszczu.

– Oni mogą sprawić, że pójdziesz do więzienia.

Nic nie mówię. Idę na górę do naszej sypialni. „Nie, jeśli ich pokonam” – myślę. Ale nie mówię tego na głos. Wiem, jak brzmiałyby odpowiedź. Prychnięcie. Jakby to było niemożliwe. Jakbym nie miała wyboru.

No cóż, może mam. Może *mogę* ich pokonać.

Może jestem silniejsza, niż mu się wydaje.

Tamtego dnia, kiedy Luke omal nie zginął, strasznie się pokłóciliśmy. Nie pamiętam już, o co poszło – jakiś drobiazg, może organiczne owoce, za wysokie rachunki za zakupy spożywcze. Byliśmy w garażu. Wypięłam Luke'a i postawiłam go na podłodze, a potem wyciągnęłam z bagażnika torbę z zakupami. Matt wyjmował z samochodu fotelik z bezpiecznie przypiętą maleńką Ellą, pogrążoną w głębokim śnie. Żadne z nas nie zauważyło, że Luke wyprowadził swój nowy rowerek z garażu na koniec podjazdu. Że wsiał na niego i skierował się w stronę jezdni.

Najpierw usłyszałam dźwięk – rower wyjeżdżający na ulicę. Kółeczka asekuracyjne na betonie. Odwróciłam się gwałtownie. Luke trzymał się mocno, nabierał prędkości. I nagle zobaczyłam coś jeszcze – samochód jadący w naszą stronę.

Przysięgam, że na tę jedną chwilę czas się zatrzymał. Zobaczyłam wszystko w zwolnionym tempie – rozpędzony rower i zbliżający się samochód. Tragedia była nieunikniona. Luke. Mój Luke, moje serce, moje życie. Nigdy nie dobiegnę na czas. Rower poruszał się za szybko. Nie



zdołam go zatrzymać.

Więc krzyknęłam. To był mrozący krew w żyłach wrzask, tak głośny, tak zwierzęcy, że do dziś nie mogę uwierzyć, że wydobył się z moich ust. Zaczęłam biec z szybkością, jakiej nigdy bym się po sobie nie spodziewała. Mój krzyk był na tyle zaskakujący, że Luke obejrzał się na mnie, skręcając jednocześnie kierownicą akurat na tyle, żeby stracić równowagę i przewrócić się wraz z rowerem. Upadł na ziemię na samym końcu podjazdu, mocno. Rower wylądował na nim, a ułamek sekundy później o kilka centymetrów z przodu przemknął samochód.

I już byłam przy Luke'u, brałam go w ramiona, całowałam po twarzy, ocierałam łzy, dawałam buzi w podrapane kolano. Podniosłam głowę i, nadal tuląc synka, zobaczyłam stojącego nad nami Matta. On też się nachylił, objął nas oboje. Luke nadal płakał z powodu zadrapania, nieświadomy, że właśnie otarł się o śmierć. Spojrzałam na dziecięcy fotelik na podłodze garażu, Ella dalej spała w nim spokojnie.

– O Boże – szepnął Matt. – O mały włos.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Miałam wrażenie, że nie zdołam się ruszyć, funkcjonować. Mogłam co najwyżej obejmować Luke'a, jakbym już nigdy nie zamierzała go wypuścić. Gdyby naprawdę wpadł pod samochód, ja też pragnęłabym umrzeć. Nie mogłabym żyć bez niego. Naprawdę.

– Wszystko widziałem, rower, samochód – powiedział Matt. Jego głos był stłumiony, bo nadal się obejmowaliśmy. – Wiedziałem, co się stanie. Wiedziałem, że nic nie możemy zrobić.

Przytuliłam Luke'a jeszcze mocniej. Mój umysł starał się przyswoić słowa męża: Matt wiedział, co się stanie. Wiedział i nic nie zrobił. Nawet nie mogłam mieć do niego pretensji; przecież to nie tak, że sama miałam jakiś plan, kiedy zaczęłam krzyżeć. To był czysty instynkt.

Dopuściłam do głosu intuicję i to ona ocaliła życie Luke'a. A ja w tamtej chwili nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Tej nocy śpię mocno i budzę się pełna determinacji. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że postępuję właściwie. I że nie pozwolę rozdzielić się z dziećmi. Nie dam się posłać do więzienia.

Myję zęby, kiedy Matt wchodzi do łazienki.

– Dzień dobry – mówi. Patrzy na moje odbicie w lusterku. Wydaje się wypoczęty, bardziej, niż bym się spodziewała w tej sytuacji.

Nachylam się i wypłuwam pastę do umywalki.

– Dzień dobry.

Matt staje obok mnie, sięga po swoją szczoteczkę, wyciska pastę z tubki. Zaczyna energicznie myć zęby. Teraz ja z kolei patrzę na jego odbicie w lustrze, a on nadal spogląda na moje. Wypluwa i odwraca się do mnie ze szczoteczką zawieszoną w powietrzu.

– No i co teraz?

Czekam chwilę, po czym dalej myję zęby, zwlekam z odpowiedzią. Co teraz? Chciałabym mieć na to odpowiedź. Fakt, że nie mam, podkopuje moją determinację. Wreszcie nachylam się i wypluwam resztę pasty.

– Nie wiem – mówię i odkręcam wodę, żeby opłukać szczoteczkę. Spuszczam wzrok. Mina Matta sprawia, że zaczynam się czuć niezręcznie.

– Kochanie, mówię ci, nie możesz tego po prostu zignorować.

Odkładam szczoteczkę, wymijam go i wychodzę z łazienki, idę do garderoby. Biorę z wieszaka bluzkę i spodnie. Matt ma rację. Jurij wie o wszystkim, co zrobiłam. Ujawnienie tajnych informacji. Usunięcie pliku. Podłączenie dysku. I ma dowody. Dowody, które wystarczą, żeby mnie skazać. Ja o tym wiem i on też.

Pytanie brzmi: co z tym zrobić?

– Mam jeszcze czas – mówię i mój głos znowu brzmi, jakbym czuła się pewniej niż w rzeczywistości. Ale to przecież prawda. Jurij nie spali przykrywki Matta tak od razu. Nie będzie chciał mnie stracić. Będzie wolał mnie przekonać, żebym wypełniła jego polecenia. To oznacza, że mam jeszcze czas.

– Czas na co?

Patrzę na guziki bluzki i zaczynam je zapinać.

– Żeby coś wymyślić.

Przekonam go, żeby zostawił mnie w spokoju. Po prostu nie mam jeszcze pomysłu, jak to zrobić.

Matt podchodzi i staje w drzwiach garderoby. Włosy z tyłu głowy mu sterczą, jak zwykle tuż po przebudzeniu, zanim weźmie prysznic. Wyglądałby uroczo, gdyby nie wyraz jego twarzy. Zniecierpliwiony.

– Viv, tu nie ma co wymyślać.

Patrzę z powrotem na guziki. Musi istnieć jakiś sposób. Jurij ma pewne informacje, a ja nie chcę, żeby je komuś przekazał. A co, gdybym sama miała inne informacje i to *on* by nie chciał, żebym je komuś przekazała?

– Może zawrzemy jakiś kompromis?

– Kompromis?

– No wiesz, milczenie za milczenie.

Matt kręci głową, patrzy z niedowierzaniem.

– Niby jakbyś go do tego skłoniła?

Wpada mi do głowy tylko jedna rzecz, która miałaby dostateczną wagę. Poprawiam bluzkę i patrzę na Matta.

– Odkrywając, kto jest przywódcą siatki.

Gdy tylko wpadam na ten pomysł, chwytam się go kurczowo. Wydaje mi się dobry i nie widzę innego sposobu wyplątania się z tego bałaganu. Tak więc chodzę do pracy i dzień po dniu siedzę po godzinach jak przykuta do biurka, szukając kierownika rosyjskiej siatki szpiegowskiej.

Wymyślam kolejny algorytm, działający na podobnej zasadzie co ten pierwszy, ale z pewnymi modyfikacjami. Sieć jest teraz zarzucona szerzej i mam nadzieję, że złapie się w nią ktoś pełniący jakąś ważną funkcję, kto nadzoruje łączników takich jak Jurij i otrzymuje rozkazy bezpośrednio od SWZ.

Uruchamiam algorytm i zestawiam go z pulą wszystkich osób, które kiedykolwiek kontaktowały się z Jurijem albo z jego kontaktami, albo nawet z kontaktami jego kontaktów. Na koniec otrzymuję długą, o wiele za długą listę kandydatów. Muszę ich jakoś odsiać, ale nie wiem jeszcze jak, nie mam żadnej metody. Na razie zbieram więc informacje. Profile wszystkich osób, które potencjalnie mogą być przywódcami siatki. Zdjęcia, dane biometryczne, tropy odkryte podczas obserwacji.

Kilka razy zauważyłam, że Peter przygląda mi się ze zdziwieniem.

– Dlaczego właśnie teraz? – zapytał pewnego razu.

– Po prostu muszę złapać tego faceta – odparłam.

Od wielu dni prawie nie widuję dzieci; wracam do domu na długo po tym, jak idą spać. Czasem nawet Matt leży już wtedy w łóżku. On nie może tego znieść – tych moich długich godzin w pracy. Nie powiedział tego wprost, ale wiem, że jego zdaniem to na nic. Że powinnam zwyczajnie zrobić to, czego chce Jurij. Ale nie mogę. Nie zrobię tego.

Wreszcie drukuję wszystkie zebrane materiały, całe setki stron. Przeglądam je, patrzę kolejno na pełne złości twarze. Jeden z tych ludzi to przywódca komórki. A kiedy odkryję który, kiedy przekonam Jurija, że mogę zniszczyć całą jego siatkę, wtedy będę mogła kupić jego milczenie.

Problem w tym, że mam nadmiar informacji. Kartkuję dane z narastającą rozpaczą. Muszę wymyślić jakiś sposób, żeby zawęzić krąg poszukiwań, ale

to potrwa. A ile tak naprawdę mam czasu? Kiedy Jurij spodziewa się wykonania zadania? Kiedy dostanę od niego kolejną kopertę? Czuję, że to ponad moje siły. Jestem sfrustrowana. Boję się. Ale ten kompromis to moja jedyna nadzieja.

Wkładam papiery do teczki. Jest gruba i wybrzuszona. Kładę na niej rękę, siedzę cicho przy biurku. Muszę coś znaleźć, muszę się z tego wyplątać. Wreszcie wkładam teczkę do szuflady, przekręcam kluczyk i zabieram swoje rzeczy.

Tego wieczoru wracam do domu w gorszym nastroju niż zwykle. Spodziewam się, że zastanę ciszę i ciemność. Ale w salonie świeci się światło. Matt siedzi na kanapie i czuwa. Telewizor jest wyłączony. Dłonie Matta są złączone, a jedna noga wykonuje nerwowy ruch w górę i w dół, jak zawsze, kiedy Matt się czymś przejmuje. Wchodzę pełna podejrzeń.

– Co się dzieje? – pytam.

– Jurij zgadza się na ugodę.

Zatrzymuję się.

– Co?

– Zgadza się na ugodę.

Noga podskakuje teraz szybciej.

Zmuszam się, żeby pójść dalej, wchodzę do pokoju, siadam na kanapie.

– Rozmawiałeś z nim?

– Tak.

Nie wiem, czy dalej wypytywać o ich spotkanie. Odkładam to na później, a tymczasem kontynuuję temat:

– Jaką ugodę? – Matt wykręca sobie dłonie, a jego noga wciąż podryguje. – Matt? – Konwulsyjnie wciąga oddech.

– Nigdy więcej o nic cię nie poproszą.

Wbijam w niego spojrzenie. Matt nagle nieruchomieje.

– Viv, jeśli to zrobisz, oni zniszczą te zrzuty ekranu. Cały plik. Nie zostanie żaden ślad po tym, co zrobiłaś.

– I już nigdy niczego ode mnie nie zażądają – mówię. To stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak.

Przez kilka chwil się nie odzywam.

– Mam zdradzić swój kraj?

– Wrócić do normalnego życia.

Unoszę brwi.

– Normalnego?

Matt nachyla się w moją stronę.

– To wystarczy, żeby dali mi spokój. Viv, wreszcie moglibyśmy o nich zapomnieć.

Powoli wypuszczam powietrze. „Moglibyśmy o nich zapomnieć”. Niczego więcej nie pragnę. Chcę, żeby dali nam spokój. Chcę normalnego życia. Chcę, żeby nic z tego się nie działo. Kiedy się odzywam, mój głos wydobywa się w formie najślabszego szeptu:

– I naprawdę się na to zgodzili?

– Tak. – Widzę na jego twarzy podniecenie, radość, że znalazł wyjście. – Później dadzą nam spokój.

Dadzą nam spokój. Przechodzi mnie dreszcz. Ale za jaką cenę?

A zresztą kto powiedział, że dotrzymają umowy? Przecież wiem, jak oni działają. Obserwowałam ich przez lata. Wrócą z czymś innym. Może nie jutro, może nie w tym roku. Ale kiedyś na pewno. To się nie skończy. A wtedy będą mieli na mnie prawdziwego haka.

Matt patrzy na mnie z oczekiwaniem, chce poznać moją decyzję. Czeka, aż się zgodzę, zapytam, co mam dalej robić.

– Nie – mówię. – Odpowiedź nadal brzmi: nie.

## Rozdział 13

Czarny sedan stoi przy spokojnej, zadrzewionej ulicy pod szkołą. Silnik pracuje cicho, prawie go nie słyhać pośród odgłosów szkolnych busów, wesółych krzyków i rozmów dzieci.

– To on – mówi Jurij. Zdejmuje jedną rękę z kierownicy i pokazuje przez szybę. Znajduje się tam półokrągła zatoczka, w której stoi rząd żółtych autobusów. Niski, biały parkan odgradza szkołę od chodnika.

Mężczyzna na fotelu pasażera, Anatolij, spogląda wzdłuż ręki Jurija za szybę, tam gdzie wskazuje wyciągnięty palec. Podnosi do oczu lornetkę.

– To ten w niebieskiej koszulce – mówi Jurij. – Z czerwonym plecakiem.

Anatolij poprawia ostrość i wreszcie widzi chłopca wyraźnie. Mały stoi na chodniku, tuż pod drzwiami autobusu. Jasnoniebieski T-shirt i dżinsy, niemal komicznie duży plecak. Śmieje się z czegoś, co powiedział jego kolega; widać szczerbę po zębie.

– Miniaturka Aleksandra – mruczy Anatolij.

Chłopiec zaczyna opowiadać coś z ożywieniem. Jego kolega słucha, śmieje się.

– I jest tu codziennie rano? – pyta Anatolij. Patrzy na ogrodzenie przy autobusie, o rzut kamieniem od miejsca, gdzie stoi chłopiec.

– Codziennie.

Anatolij odkłada lornetkę na kolana. Przygląda się chłopcu, nie uśmiechając się ani nie mrugając.

## Rozdział 14

Przez następne dwa dni w moich uszach rozbrzmiewają słowa Matta: „To wystarczy, żeby dali mi spokój”.

„Viv, wreszcie mogliśmy o nich zapomnieć”.

Za każdym razem odpycham od siebie tę myśl. Tego właśnie pragnę, zapomnieć o sprawie. Ale jak mogłabym to zrobić? To, o co mnie proszą? Uruchomić ten program. Wziąć na siebie odpowiedzialność za wyjawienie Rosjanom naszych tajemnic, narażenie naszych informatorów. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Pracuję więc dalej. Wpisuję w wyszukiwarkę nazwiska, jedno po drugim. Czytam wszystko, co mogę znaleźć o tych ludziach. Szukam czegokolwiek, co mogłoby sugerować, że któryś z nich jest przywódcą siatki. Albo przynajmniej czegoś, dzięki czemu będę mogła wyeliminować ich z listy, zawęzić poszukiwania.

Kiedy jednak tydzień dobiega końca, okazuje się, że nie zrobiłam prawie żadnych postępów, nie skreśliłam prawie żadnych nazwisk, nie wytypowałam ani jednej osoby.

To nie ma sensu.

Tego wieczoru wracam zniechęcona do domu. Dzieci po raz kolejny leżą już w łóżkach. Matt na mnie czeka. Siedzi na kanapie, ogląda jakiś program o remontowaniu domów. Kiedy wchodzę, celuje pilotem w ekran, który gaśnie.

– Cześć – mówię, stając przy telewizorze.

– Cześć.

– Z dziećmi wszystko w porządku?

– Tak.

Coś się stało. Nie potrafię do końca określić co, ale coś się nie zgadza. Matt nie jest sobą.

– Co się dzieje? – pytam.

– Nieważne, nie przejmuj się.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, chcę naciskać dalej, ale powstrzymuję się, zamykam się.

– Okej.

Mam dość własnych zmartwień, a do tego jestem wykończona. *Okej.*

Przez kilka niezręcznych chwil patrzymy na siebie, a potem Matt wstaje, bierze z blatu elektroniczną nianię i rusza w stronę schodów. Na pierwszym stopniu przystaje i odwraca się w moją stronę.

– Zastanawiałaś się jeszcze, czy tego nie zrobić?

– Czy nie podłączyć tego nośnika?

– Aha.

Patrzę na niego uważnie. Zdecydowanie coś jest nie tak. Coś go gryzie.

– Nie mogę tego zrobić. Wiem, że twoim zdaniem tak by było najlepiej, ale po prostu nie mogę.

Matt patrzy na mnie przeciągle, czoło ma zmarszczone.

– W porządku.

I coś w sposobie, w jaki wypowiada to słowo, wydaje się tak pełne rezygnacji, tak *ostateczne*, że patrzę za nim długo po tym, jak znika mi z oczu.

Następny dzień w pracy nie przynosi żadnych efektów, tak samo jak poprzednie, ale dzisiaj nie zostaję po godzinach. Wracam do domu wczesnym wieczorem, a kiedy wchodzę, w środku panuje cisza.

Już prawie pora kolacji. Luke i Ella powinni się o coś wykłócać, a Chase i Caleb – krzyczeć i hałasować. Matt powinien być w kuchni, gotować posiłek, rozsądzać spory, jakoś nad wszystkim panować.

Zamiast tego wszędzie panuje spokój. Zaczyna mnie ogarniać złe przeczucie. Coś jest nie tak.

– Halo! – mówię w pustkę.

– Cześć, mamó – słyszę. Wchodzę dalej i widzę Luke'a siedzącego przy kuchennym stole, na którym leży rozłożona praca domowa. Rozglądam się, ale nigdzie nie widać ani pozostałych dzieci, ani Matta.

– Cześć, skarbie. Gdzie tata?

– Nie ma go.

Luke nie podnosi głowy. Oczy ma utkwione w kartce przed sobą, ołówek wisi w powietrzu.

– A gdzie jest?

Zaczynam wpadać w panikę. Luke ma siedem lat. Nie może siedzieć sam w domu. I gdzie jest reszta dzieci?

– Nie wiem.

Teraz moja panika przeradza się w całkowite przerażenie.



– Odebrał cię z przystanku autobusowego?

– Nie.

Prawie nie mogę oddychać.

– Czy kiedyś już mu się to zdarzyło?

– Nie.

Serce wali mi jak szalone. Szukam w torebce telefonu, wyciągam go, znajduję Matta w najczęściej wybieranych numerach. Czekam na połączenie i jednocześnie spoglądam na zegarek. Przedszkole zamykają za dziewiętnaście minut. Czy dzieci nadal tam są? W telefonie Matta od razu włącza się poczta głosowa. Rozłączam się.

– No dobrze, kochanie – mówię, starając się, żeby w moim głosie nie było słychać paniki. – Chodźmy odebrać ze szkoły twoją siostrzyczkę i braci.

W samochodzie znowu próbuję się dodzwonić do Matta. Nadal poczta głosowa. Gdzie on się podziewa? Mknę jak na skrzydłach, wymijam inne samochody, moja noga jest jak ołowiany ciężar na pedale gazu. Czy dzieci nadal są w szkole? Sama nie wiem, dlaczego zadaję sobie to pytanie, ale tak właśnie jest. Proszę Cię, Boże, żeby tylko tam były.

Nie mogę czekać, aż dojadę na miejsce, żeby się tego dowiedzieć. Znowu sięgam po telefon i wybieram kolejny numer z listy najczęściej wybieranych. Żłobek. Sekretarka odbiera po pierwszym dzwonku.

– Tu Vivian Miller – mówię. – Nie mogę się skontaktować z mężem i nie jestem pewna, czy odebrał dzieci.

W mojej głowie w kółko powtarza się milcząca modlitwa. Proszę Cię, Boże, żeby tylko tam były.

– Już sprawdzam – odpowiada kobieta. Słyszę szelest papieru i wiem, że sprawdza listy na blacie, na których się podpisujemy, zostawiając i odbierając dzieci. – Wygląda na to, że nie odebrał – mówi wreszcie.

Zamykam oczy i ogarnia mnie nie tylko ulga, ale też nowe obawy.

– Dziękuję – mówię do sekretarki. – Już po nie jadę.

Dzieci są w żłobku. Dzięki Bogu, choć i tak uspokoję się dopiero wtedy, kiedy zobaczę je na własne oczy. Ale dlaczego nadal tam są? Przedszkole zaraz się zamyka. Matt zna przepisy. I nie mógł wiedzieć, że wrócę do domu na tyle wcześnie, by zdążyć odebrać maluchy. Sądząc po ostatnich dniach, powinien raczej założyć coś przeciwnego.

Czuję strach krążący we mnie jak elektryczność. Luke sam na przystanku, sam w domu. Pozostałe dzieci czekające w żłobku znacznie

dłużej niż zwykle.

A Matt zniknął.

Boże. Matt zniknął.

– Mamo! – Otrząsam się, słysząc z tyłu głos Luke’a. Spoglądam na niego w lusterku wstecznym. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. – Masz zielone!

Mrugam i kieruję wzrok na światła. Zielone zmienia się właśnie na pomarańczowe. Ktoś za mną trąbi. Wciskam gaz do dechy i przejeżdżam gwałtownie przez skrzyżowanie.

Myślę o ostatnich słowach, jakie wczoraj zamieniliśmy. Powiedziałam, że mimo wszystko nie zrobię tego, czego ode mnie chcą. I ten sposób, w jaki Matt odpowiedział: „W porządku”, wyraz jego twarzy. Czyżby doszedł do wniosku, że jeśli nie zdoła mnie przekonać do uruchomienia programu, to nie ma po co dłużej tu siedzieć? Ale to by znaczyło, że zostawił dzieci samym sobie, że nie obchodzi go, co się z nimi stanie. To nie w jego stylu.

Pod szkołą wjeżdżam ostro na krawężnik. Parkuję samochód, prawie nie zwracając uwagi, czy mieszczę się w liniach miejsca postojowego, i hamuję gwałtownie, aż moja torebka zsuwa się z fotela na podłogę. Wyciągam kluczyk ze stacyjki, pośpieszam Luke’a i biegnę do drzwi. Kątem oka patrzę na zegar – dwie minuty spóźnienia. Drugie ostrzeżenie i kara pieniężna, pięć dolarów za każdą minutę i każde dziecko, ale nie dbam o to. Zaraz po wejściu do środka widzę całą trójkę przy recepcji w towarzystwie dyrektorki.

Ogarnia mnie ulga, choć nawet nie wiem dlaczego. Nie rozumiem, czemu ten widok tak mnie uspokaja. Czyżbym podświadomie sądziła, że Rosjanie mogą skrzywdzić moje dzieci? Bo chyba nie przypuszczałam, że Matt je porwie... Sama już nie wiem. W tej chwili nie potrafię uporządkować skołowanych myśli i nic mnie to nie obchodzi.

Obejmuję całą trójkę i przyciągam do siebie, nie przejmując się nawet, że dyrektorka ma mnie pewnie za wariatkę – ten rodzinny uścisk w holu właśnie kosztował mnie kolejną minutę, kolejne piętnaście dolarów. Ale mnie obchodzi w tej chwili wyłącznie to, że dzieci są tutaj. Ze mną.

I nigdy, przenigdy nie dam ich sobie odebrać.

Ze spisaniem testamentu czekaliśmy o wiele dłużej, niż powinniśmy. Właściwie należało to zrobić jeszcze przed narodzinami Luke’a. Ale dopiero po przyjściu na świat Elli wybraliśmy się do kancelarii prawniczej

w wieżowcu przy K Street.

Sam testament był prosty, zajęło to tylko chwilę. Na wykonawców ostatniej woli, w przypadku gdyby cokolwiek spotkało nas oboje, wybraliśmy moich rodziców. Mieli też zostać opiekunami dzieci. Nie było to idealne rozwiązanie, ale żadne z nas nie ma rodzeństwa. Nie mieliśmy także przyjaciół, którym byśmy dostatecznie ufali, ani innych krewnych.

Poruszyłam ten temat w drodze powrotnej do domu.

– Nie wiem, jak oni sobie poradzą z napadami złości Luke’a – powiedziałam z uśmiechem, odwracając się i patrząc na synka, który spał mocno na tylnym siedzeniu. – Lepiej dopilnujmy, żeby przynajmniej jedno z nas nie umarło.

Matt wpatrywał się uparcie w drogę, nawet na mnie nie spojrział. Kiedy tak na niego patrzyłam, uśmiech zszedł mi z ust.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

Jego szczęka się zacisnęła, a dłonie mocniej chwyciły za kierownicę.

– Matt?

Rzucił mi przelotne spojrzenie.

– Tak, tak. Wszystko w porządku.

– Co cię trapi? – naciskałam. Dziwnie się zachowywał. Czyżby chodziło o testament? O to, że moi rodzice mają zostać opiekunami dzieci?

Zawahał się.

– Po prostu zastanawiałem się, co będzie, jeśli... no wiesz, jeśli coś mi się stanie.

– Co takiego?

– W sensie, że tylko mnie. Co będzie, jeśli mnie zabraknie?

Roześmiałam się lekko, nerwowo.

Popatrzył na mnie, a w jego oczach widać było napięcie.

– Mówię poważnie.

Odwróciłam się, wyjrzałam przez szybę na mijające nas z lewej strony auta. Mówiąc szczerze, nawet nie przyszło mi to do głowy. Że dzieciom mogłoby się coś stać – owszem. Myślałam o tym od samego początku, od kiedy się urodziły, a ja nachylałam się nad łóżeczkiem, żeby sprawdzić, czy oddychają. Albo kiedy przeszły na pokarmy stałe i krztusiły się jedzeniem. Ta ciągła obawa, nawet jeśli nieracjonalna, że je upuszczę. Ich życie wydawało mi się tak ulotne, tak kruche. Ale nigdy przez myśl mi nie przeszło, że mogłabym stracić Matta. On był moją opoką, niezmienną obecnością w moim życiu, kimś, kto zawsze będzie przy mnie.

W tamtym momencie po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad taką kolejną rzeczą. Wyobraziłam sobie telefon, policjanta mówiącego, że mój mąż zginął w wypadku samochodowym. Albo lekarza tłumaczącego, że Matt miał zawał serca i nie udało się go uratować. Wyobraziłam sobie ziejącą pustkę, jaka zapanowałaby w moim życiu, poczucie braku.

– Boże, nie mam pojęcia. Chybabym tego nie przeżyła – odpowiedziałam szczerze.

I sam fakt, że to powiedziałam, że to *pomyślałam*, wstrząsnął mną do głębi, sprawił, że poczułam się, jakbym nie znała już samej siebie. Co się stało z tą dziewczyną, która objechała w pojedynkę cztery kontynenty, która na studiach znalazła sobie dwie prace, żeby stać ją było na mieszkanie bez współlokatorów? Jak to możliwe, że w kilka krótkich lat tak mocno się z kimś związałam, że nie potrafiłam już sobie wyobrazić życia w samotności?

– Musiałabyś – powiedział cicho Matt. – Przez wzgląd na dzieci.

– Tak, wiem. Miałam tylko na myśli, że...

Popatrzyłam na niego. Wzrok miał utkwiony przed siebie, mięśnie szczęki zaciśnięte. Zapomniałam, co chciałam powiedzieć, umilkłam i znowu zaczęłam wyglądać przez szybę.

– Jeśli coś mi się stanie, Viv, musisz jak najlepiej zająć się dziećmi.

Spojrzałam na niego, zobaczyłam zmarszczki na jego czole, troskę widoczną na twarzy. Czyżby nie wierzył, że zdołałabym zaopiekować się dziećmi bez niego? Czy naprawdę miał o mnie tak niskie mniemanie?

– Oczywiście, że bym się nimi zajęła – powiedziałam nieco urażonym tonem.

– Zrób, cokolwiek okaże się konieczne. Będziesz musiała zapomnieć o mnie i po prostu to zrobić.

Nie miałam pojęcia, dlaczego o tym wszystkim mówi, dlaczego w ogóle o tym *myśli*. Nie wiedziałam, jak zareagować. Chciałam jedynie, żeby ta rozmowa już się skończyła.

Matt popatrzył na mnie, odrywając wzrok od jezdni na tak długą chwilę, że aż się zaniepokoiłam.

– Obiecuj mi to, Viv. Obiecuj, że zrobisz dla dzieci wszystko, co konieczne.

Chwyciłam się uchwytu przy drzwiach i ścisnęłam go mocno. Dlaczego miałam cokolwiek obiecywać? Przecież to oczywiste, że bym to zrobiła. W tamtej chwili poczułam się jak mniej niż byle co, jak kompletne zero.

Kiedy się odezwałam, mój głos był prawie niedosłyszalny.

– Obiecuję.

Wracam z całą czwórką do domu, odgrzewam kolację w mikrofalach, sadzam dzieci przy stole. Nieustannie wypytyują o Matta. „Gdzie tata? Kiedy tatuś wróci?”. A ja nie mam pojęcia, jak na to odpowiedzieć, więc mówię szczerze: „Nie wiem. Mam nadzieję, że wkrótce”.

Luke prawie nie dotknął jedzenia. Ella siedzi cicho. Nawet się nie dziwię. Matt jest ich opoką. Spodziewają się, że zawsze przy nich będzie.

Na mojej obecności nie można polegać. A na jego – owszem.

Kąpię wszystkie dzieci i przebieram je w piżamy. Przez cały czas czekam, aż Matt stanie w drzwiach. Aż mój telefon zadzwoni. Ciągłe spoglądam na ekran, bo może dostałam wiadomość i nie usłyszałam sygnału, choć dziesięć razy sprawdzałam, czy dźwięk jest włączony. Odświeżam skrzynkę mejlową, choć Matt chyba od lat nie wysyłał mi żadnych wiadomości.

Przecież musi się ze mną jakoś skontaktować. Nie może zwyczajnie zniknąć.

Wreszcie kładę dzieci do łóżek, a potem schodzę na dół. Myję i wycieram naczynia. Dom wokół mnie milczy, jest to przytłaczająca, samotna cisza. Zbieram zabawki i odkładam je do pojemników. Czuję się jak zawieszona w czasie, jakbym tylko czekała, aż Matt się zjawi, obejmie mnie i przeprosi za spóźnienie. Zdaję sobie sprawę z prawdopodobieństwa, że to nie nastąpi, że może zniknąć, ale nie potrafię tego przyswoić, nie mogę w to uwierzyć.

Przypominam sobie powrót samochodem przed laty. Tamtą rozmowę. „Co, jeśli coś mi się stanie? Co będzie, jeśli mnie zabraknie?”. Czy to była zapowiedź? Czy w ten sposób chciał mnie ostrzec, że któregoś dnia zniknie?

Kręcę głową. To nie ma sensu. Nie oszczędłby w ten sposób. Nie zostawiłby tak dzieci.

Przeczenie mówi mi, że coś mu się stało. Matt jest w niebezpieczeństwie. Ale co ja mam zrobić? Nie mogę iść na policję. Nie mam pojęcia, jak go znaleźć, a nikomu nie mogę powiedzieć całej prawdy. Nawet nie mam całkowitej pewności, czy rzeczywiście coś mu grozi.

Kłębiam się we mnie strach i poczucie beznadziei.

Przypominam sobie panikę, jaka mnie ogarnęła w drodze do żłobka. Obawę o dzieci. Jeśli naprawdę wierzę, że Matt ma kłopoty, że coś mu się

stało, to czy nie powinnam tak samo panicznie bać się o niego? Czy nie powinnam w tej chwili umierać ze strachu?

Może się mylę. Może tak naprawdę podświadomie sędzę, że odszedł. Może nawet się cieszę, że to zrobił.

I nagle coś przychodzi mi do głowy. Myśl tak oczywista, że sama nie wiem, dlaczego pojawiła się dopiero teraz. Ruszam do naszej sypialni. Wchodzę do garderoby i ściągam z półki pudełko z wyjściowymi butami. Siadam na podłodze i biorę je na kolana. Niemal się boję zajrzeć do środka. Boję się tego, co mogę tam znaleźć, choć przecież już to wiem.

Otwieram pudełko i patrzę na buty. Nic w nich nie ma.

Pistolet zniknął.

To nie jest rzeczywiste, nie może być. Dalej wpatruję się w puste miejsce, jakby broń mogła nagle zmaterializować się z powrotem. On *odszedł*. Słowa rozbrzmiewają w mojej głowie. Podnoszę palce do skroni, jakby mogły uciszyć tę myśl. Niemożliwe. Nie zrobiłby tego. Musi istnieć inne wytłumaczenie.

Wreszcie sięgam do tylnej kieszeni, wyciągam telefon i wyszukuję jeden z najczęściej wybieranych numerów.

– Mamo? – mówię, kiedy słyszę jej głos.

– Co się stało, kochanie?

Nie mam pojęcia, jakim cudem po jednym słowie potrafi się zorientować, że coś jest nie tak. Przełykam ślinę.

– Czy mogłabyś przyjechać tu z tatą na jakiś czas? Przydałaby mi się pomoc przy dzieciach.

– Oczywiście. Wszystko w porządku?

Łzy napływają mi do oczu. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie żadnego słowa.

– Kochanie? Gdzie Matt?

Bardzo się staram nad sobą zapanować i jednocześnie usiłuję zmusić gardło do posłuszeństwa.

– Nie ma go.

– Na jak długo?

Z moich ust wydobywa się zduszony płacz.

– Nie wiem.

– Och, kochanie... – mówi z bólem w głosie mama. A ja nie mogę już dłużej wytrzymać. Płaczę cicho w ciemnym, milczącym domu, aż oślepiają mnie łzy.

## Rozdział 15

Noc mija, a ja nadal nie mam żadnych wieści od Matta. Zanim nadchodzi ranek, przestaję nawet co sekundę sprawdzać, czy czasem się nie odezwał. Nadal nie wiem, czy odszedł z własnej woli, czy coś go spotkało. I nie wiem, dlaczego nie czuję się bardziej zrozpaczona, dlaczego mam wrażenie, jakby to się nie działo naprawdę.

Wszystkie dzieci siedzą przy stole kuchennym, starsze mają przed sobą miski z płatkami śniadaniowymi, a młodsze – porzrzucone cheeriosy i rozgniecione jagody. Ja stoję przy blacie roboczym i szykuję Luke'owi drugie śniadanie – kolejna rzecz, którą zazwyczaj zajmuje się Matt. Jednocześnie popijam drugą filiżankę kawy; mam za sobą następną nieprzespaną noc. Rozlega się pukanie do drzwi, kilka szybkich uderzeń. Ella wciąga powietrze.

– Tatuś? – piszczy.

– Tata by nie pukał – mówi Luke i z buzi Elli znika uśmiech.

Otwieram drzwi i do środka wchodzi mama w chmurze perfum, niosąc w rękach torby pełne zakupów, choć nie wiem, co miałyby tu przywozić. Pewnie prezenty dla dzieci. Tuż za nią podąża tata, z wahaniem, z większą nieśmiałością niż zwykle.

Nie mówiłam dzieciom, że mają przyjechać. Nie byłam pewna, kiedy tu dotrą. Ale są i maluchy szaleją z radości, zwłaszcza Ella.

– Dziadek i babcia?! – piszczy na ich widok.

Mama idzie prosto do kuchni, odstawia torby na podłogę przy stole i obejmuje Elle, a potem Luke'a, po czym mocno całuje bliźniaków. Widzę na ich policzkach ślady po jej szmince.

– Mamusiu, skąd oni się tu wzięli? – pyta Ella, odwracając się w moją stronę.

– Pomogą nam, dopóki tatuś nie wróci – mówię. Smarując chleb dżemem, spoglądam przelotnie w oczy mamy i szybko odwracam wzrok. Tata stoi niepewnie obok ekspresu do kawy, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– A jak długo zostaną? – naciska Ella. – Kiedy tatuś wróci?

W kuchni nagle zapada cisza. Moi rodzice nieruchomieją. Czuję na sobie

ich spojrzenia. Wszyscy patrzą na mnie, czekając na odpowiedź. A ja wpatruję się tylko w kanapkę przed sobą, bo zupełnie zapomniałam, czy Luke woli, żeby kroić mu drugie śniadanie w kwadraty, czy w trójkąty.

Z pomocą przychodzi mi mama.

– Prezenty! Przywiozłam dla was prezenty.

Sięga do reklamówek i dzieci zaczynają się przepychać, by zobaczyć, co kryje się w środku. Wolno wypuszczam powietrze, a kiedy podnoszę głowę, widzę, że tata nadal mi się przygląda. Uśmiecha się do mnie półgębkiem, skrepowany, i odwraca wzrok.

Kiedy dzieci nacieszyły się już prezentami – pluszowymi zwierzakami, flamastrami, kolorowankami, wielkimi tubkami farb do malowania palcami – kończą śniadanie, a ja szykuję plecak Elli i pomagam jej znaleźć coś na prezentację. Dzisiaj dzieci mówią o literce R, więc wybieramy dla niej różdżkę, tę z diamentkami. Ściskam i całuję Luke'a oraz bliźniaki, po czym nalewam sobie do kubka podróżnego kolejną kawę.

Przypominam rodzicom, o której przyjeżdża autobus Luke'a i na którym rogu się zatrzymuje.

– Na pewno nie przeszkadza wam zajmowanie się bliźniakami? – pytam. Proponowali, że zaopiekują się też Ellą, ale łatwiej poradzić sobie przez cały dzień z dwójką niż z trójką; powiedziałam, żeby się o to nie martwili, Ella może iść do szkoły, jak zwykle.

– Oczywiście, że nie – odpowiada mama.

Waham się, stojąc z kluczykami do samochodu.

– Dziękuję – mówię. – Za to, że przyjechaliście.

Czuję, że zaraz się rozplączę, i spuszczam wzrok w obawie, że jeśli dalej będę patrzeć na mamę, zaleję się łzami. Moje następne słowa to zaledwie szept.

– Sama bym sobie nie poradziła.

– Bzdura. – Mama wyciąga rękę i ściska moją dłoń. – Oczywiście, że byś sobie poradziła.

Ella nie miała nawet roczku, kiedy po raz trzeci zaszłam w ciążę. To był właściwie przypadek. Nie rozmawialiśmy, kiedy – ani nawet czy – chcielibyśmy mieć trzecie dziecko, i z całą pewnością się o nie nie staraliśmy. Ale ubrania ciążowe, podobnie jak ubranka dla noworodków, czekały spakowane w plastikowej torbie. Niczego nie wyrzuciłam, a Matt tego nie proponował. Po prostu przełożyłam wszystko do schowka



w piwnicy, tam dokąd powędrowały dziecięca wanienka, bujak i cała reszta. Więc oboje chyba zakładaliśmy, że w końcu zdecydujemy się na kolejne dziecko. Po prostu nie tak szybko. Zdecydowanie nie tak szybko.

Tamtego dnia wyszłam wcześniej z pracy i w drodze do domu kupiłam koszulkę dla Elli. Niełatwo było znaleźć tak mały rozmiar, ale się udało. Mała, różowa koszulinka z fioletowym napisem. WIELKA SIOSTRA. Luke'a ubrałam w koszulkę z napisem WIELKI BRAT, tę co ostatnio, jeszcze pasowała. Gdy Matt zadzwonił, że jest w drodze do domu, serce mi przyspieszyło. Wiedziałam, że się ucieszy. Pewnie będzie trochę przestraszony, zaskoczony tak samo jak ja, ale na pewno się ucieszy.

Kiedy usłyszałam klucz w zamku, wzięłam dzieci i ustawiłam je przodem do drzwi – Elle trzymałam w ramionach, Luke stał obok mnie. Matt wszedł do domu, przywitał się z nimi radośnie, jak zawsze, nachylił się, żeby mnie pocałować. Wreszcie zauważył ich koszulki, najpierw Luke'a, potem Elli. Jego twarz, całe jego ciało zastygło. Czekałam na uśmiech, na radość wypisaną na twarzy jak przy pierwszej dwójce. Ale się nie doczekałam.

– Jesteś w ciąży? – spytał tylko. Brzmiało to niemal jak oskarżenie.

Ty jesteś w ciąży. Te słowa mnie zraniły. Przy pierwszych dwóch ciążach Matt powtarzał „*Jesteśmy w ciąży*” tak często, że aż mnie to irytowało. Kilka razy zachnęłam się nawet, że to *mnie* doskwierają poranne mdłości, zgaga i ból pleców. Ale teraz niczego nie pragnęłam bardziej, niż żeby znowu to powiedział. Żeby był w to tak samo zaangażowany jak ja.

– Tak – odparłam, próbując nie zwracać na to uwagi. Jest w szoku. Przejął się. Daj mu chwilę, niech się z tym oswoi, na pewno zacznie się cieszyć.

– Jesteś w ciąży – powtórzył, nadal bez uśmiechu. A potem, bez żadnych emocji, dodał: – Wow.

Tamtej nocy zaczęłam krwawić. Pamiętam, jak się przeraziłam, gdy zobaczyłam na bieliźnie krew. Z początku brązową, a potem czerwoną, kiedy zaczęły się skurcze. Zadzwoniłam do lekarza, bo w końcu tak się robi w takich przypadkach. Usłyszałam smutny głos, który odparł: „Nic się na to nie poradzi”. A potem statystyki. Jedno na czworo. Jakby to miało sprawić, że poczuje się lepiej. Pamiętam, jak zwinęłam się w kulkę na zimnej podłodze w łazience. Nie wzięłam nic przeciwbólowego, bo chciałam to czuć. Przynajmniej tyle byłam jej winna.

*Jej.* To była dziewczynka. Czuję to. Widziałam w wyobraźni jej twarz, jej życie, które nigdy się nie rozpocznie.

Nie mogłam się zmusić, żeby obudzić Matta i mu o tym powiedzieć. Nie po tym, jak zareagował na wieści. Wyobrażałam sobie jego twarz, jego słowa – nie będzie tym tak załamany jak ja. Byłam tego pewna. Musiałam poradzić sobie sama. Ze stratą i z opłakiwaniem swojego dziecka. To było najboleśniej, rozdzierające doświadczenie mojego życia, a ja chciałam przeżyć je w samotności.

– Przepraszam – szepnęłam do niej, kiedy skurcze się nasiliły i ból stał się niemal nie do zniesienia. Łzy spływały mi po twarzy. Nawet nie wiedziałam, za co przepraszam. Chyba za reakcję Matta. Czy moja córeczka w swoim króciutkim życiu nie powinna zaznać wyłącznie miłości? Radości? Szczęścia? – Tak cię przepraszam.

A potem ból jeszcze się pogorszył, choć myślałam, że to niemożliwe. Zgięłam się wpół, nie mogłam się ruszyć, pociłam się, zaciskałam zęby, aby powstrzymać się od krzyku. Sądziłam, że umrę, było aż tak źle. Wszędzie krew, tyle krwi. Nikt mi nie mówił, że to będzie jak poród, że będzie aż tak strasznie. W końcu nie mogłam już nad sobą zapanować. Akurat kiedy miałam zacząć krzyczeć, Matt znalazł się przy mnie na podłodze, objął mnie ramionami, niemal jakby mógł wyczuć mój ból.

– Już w porządku, wszystko dobrze – szeptał, ale jego słowa były niewłaściwe, tak strasznie niewłaściwe, bo nic nie było w porządku, nic nie było dobrze. Kołysał się razem ze mną, w przód i w tył. I wtedy wszystkie emocje wylały się ze mnie strumieniem i zaniósłam się spazmatycznym, niekontrolowanym płaczem, bo nie chciałam, żeby Matt tu był, bo straciłam dziecko, bo życie okazało się nie fair.

– Dlaczego mnie nie obudziłaś? – spytał. Głowę miałam przytuloną do jego piersi. Słyszałam bicie jego serca, wibracje jego głosu, kiedy mówił, głośniejsze niemal od słów.

Odsunęłam się, spojrzałam na niego i wyszeptałam prawdę:

– Bo jej nie chciałeś.

Odsunął się, otwierając szerzej oczy. Widziałam w nich ból i nagle zalała mnie fala wyrzutów sumienia. Przecież to było też jego dziecko. Oczywiście, że go chciał. Nie mogłam powiedzieć niczego gorszego?

– Dlaczego tak mówisz? – spytał ledwie słyszalnym szeptem.

Spuściłam wzrok na podłogę, na fugi między płytkami, i spowiła nas ciężka cisza.

– Przestraszyłem się – przyznał. – Źle zareagowałem.

Podniosłam głowę, ale nie mogłam znieść bólu w jego oczach, więc znów

się o niego oparłam. Koszulę miał zimną od moich łez. Wyczułam jego wahanie, a potem otoczyły mnie ramiona męża i po raz pierwszy tamtej nocy poczułam, że naprawdę wszystko się ułoży.

– Przepraszam – powiedział cicho Matt i wiedziałam, że się myliłam. Nie powinnam była zakładać tego, co najgorsze. Nie powinnam była przechodzić przez to sama.

– Kocham cię, Viv.

– Ja ciebie też.

Mama dzwoni późnym popołudniem, by dać znać, że odebrała Elę z przedszkola, a tata przyprowadził Luke'a z przystanku. Luke w jakiś sposób zgubił plecak, ale wszyscy są w domu, zdrowi i cali. Wypuszczam z ulgą powietrze.

– Daj już sobie spokój z plecakiem – mówię wreszcie zniecierpliwiona, kiedy mama po raz trzeci wspomina o zgubie. – Kupimy mu inny.

Obchodzi mnie wyłącznie to, że dzieci są bezpieczne. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że czekam na jej telefon, na potwierdzenie, że wszystko jest w porządku.

Większość dnia spędzam na gorączkowej pracy. Wpisuję imiona w pasek wyszukiwania, przeczesuję dane, rozpaczliwie usiłuję znaleźć przywódcę siatki, zrobić jakiś postęp, przejąć kontrolę. To na nic. Kolejny dzień bezowocnych poszukiwań.

Kolejny dzień do wyrzucenia.

Wychodzę z pracy dokładnie po ośmiu godzinach. Kiedy docieram na naszą ulicę, zaczyna zapadać zmrok. Wjeżdżam na podjazd. Przez chwilę siedzę w aucie, nie wyłączając silnika, i patrzę na dom. W środku palą się światła, przez zasłony widać sylwetki moich rodziców i dzieci.

I nagle coś przyciąga mój wzrok. Jakaś postać na ganku. Siedzi na jednym z krzeseł, skryta w cieniu.

Jurij.

Nawet nie widząc jego twarzy, wiem, że to on. Niemal jakby podpowiadał mi to szósty zmysł.

Serce bije mi gwałtownie. Co on tu robi? *Tutaj*, w moim domu, o kilka kroków od moich dzieci. Czego chce? Bez zastanowienia wyciągam kluczyk ze stacyjki i sięgam po torebkę, nie odrywając wzroku od Jurija. Wsiadam z samochodu i podchodzę do ganku.

Siedzi nieruchomo, obserwuje mnie. W rzeczywistości wydaje się

większy niż na zdjęciu. I jeszcze mniej sympatyczny. Ma na sobie dżinsy i czarną koszulę, której dwa górne guziki są rozpięte, a na szyi złoty łańcuszek z jakąś zawieszka. Czarne buty, wojskowe. Staję naprzeciw niego, próbując siłą woli sprawić, by drzwi domu pozostały zamknięte, by żadne z dzieci nie wyszło na zewnątrz.

– Co tu robisz? – pytam.

– Usiądź, Vivian – mówi z akcentem, ale słabszym, niż się spodziewałam. Pokazuje krzesło obok siebie. *Moje* krzesło.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać. – Przerywa, patrząc na mnie i czekając, aż usiądę, ale tego nie robię. Wzrusza lekko ramionami i sam wstaje. Sięga do tylnej kieszeni spodni i wyciąga paczkę papierosów. Przy biodrze ma coś schowane, widzę przez koszulę zarys.

Może kabura. Serce nadal bije mi mocno.

Jurij uderza dnem paczki o dłoń raz, dwa razy. Taksuje mnie wzrokiem.

– Będę mówił szybko, bo wiem, że dzieci na ciebie czekają.

Na wzmiankę o dzieciach przeszywa mnie dreszcz i mój wzrok znowu mknie do jego biodra.

Jurij otwiera paczkę, wyciąga papierosa i ją zamyka. W jego ruchach nie ma najmniejszego pośpiechu, ani odrobiny.

– Musisz się zająć tym dyskiem.

Przez głowę przemyka mi myśl, że nie powinien tu palić. Że nie chcę, by mój ganek śmierdział papierosami, by moje dzieci to wachały. No tak, bo *tym* właśnie powinnam się w tej chwili przejmować.

Jurij wsuwa papierosa do ust i sięga do kieszonki koszuli po zapalniczkę. Koszula podnosi mu się akurat na tyle, bym zobaczyła czarny plastik przy jego biodrze. To zdecydowanie kabura.

– Jeśli to zrobisz, oboje dostaniemy to, czego chcemy.

Końcówka papierosa kołysze się do rytmu jego słów.

– Oboje?

Rosjanin próbuje zapalić zapalniczkę raz, drugi, i wreszcie udaje mu się wykrzesać płomień. Przysuwa go do papierosa i końcówka zaczyna się żarzyć na pomarańczowo. Jurij spogląda na mnie i wzrusza ramionami.

– Jasne. Ja będę miał podłączony program, a ty możesz wrócić do swojego życia. Ty i dzieci wreszcie będziecie mieli spokój.

*Dzieci*. Nie „mąż i dzieci”.

– A co z Mattem?

Wyrzucam z siebie te słowa, zanim mogę je ocenzurować, przemyśleć.

– Mattem? – Na jego twarzy na chwilę pojawia się niezrozumienie. Potem Jurij śmieje się i wyciąga papierosa z ust. – Ach, chodzi o Aleksandra. – Potrząsa z uśmiechem głową. – Naprawdę jesteś naiwna, co? Ale w końcu na to właśnie liczył.

Ogarnia mnie straszliwe przeczucie. Jurij zaciąga się papierosem, wydmuchuje kłąb dymu.

– Przecież to on cię w to wszystko wciągnął. Zdradził cię.

– Nie zdradziłby mnie.

– Już to zrobił. – Kolejny śmiech. – Przekazywał nam wszystko, co mu mówiłaś. Przez lata.

Kręcę głową. *To niemożliwe.*

– Choćby o twoich kolegach z pracy. Jak oni się nazywali? Marta? Trey?

Czuję, jak powietrze uchodzi mi z płuc. Matt twierdził, że tego nie zrobił. Przysięgał. A ja mogłabym przysiąc, że mówił prawdę.

Uśmiech znika z twarzy Jurija, rozplywa się, pozostaje wyłącznie chłód. Rosjanin mruży oczy i wyciąga papierosa z ust.

– Do rzeczy. Pogadajmy jak spec od wywiadu ze specem od wywiadu. Chcesz, żeby to się skończyło?

Czeka na odpowiedź.

– Chcę – mówię.

– Wiesz, że nie masz wyboru.

– Mam.

Jego wargi wyginają się w półuśmiech.

– Więzienie? Naprawdę byś się na to zdecydowała?

Serce bije mi szybko.

– Jeśli odmówisz współpracy, co mnie powstrzyma przed przekazaniem tamtych zrzutów ekranu do FBI?

– Matt – odpowiadam szeptem, ale sama już wiem, że to żaden powód.

Jurij śmieje się i znowu zaciąga głęboko.

– Twojego męża od dawna już nie ma, Vivian – mówi i słowa unoszą się w kłębie dymu, takiego dymu, który wsącza się w każdą szczelinę.

– Nie wierzę – szepczę, choć nie mam już pojęcia, w co wierzyć.

Jurij wpatruje się we mnie z miną, której nie potrafię odczytać. Potem strząsa popiół z papierosa.

– Ale chciał, żebyśmy się wami zajęli.

Nie odrywam od niego wzroku, wstrzymuję oddech, czekam na ciąg

dalszy.

– Zapłacimy. Będziesz miała dość, żeby zapewnić dzieciom byt przez długi czas.

Gapię się na niego, patrzę, jak znowu się zaciąga i wolno wydmuchuje dym nosem, rzucając okiem na ulicę. Potem rzuca papierosa na ganek, rozgniatą go obcasem. Kieruje na mnie znaczące spojrzenie.

– Twoim dzieciom nie został już nikt poza tobą. Nigdy o tym nie zapominaj.

Po poronieniu bardzo chciałam mieć kolejne dziecko. Tęskniłam za tym, które straciłam. Za dziewczynką, której twarz widziałam ciągle w snach. Za każdym razem, kiedy mijała mnie kobieta w ciąży, porównywałam jej brzuch z tym, jaki sama powinnam mieć, i bolała mnie głowa. Chciałam nosić spodnie z elastyczną gumą i mieć spuchnięte kostki. Chciałam urządzać w gościnnej sypialni pokoik i składać niemożliwie małe ubranka dla noworodków.

A przede wszystkim pragnęłam dziecka. Wiedziałam, że nigdy nie będę miała *jej*, tej, którą straciłam, ale pragnęłam następnej ciąży. Małości, które mogłabym tulić, karmić, kochać, chronić. Chciałam dostać kolejną szansę.

Stać nas było na żłobek dla dwojga dzieci, ale nie trojga. Matt nie omieszkał o tym napomknąć, a ja nie mogłam zapomnieć jego reakcji na ostatnią ciążę. Więc choć z całego serca pragnęłam następnego dziecka, zaczekaliśmy, aż Luke pójdzie do przedszkola, i dopiero wtedy zaczęliśmy się znowu starać.

Kiedy na teście znowu pokazał się niebieski paseczek, byłam przerażona. Bałam się, że to dziecko też stracę. Że Matt zareaguje tak samo jak przedtem. Więc zatrzymałam tę informację dla siebie, najpierw przez jeden dzień, potem dwa. Czekałam, aż pojawi się krwawienie. Ale gdy się nie pojawiło, uznałam, że muszę mu powiedzieć.

Nie zaplanowałam żadnej ceremonii. Koszulka z napisem WIELKA SIOSTRA wiązała się z bolesnymi wspomnieniami. Kiedy dzieci zasnęły i zostaliśmy sami, przytuleni na kanapie przed telewizorem, zwyczajnie uniosłam test.

Matt popatrzył na niego, a potem na mnie.

– Jesteśmy w ciąży – szepnął i na jego twarzy z wolna ukazał się szeroki uśmiech. A potem objął mnie tak mocno, że prawie zaczęłam się martwić

o maluszka w moim brzuchu.

Kilka tygodni później poszliśmy na pierwszą wizytę do ginekologa. Odliczałam dni, rozpaczliwie pragnąc potwierdzenia, że wszystko jest w porządku. Podczas każdej wizyty w toalecie obawiałam się widoku krwi. Siedząc na fotelu obok urządzenia do USG, poczułam, że znów narasta we mnie obawa. Bałam się, że żadnego bicia serca nie usłyszymy. Że coś będzie nie tak.

Doktor Brown rozpoczęła badanie. Matt wziął mnie za rękę. Ścisnęłam jego dłoń z całej siły, patrząc na ekran coraz bardziej spanikowana. Czekałam, aż obraz się wyostrzy, podczas gdy lekarka poprawiała pozycję skanera, szukała właściwego miejsca, odpowiedniego widoku. Desperacko pragnęłam zobaczyć jakiś ruch, drżenie bijącego serca. I nagle je ujrzałam, maleńką białą plamkę, żyjący organizm.

A obok niego drugi.

Wlepiłam spojrzenie w ekran. Doskonale wiedziałam, na co patrzę. Potem odwróciłam głowę i popatrzyłam na Matta. On też to widział. Pobladł i uśmiechnął się do mnie, choć z napięciem.

Może się bał, denerwował, nie wiem, w każdym razie ja byłam wniebowzięta. Bliźniaki. Nie jeden bobas do tulenia, ale dwa. Niemal jakbym dostała kolejną szansę na dziecko, które straciłam.

W drodze do domu milczeliśmy, oboje pogrążeni we własnych myślach, aż Matt powiedział:

– Jak sobie poradzimy?

Nie byłam pewna, czy miał na myśli wychowywanie czwórki dzieci, dogłądanie dwóch płaczących niemowlaków, rodzinne finanse, a może jeszcze coś innego. Odpowiedziałam zgodnie z tym, o co moim zdaniem mu chodziło. I o czym sama myślałam.

– Zrezygnuję z pracy.

Matt ścisnął kierownicę tak mocno, że widziałam, jak skóra napina mu się na knykciach.

– Przynajmniej na jakiś czas...

– Ale czy nie będzie ci tego brakować?

Wyjrzałam przez szybę.

– Może. – Powstrzymałam się przed dalszą odpowiedzią. Wiedziałam, że będzie mi brakować pracy. Będzie mi brakować możliwości odcisnięcia na czymś swojego piętna. Chciałam się przekonać, czy ta nowa metodologia, którą opracowałam, doprowadzi nas do jakiegoś członka rosyjskiej siatki

agentów. – Ale bardziej brakowałoby mi dzieci.

– Przecież kiedyś...

– Kiedyś będę mogła wrócić do pracy.

W każdym razie taką miałam nadzieję. Kiedy wszystkie dzieci pójdą do szkoły, kiedy nie będę miała wrażeń, że czas przecieka mi przez palce. Kiedy będę mogła naprawdę skupić się na pracy, poświęcić jej należyłą uwagę i nie czuć się przy tym, jakbym wszystko w życiu robiła na pół gwizdka.

– Jesteś pewna, że będziesz mogła wrócić? – spytał Matt, patrząc na mnie.

Nie odpowiedziałam. Mówiąc szczerze, nie miałam żadnej gwarancji. Niedawno wprowadzono wreszcie z dawna zapowiadane cięcia w budżecie i od tej pory nie zatrudniano nikogo nowego. Jeśli odejdę, to może na dobre.

– Będziemy mieli problem z ubezpieczeniem zdrowotnym – powiedział Matt. – Z twoim nam się poszczęściło. – Pokręcił głową. – Moje ubezpieczenie prawie nic nie obejmuje, a dodatkowe usługi kosztują krocie.

Odwróciłam od niego wzrok, znowu wyjrzałam przez szybę. To była prawda; praca męża wiązała się z kilkoma znaczącymi zaletami, ale dobra polisa ubezpieczeniowa nigdy do nich nie należała.

– Jesteśmy zdrowi – powiedziałam. Nie chciałam w tej chwili myśleć o żadnych przeszkodach.

– Ale czasem z bliźniętami bywają komplikacje...

Na pasie obok nas przemknął samochód, o wiele za szybko. Nie odpowiedziałam.

– I trudno będzie się przestawić na życie z jednej pensji.

Poczułam coś jakby mdłości w żołądku i ścisk w klatce piersiowej, na tyle mocny, bym zaczęła się bać o dzieci. Nie wolno mi się tak stresować. Musiałam się uspokoić. Wzięłam głęboki oddech, potem drugi.

– Wiesz, maluchy w końcu dorosną – powiedział Matt.

– Wiem – odparłam szeptem. Wszystko na zewnątrz się rozmazało. Co, jeśli to wcale nie byłaby przerwa od wspinaczki po stopniach kariery? Co, jeśli okazałoby się, że zrezygnowałam z pracy na zawsze? Mój zawód stanowił część mojej tożsamości. Czy byłam gotowa z niego zrezygnować?

Pragnęłam jednego i drugiego. Czasu dla dzieci i satysfakcjonującej kariery. Ale to wydawało się niemożliwe.



Po kilku chwilach Matt wziął mnie za rękę.

– Po prostu nie wiem, jak mamy sobie z tym poradzić – powiedział cicho. – Chcę tylko, żeby wszystko było w porządku.

Patrzę, jak Jurij odchodzi do samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy, czarnego czterodrzwiowego sedana z waszyngtońską rejestracją – czerwono-biało-niebieską. Czytam numer i powtarzam go sobie kilka razy. Patrzę, jak Jurij odjeżdża od krawężnika, aż wreszcie tylne światła znikają za zakretem. Otwieram torebkę, wyciągam długopis, skrawek papieru i notuję numer rejestracyjny.

A potem opuszczają mnie siły. Opadam na ziemię i przyciągam do siebie kolana. Cała się trzęsę. Czy to się dzieje naprawdę?

Wplątałam się w to wszystko tylko po to, żeby chronić Matta, umożliwić mu pozostanie z dziećmi, dopilnować, żebyśmy żyli tak normalnie, jak to możliwe. A teraz go nie ma.

Okłamał mnie co do Marty i Treya. Powiedział o nich Jurijowi; no jasne. Jak mogłam być tak naiwna? I dlaczego zwyczajnie nie powiedział mi prawdy? Nie mogę zapomnieć jego twarzy, jej wyrazu, kiedy przysięgał mi, że nic nikomu nie mówił. Ani cienia kłamstwa. Chyba naprawdę nie umiem rozróżnić, kiedy coś jest prawdą, a kiedy nie.

I dzieci. Boże, dzieci. „Twoim dzieciom nie został już nikt poza tobą”. Jurij ma rację. Co się z nimi stanie, jeśli pójdę do więzienia?

Słyszę za sobą skrzypnięcie otwieranych drzwi, trzeba by je wreszcie nasmarować.

– Vivian? – Głos mamy. A potem zbliżające się kroki, zapach jej perfum, kiedy klęka obok mnie. – Oj, kochanie – mówi cicho.

Obejmuje mnie tak, jak to robiła, kiedy byłam małą. Wtulam głowę w jej miękkie ciało, jakbym znowu była dzieckiem.

– Vivian, kochanie, co się stało? Chodzi o Matta? Miałaś jakieś wieści?

Czuję się, jakbym tonęła. Kręcę głową, nadal schowana w jej objęciach. Mama głaszcze mnie po włosach. Czuję emanującą z niej miłość. Tę wszechogarniającą świadomość, że chciałaby to naprawić, odsunąć ode mnie ten ból. Że zrobiłaby dla mnie wszystko.

Odsuwam się wolno i patrzę na nią. W padającym z domu świetle jej napięta, zatroskana twarz wygląda starzej. Ile jeszcze lat mama i tata zachowają zdrowie? Nie dość, by zająć się czwórka moich dzieci. By je wychować.

A nawet nie chcę sobie wyobrazić, jak by się załamali, gdybym trafiła do więzienia.

– Jeszcze się odezwie, kochanie. Na pewno. – Ale na jej twarzy wypisana jest niepewność. Znam ten wyraz. To zwątpienie. Odkrycie, że może Matt nie jest tym, za kogo go uważała, bo tamten człowiek nie zniknąłby tak bez słowa. A ja nie chcę na to patrzeć. Nie chcę wątpliwości ani kłamstw, które mają sprawić, że poczuję się lepiej.

Mama zmienia pozycję i przysiada obok mnie. Siedzimy w milczeniu. Mama trzyma rękę na moich plecach i zatacza nią łagodne kręgi. Tak samo głaszczę własne dzieci. Słyszę cykady. Gdzieś otwierają się i zamykają drzwi samochodu.

– Więc co się stało? – pyta cicho, wreszcie ujmując w słowa pytanie, które musiało ją nurtować, od kiedy zadzwoniłam. – Dlaczego Matt odszedł? – Patrzę przed siebie na dom Kellerów, na niebieskie okiennice, zaciągnięte żaluzje, światło przeświecające przez kilka okien. – Jeśli nie chcesz o tym rozmawiać, to w porządku – dodaje.

Chcę. Mam straszną ochotę wyrzucić to wszystko z siebie, wypaplać, zdradzić wszystkie tajemnice. Ale to nie byłoby w porządku, nie mogę obciążać mamy takimi rzeczami. Nie, nie mogę tego zrobić. To mój ciężar i ja sama go poniosę.

Ale coś muszę jej przecież powiedzieć.

– Chodzi o pewne sprawy z jego przeszłości – mówię ostrożnie. – Sprawy, o których nigdy mi nie powiedział.

Kątem oka widzę, że mama kiwa głową, jakby właśnie tego się spodziewała, a w każdym razie nie była zaskoczona. Wyobrażam sobie, jak po moim telefonie siedziała z tatą i próbowali znaleźć jakieś wytłumaczenie tego, co się stało. Mam ochotę się roześmiać. Och, mamo, to zupełnie nie to, co myślisz.

– Zanim się poznaliście? – pyta, żeby się upewnić.

Kiwam głową.

Odpowiada dopiero po chwili, jakby musiała zebrać myśli.

– Wszyscy popełniamy błędy – mówi.

– Jego błędem było to, że chciał ukryć przede mną prawdę – odpowiadam cicho. Bo to prawda. Nie chodzi o jeden moment słabości, który doprowadził nas do tego punktu. To było dziesięć lat kłamstw.

Mama znowu kiwa głową. Nadal rozciera mi plecy, zatacza nieskończone kółka. Światło w jednym z okien Kellerów gaśnie.

– Czasem – zaczyna mama urywającym się głosem – wydaje nam się, że ukrywając prawdę, ochronimy tych, których najbardziej kochamy.

Wpatruję się w ciemne okno, mały kwadrat, teraz poczerniały. To właśnie próbowałam zrobić. Próbowałam ochronić swoją rodzinę. Przypominam sobie siebie przed komputerem w pracy, z kursorem wiszącym nad przyciskiem „usuń”.

– Oczywiście nie znam szczegółów – dodaje mama – ale Matt, którego znam, to dobry człowiek.

Kiwam głową i łzy szczypią mnie w oczy, staram się je powstrzymać. Ten Matt, którego ja znam, też jest dobrym człowiekiem. Takim, który nie zniknąłby bez słowa.

Ale co, jeśli ten Matt nigdy nie istniał?

Kiedy dzieci leżą już w łóżkach, a mama i tata idą do przygotowanego dla nich naprędce pokoju, małej klitki z rozkładaną kanapą, siadam sama w salonie, cisza wokół mnie narasta.

Jurij był u mnie w domu. To jeszcze nie koniec. Nie zostawią mnie w spokoju, jak zostawili Martę i Treya.

Zrobiłam coś nielegalnego. A oni mają dowody, przez które mogę trafić do więzienia.

Należę do nich.

Ostrzeżenie Jurija rozbrzmiewa mi w głowie. „Twoim dzieciom nie został już nikt poza tobą”. To prawda. Matta nie ma. Nie mogę liczyć na to, że wróci i uratuje nas niczym księżę na białym koniu. Sama muszę to zrobić.

Muszę walczyć.

Muszę dopilnować, żebym nie trafiła za kratki.

Tak długo, jak Jurij ma dowody na to, co zrobiłam, wydaje się to niemożliwe. Tak długo, jak Jurij ma dowody... Ta myśl uderza we mnie jak obuch. A co, gdyby ich nie miał?

CIA nic o mnie nie wie. Tylko Rosjanie. Tylko Jurij.

Musi mieć kopię tego, co podrzucił mi do skrzynki. Tych wydruków, które dowodzą, że widziałam zdjęcie Matta. Tym mnie szantażuje. A gdyby udało mi się znaleźć i zniszczyć wszystkie egzemplarze? Wtedy nie miałby na mnie żadnego haka. Owszem, nadal mógłby powiedzieć policji, co zrobiłam, ale byłoby to tylko jego słowo przeciw mojemu.

Bingo. To jest rozwiązanie, tak mogę się wywinąć od więzienia

i dopilnować, że nie rozdziela mnie z dziećmi. Muszę zniszczyć dowody.

A to oznacza, że muszę odnaleźć Jurija.

Czuję w sobie buzowanie adrenaliny. Wstaję i wychodzę na korytarz. Otwieram torebkę i znajduję skrawek papieru z numerem rejestracyjnym Jurija.

Potem idę do garderoby w pokoju bliźniaków i ściągam plastikowy pojemnik z najwyższej półki. W środku są ubranka, z których chłopcy już wyrosli. Szperam i wreszcie znajduję telefon na kartę. Wracam do salonu, wyszukuję kontakt do Omara, wydaję baterię ze swojej komórki i dzwonię z jednorazowego numeru.

– Tu Vivian – mówię, kiedy Omar wreszcie odbiera. – Potrzebna mi pomoc.

– Strzelaj.

– Musisz wyszukać mi pewien samochód.

– W porządku. – Po chwili Omar dodaje z wahaniem: – A możesz mi powiedzieć dlaczego?

– Dzisiaj na mojej ulicy stało jakieś auto. – Jak dotąd mówię samą prawdę. – Wyglądało podejrzanie. To pewnie nic takiego, ale pomyślałam, że sprawdzę. – Kłamstwo przychodzi mi łatwiej, niż się spodziewałam.

– Jasne, rozumiem. Jedną chwilę.

Słyszę jakieś poruszenie i wyobrażam sobie, jak Omar otwiera komputer, podłącza się do bazy danych FBI, do programu, który wyszukuje wszystkie dostępne informacje o numerach rejestracyjnych. Dzięki temu powinnam uzyskać nazwisko i adres. Jeśli mi się poszczęści, będzie to fałszywe nazwisko, którym Jurij posługuje się w Stanach. A nawet gdyby się okazało, że adres należy do kogoś innego, przynajmniej będę miała od czego zacząć. Będę mogła coś sprawdzić.

– Jestem gotowy – mówi Omar. Podaję mu numer rejestracyjny i słyszę klawisze jego komputera. Następuje chwila ciszy, a potem znowu stukanie w klawiaturę. Po chwili Omar powtarza numer i pyta, czy na pewno się nie pomyliłam. Spoglądam na świstek papieru i mówię, że jestem pewna.

– Hm – mówi. – To dziwne.

Wstrzymuję oddech, czekam na ciąg dalszy.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Serce bije mi tak mocno, że aż je słyszę.

– Co takiego?

– Nie ma żadnych informacji, że ten numer w ogóle istnieje.

Kiedy następnego ranka wyciągam z kredensu filiżankę do kawy, mój wzrok nagle pada na kubek podróżny. Lśniący metal stojący niewinnie na półce. Zastygam.

Numer rejestracyjny to była moja jedyna wskazówka wiodąca do Jurija. Nie mam pojęcia, jak znaleźć tego człowieka, jak zniszczyć dowody, przez które mogą trafić za kratki.

Powoli sięgam po kubek. Zdejmuję go z półki, stawiam na blacie.

Mogłabym to zrobić. Mogłabym zanieść dysk do pracy i podłączyć go do komputera. Jak ostatnim razem. I wszystko by się skończyło. Tak mówił Matt, tak mówił Jurij.

Przypomina mi się obietnica Jurija. „Zapłacimy. Będziesz miała dość, żeby zapewnić dzieciom byt przez długi czas”. To był jeden z powodów, dla których nie doniosłam na Matta – obawa, że jeśli on zniknie, nie zdołam sobie poradzić z wychowaniem dzieci. Ale teraz go nie ma. A Jurij zaproponował mi rozwiązanie.

Przypominam sobie słowa Matta sprzed wielu lat, wypowiedziane tamtego dnia w samochodzie.

„Jeśli coś mi się stanie, Viv, musisz jak najlepiej zająć się dziećmi”.

„Zrób, cokolwiek okaże się konieczne”.

– Vivian?

Odwracam się. To mama. Nawet nie słyszałam, jak wchodzi do kuchni. Przypatruje mi się z troską na twarzy.

– Wszystko w porządku?

Znowu spoglądam na kubek, widzę w nim swoje odbicie, zniekształcony wizerunek. Przecież to nie ja. Wcale taka nie jestem. Jestem o wiele silniejsza.

Odwracam się z powrotem do mamy.

– Wszystko w porządku.

Siadam przy biurku z kubkiem kawy, na której powierzchni unoszą się drobinki fusów. Wpatruję się w ekran, na którym wyświetla się jakiś raport, pierwszy z brzegu, żeby wyglądało, jakbym pracowała, choć wcale tak nie jest. Rozpaczliwie usiłuję się skupić.

Muszę znaleźć te dowody. Muszę je zniszczyć. Ale nie mam pojęcia jak.

Omar sprawdził inne bazy danych, nadal nic nie znalazł. „Vivian, co się dzieje?” – spytał. „Widocznie musiałam coś źle zapisać” – odparłam. Ale wiedziałam, że to nieprawda, i fakt, że tego numeru rejestracyjnego nigdzie

nie ma, napęła mnie przerażeniem.

Myślę przelotnie, że mogłabym zabrać dzieci i uciec, ale to nie wchodzi w grę. Rosjanie są dobrzy. Znaleźliby nas.

Muszę zostać i walczyć.

Późnym wieczorem, kiedy dzieci i rodzice już śpią, siedzę sama w salonie, oglądając głupi program telewizyjny, by uniknąć przygnębiającej ciszy, która w przeciwnym razie spowiłaby dom. Leci jakiś randkowy show, dwanaście kobiet współzawodniczy o jednego faceta, wszystkie rozkochane w nim do szaleństwa, choć żadna nie miała możliwości naprawdę go poznać.

Mój telefon zaczyna wibrować, tańczy lekko na sofie obok mnie. „Matt” – myślę, bo wyłącznie po to trzymam przy sobie aparat. Ale na ekranie zamiast numeru wyświetla się napis NUMER NIEZNANY. Nie Matt. Telefon nadal uparcie wibruje i brzęczy. Ściszam telewizję, a potem odbieram połączenie, ostrożnie przysuwając komórkę do ucha, jakby była niebezpieczna.

– Halo?

– Vivian – mówi Jurij. Słyszę charakterystyczny głos, rosyjski akcent. Żołądek zawiązuje mi się w węzeł. – Minął kolejny dzień, a ty wciąż nie wykonałaś zadania.

Ton jest przyjazny, jakby chodziło o zwykłą pogawędkę. Wytrąca mnie to z równowagi, bo słowa brzmią groźnie, oskarżycielsko.

– Nie miałam dziś możliwości – kłamię, ponieważ w tej chwili granie na czas wydaje się jedynym rozwiązaniem.

– Ach – mówi Jurij, jakoś zawierając w tej jednej sylabie ciężar niedowierzania. – No cóż. Przełączę cię teraz do kogoś, kto... – przerywa, jakby szukając właściwych słów – ...może zdoła cię przekonać, byś jednak znalazła odpowiednią sposobność.

Na linii rozlega się trzask, potem kolejny. Jakieś szumy. Czekam w napięciu, a potem słyszę ten głos. Matt.

– Viv, to ja.

Moje palce zaciskają się na telefonie.

– Matt? Gdzie jesteś?

Pauza.

– W Moskwie.

*Moskwa.* Niemożliwe. Moskwa oznacza, że odszedł. Zostawił dzieci same,

bez rodzica. Do tej pory nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tak naprawdę w to nie wierzyłam. Kurczowo trzymałam się nadziei, że do nas wróci, że nas nie opuścił.

– Słuchaj, musisz to zrobić.

Jestem jak odrętwiała. Odbiera mi mowę. *Moskwa*. To nie może być prawda.

– Pomyśl o dzieciach.

Pomyśl o dzieciach. Jak on śmie tak mówić?

– A ty pomyślałeś? – pytam twardym głosem. Wyobrażam sobie Luke'a samego przy kuchennym stole tamtego dnia, kiedy Matt zniknął. I młodszą trójkę, czekającą w recepcji żłobka.

Nie ma odpowiedzi. Chyba słyszę jego oddech, a może to Jurij, nie jestem pewna. I w tej ciszy przypominam sobie, jak tańczyliśmy na naszym weselu, wspominam słowa, które Matt szepnął mi wtedy do ucha. Kręcę głową. Sama już nie wiem, w co wierzyć.

– Oni ci zapłacą – mówi. – Wystarczy, żebyś mogła rzucić pracę.

– Co? – pytam szeptem.

– Będiesz mogła spędzać więcej czasu z dziećmi, zawsze tego chciałaś.

To wcale nie jest to, czego chciałam. Ani trochę.

– Chciałam *nas* – szepczę. – Ciebie i mnie. Naszej rodziny.

Kolejna pauza.

– Ja też.

Jego głos jest ciężki. Wyobrażam sobie wyraz jego twarzy, zmarszczki na czole.

Moje oczy wypełniają się łzami, nie widzę już wyraźnie.

– Proszę cię, Vivian – mówi Matt i napięcie, desperacja w jego głosie sprawiają, że ogarnia mnie strach. – Zrób to dla naszych dzieci.

## Rozdział 16

Trzymam telefon przy uchu jeszcze długo po zakończeniu połączenia. Wreszcie odkładam go z powrotem na sofę i wbijam w niego spojrzenie. W głowie dźwięczą mi ostatnie słowa Matta, sposób, w jaki je wypowiedział, strach w jego głosie. Coś jest nie tak.

Powinnam zrobić, co mi każą. Argumentów jest coraz więcej: to będzie ostatnia rzecz, której ode mnie zażądata. Dobrze mi zapłacą. Będę mogła zapewnić dzieciom byt. Spędzać z nimi więcej czasu. Muszę tylko wsunąć ten dysk do portu, już raz to przecież zrobiłam.

Ale nie mogę. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za krzywdę naszych informatorów, za zagrożenie dla mojego kraju. I nie mogę uwierzyć w ich szczerłość, gdy mówią, że nie dadzą mi już kolejnego zadania.

Chcą, żebym sądziła, że nie mam wyboru. Że jestem sama i że nie mam dość siły, by sobie poradzić.

Ale się mylą. Mam wybór.

A kiedy chodzi o moje dzieci, jestem silniejsza, niż im się wydaje.

Byłam dokładnie w dwudziestym miesiącu ciąży, kiedy do mnie zadzwonili. Na komórkę, wracałam akurat z pracy. Miejscowy numer; pewnie od lekarza. Tego ranka miałam kolejny ultrasonograf – skanowanie warunków anatomicznych, na co czekałam od tygodni.

Na siedzeniu obok mnie leżała cała seria rozmazanych czarno-białych zdjęć. Twarze, które wreszcie nabierały rysów, rączki i nóżki, maleńkie paluszki. Technik elektroradiolog uchwycił jedno z dzieci, jak się uśmiecha, a drugie, jak ssie palec. Nie mogłam się doczekać, żeby pokazać to Mattowi.

Plus koperta. Zwykła, biała, ze słowem „płec” nabazgrany na wierzchu. Zapieczętowana, bo nie ufałam sobie, że nie zajrzę. Mieliśmy otworzyć ją razem, kiedy dotrę do domu, Matt, dzieci i ja.

– Halo? – powiedziałam.

– Pani Miller? – Usłyszałam nieznanomy głos. Nie była to recepcjonistka, która dzwoniła z rutynowymi sprawami, jak choćby to badanie, żeby



potwierdzić, że wszystko jest w porządku. Moje dłonie zacisnęły się na kierownicy. Ogarnęło mnie przeczucie, że powinnam zjechać na pobocze. Że o cokolwiek chodzi, nie będę chciała tego słuchać. A już prawie zaczęłam wierzyć, że wszystko się ułoży.

– Tak? – zdołałam powiedzieć.

– Mówi doktor Johnson z kardiologii dziecięcej.

Kardiologia dziecięca. Poczułam, jakby ktoś przywiązał mi do piersi coś niewiarygodnie ciężkiego. Po ultrasonografie zrobili bliźniętom UKG. „Proszę się nie przejmować” – szepnęła wtedy pielęgniarka, prowadząc mnie korytarzem na drugie badanie. „Czasem z bliźniętami lekarze wołają dmuchać na zimne”. A ja jej uwierzyłam. Uwierzyłam, że nie ma się czym martwić. Uwierzyłam, że obsługa ultrasonografu po prostu trzyma się na dystans, że nie wolno im rozmawiać z pacjentami o wynikach, że wszystko jest w porządku.

– Jeden z płodów nie wykazuje żadnych anomalii. – Głos doktor Johnson brzmiał poważnie.

„Jeden z płodów”. Poczułam na skraju umysłu tępe dudnienie. „Czyli wykryli coś u drugiego”.

– Tak? – Mój szept był ledwo słyszalny.

– Pani Miller, niestety muszę mówić wprost. Drugi płód ma ciężką wadę serca.

Nie pamiętam, żebym zjeżdżała na pobocze, ale zanim się zorientowałam, stałam już tam na światłach awaryjnych, a po mojej lewej stronie przemykały samochody. Czułam się, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch.

Doktor Johnson mówiła dalej i małe skrawki zaczynały się łączyć w całość, docierać do mojego mózgu. „...Zastawka pnia płucnego... sinica, kłopoty z oddychaniem... natychmiastowa operacja... są różne opcje... jeśli się pani zdecyduje... dwa męskie płody... selektywna aborcja...”.

*Dwa męskie płody.* To zapamiętałam, to utkwilo mi w głowie. To dwaj chłopcy. Nie będzie już tłoczenia się wokół koperty, podnieconych krzyków Luke’a i Elli. Choć i tak by ich nie było. Jakie znaczenie miała płeć w porównaniu z taką informacją?

– Pani Miller? Słyszysz mnie pani?

– Mhm. – W głowie miałam natłok myśli. Czy on będzie mógł żyć tak jak inne dzieci? Czy będzie biegał, uprawiał sport? Czy w ogóle przeżyje?

– Wiem, że to trudna wiadomość. Zwłaszcza że przekazuję ją przez

telefon. Chciałabym się z panią jak najszybciej zobaczyć. Kiedy pani przyjdzie, możemy porozmawiać o różnych możliwościach...

*Możliwościach.* Spojrzałam na zdjęcia obok siebie, uśmiech na twarzy jednego dziecka, kciuk w buzi drugiego. Zamknęłam oczy i zobaczyłam, jak poruszają się na ekranie ultrasonografu. Usłyszałam bicie jednego serca: bum-bum-bum-bum, i drugiego: bum-bum-bum. Potem położyłam sobie rękę na brzuchu i poczułam ruch; byli tam obaj, przepychali się, żeby wywalczyć sobie więcej miejsca.

Nie było żadnych możliwości. Chodziło o moje dziecko.

– Pani Miller?

– Zatrzymam go.

Nastąpiła chwila milczenia, krótka, ale dostatecznie długa, bym poczuła się tak, jakby doktor Johnson nie aprobowała mojej decyzji.

– No cóż, w takim razie najlepiej byłoby spotkać się i przedyskutować, czego należy się spodziewać...

Nienawidziłam jej. Nienawidziłam tej kobiety. Nie miałam cienia wątpliwości, że nie pozwolę, żeby już kiedykolwiek umówiono mnie do niej na wizytę. To był mój syn. I rozwinie się najlepiej, jak to możliwe. Ja go ochronię, ja dam mu siłę. Zrobię to niezależnie od ceny.

Jej głos przedarł się przez moje myśli. „...Seria operacji w przyszłości... ryzyko opóźnionego rozwoju”.

Znowu poczułam się, jakby uderzono mnie w brzuch. Operacje. Terapia. Wszystko to będzie wymagać pieniędzy. Stałej pensji, i to rosnącej. Ubezpieczenia zdrowotnego, jakie gwarantowała moja praca. Nie takiego, za które sami musielibyśmy płacić – to by nas zrujnowało, a i tak nie zapewniłoby dziecku tego samego poziomu opieki.

W jednej chwili plan, by zostać z dziećmi w domu, rozplynął się bez śladu.

Ale dam sobie radę, choćby nie wiem co. Chodziło o mojego syna.

Nadal gapię się na telefon leżący przy mnie na kanapie. W mojej głowie zaczyna się kształtować plan.

Albo się uda, albo wszystko pójdzie z dymem. Ale w tej chwili nie mam wyboru. Muszę odnaleźć Jurija. I wreszcie mam kolejny trop.

Wyjmuję baterię ze swojej komórki i odszukuję telefon na kartę. Wybieram numer, przysuwam słuchawkę do ucha, słyszę, jak Omar odbiera.

– Muszę z tobą pogadać – mówię cicho. – Na osobności.

Dwa uderzenia serca i wreszcie otrzymuję odpowiedź:

– Okej.

– Może przy stawie przed pomnikiem Lincolna?

– Może być.

Przez chwilę milczę.

– Ale tylko ty i ja, dobrze?

Mój wzrok przesuwają się na ślubną fotografię Matta i mnie, która stoi na kominku. Słyszę oddech Omara.

– W porządku.

Przyjeżdżam na miejsce przed Omarem, siadam na ławce mniej więcej przy środkowej części stawu. Dokoła panuje cisza, drzewa są nieruchome. Powietrze jest chłodne, ale kryje się w nim obietnica ciepła. Turyści tłoczą się w pobliżu pomnika Lincolna, wyglądają jak małe, kolorowe kropki, lecz w tej części parku jest pusto, nie licząc kilku biegaczy.

Po stawie w krótkiej prostej linii pływają kaczki, woda marszczy się wokół nich. Miło byłoby posiedzieć tu z dziećmi, mogłyby rzucać okruchy chleba i patrzeć, jak kaczki je pochłaniają.

Zauważam Omara dopiero, kiedy staje tuż obok. Siada na drugim końcu ławki i z początku nie patrzy na mnie. Przez chwilę czuję się jak w filmie, jakby nic z tego nie było rzeczywiste. W końcu Omar spogląda w moją stronę.

– Cześć.

– Cześć.

Patrzę na niego przelotnie. W jego oczach widzę pewną podejrzliwość, ale nie taką, jak kilka miesięcy temu, kiedy włamaliśmy się do komputera Jurija. Odwracam głowę, znowu spoglądam na wodę. Jedna z kaczek odpłynęła od reszty, odbiła w przeciwnym kierunku.

– Co się dzieje, Vivian? Dlaczego spotykamy się właśnie tutaj?

Obracam na palcu pierścioneńkę zaręczynową. Raz, drugi, trzeci. Nie chcę tego robić.

– Potrzebuję twojej pomocy.

Omar milczy. Wystraszyłam go. To się nigdy nie uda.

Przełykam ślinę.

– Chcę, żebyś prześledził pewien numer telefonu. Powiedział mi wszystko, co o nim znajdziesz.

Sekunda wahania.

– Okej.

Odchrząkuję. Podejmuję spore ryzyko. Nie mam pojęcia, czy postępuję słusznie. Ale wiem, że nie mam innego pomysłu, że tylko tak mogę odszukać Jurija. A Omar to jedyna osoba, do której mogę się zwrócić.

– Chodzi o numer, z którego dzwoniło do mnie wczoraj wieczorem. Nieznany. Przełączony z Rosji.

Usta Omara układają się w małe kółko i szybko zamykają.

– Mogę pogadać z szefem...

– Nie. Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć.

Jego twarz przybiera ponury wyraz. Omar unosi brew. Czytam z jego rysów pytanie, nawet nie musi się odzywać.

Czuję na czole kropelki potu.

– Pamiętasz, jak mówiłeś o tej wtyczce w Centrum Kontrwywiadu? W waszym wydziale też jest kret. CIA prowadzi dochodzenie.

Staram się, by moja twarz cały czas była otwarta, szczerą. Omar potrafi odczytać oznaki kłamstwa. Nie mogę się niczym zdradzić.

Odwraca wzrok, wierci się na ławce, wyraźnie poruszony.

– Tylko tobie ufam. To musi pozostać między nami.

Omar patrzy przed siebie, na staw. Ja też spoglądam na wodę. Kaczki znowu płyną w jednej linii, są teraz daleko od nas, poruszają się szybko.

– To, o co mnie prosisz... Prześledzenie telefonu bez żadnej dokumentacji... to wbrew prawu.

– Potrzebuję pomocy. Nie mam nikogo innego, do kogo mogłabym się zwrócić.

Omar kręci głową.

– Musisz powiedzieć mi coś więcej.

– Wiem.

Uświadamiam sobie, że znowu obracam pierścionek na palcu. Źle się czuję z tym, co zamierzam zrobić. Słyszę w głowie głos Matta, jego słowa sprzed lat: „Zrób, cokolwiek okaże się konieczne. Będziesz musiała zapomnieć o mnie i po prostu to zrobić”.

– Chodzi o tę siatkę uśpionych agentów. Myślę, że niedługo zdołam ją namierzyć.

– Co? – pyta szeptem Omar.

– Należy do niej pewna osoba. – Waham się. – Pewna bliska mi osoba.

– Kto?

Omar wpatruje się we mnie przeszywająco.

Kręcę głową.

– Najpierw muszę mieć pewność. W tej chwili nie jestem gotowa, żeby o tym rozmawiać. Jeszcze nie.

Najpierw muszę zniszczyć wszystko, czym mogą mnie szantażować.

Ścieżką zbliża się do nas jakaś biegaczka w jaskraworóżowych szortach, ze słuchawkami na uszach. Patrzymy, jak przebiega, jej kroki dźwięczą na piachu przed nami i cichną w oddali. Wreszcie odwracam się z powrotem do Omara.

– Wszystko ci powiem, obiecuję. Ale najpierw muszę się dowiedzieć całej reszty.

Przeczesuje ręką włosy, a kiedy unosi ramię, widzę pod jego koszulą zarys kabury. Nie mogę oderwać od niej wzroku.

– Nie możesz sama się z tym zмагаć – mówi wreszcie.

Zmuszam się, żeby spojrzeć z powrotem na jego twarz, i staram się mówić jak najbardziej przekonująco, przelewam w głos całą swoją desperację.

– Proszę cię.

– Nikomu nie powiem. Tylko ty i ja, Viv. Możemy...

– Nie – przerywam mu i sama milknę. – Słuchaj, przyjaźnimy się. Dlatego do ciebie przyszedłam. Mówiłeś, że jeśli będę kiedyś potrzebować pomocy...

Omar znowu przeczesuje włosy. Patrzy na mnie przeciągle, wzrokiem jednocześnie twardym i zmartwionym. Zrobi to, prawda? Musi to zrobić.

Wygląda, jakby się wahał. Za bardzo, może odmówić. Muszę powiedzieć coś jeszcze. Coś, co sprawi, że zgodzi się nagiąć dla mnie reguły. Przypominam sobie naszą rozmowę w windzie kilka miesięcy temu.

„W Centrum Kontrwywiadu jest wtyczka”.

„Jeśli masz kłopoty, to wiesz, gdzie mnie szukać”.

Gardło mi się zaciska.

– Miałeś rację co do tej wtyczki. W kontrwywiadzie. – Muszę mu coś obiecać. Muszę kupić sobie czas. – Jeśli znajdziesz mi ten numer, dowiem się czegoś więcej.

– To ma związek z tym szpiegiem? I z rosyjską siatką?

Kiwam głową. Omar patrzy na mnie badawczo i widzę w jego oczach podniecenie, głód. Pomachałam mu przed nosem marchewką i on chce ją dostać. Do tego stopnia, że zrobi w tej chwili wszystko.

- Daj mi tylko trochę czasu – mówię.
- Wreszcie wypuszcza powietrze.
- Zobaczę, co da się zrobić.

Osobiście sprawdzi ten numer. Wiem, że to zrobi, nie mam najmniejszych wątpliwości. Puściłam maszynę w ruch, rozpoczęło się odliczanie i mam naprawdę mało czasu, żeby dotrzeć do Jurija, zanim weźmie się do tego FBI. Muszę jedynie dopilnować, żeby nie dotarli do dowodów przede mną.

Może popełniam błąd, idąc z tą sprawą do Omara. Ale jestem zdesperowana. Ten telefon to jedyny trop, jakim dysponuję. Muszę go sprawdzić.

W biurze bezustannie gapię się na aparat, czekając, aż zadzwoni. Ciągłe się na tym przyłapuję, zmuszam się do przeglądania teczek z potencjalnymi kierownikami siatki, która powoli – strasznie powoli – robi się cieńsza. Za każdym razem, kiedy gdzieś dzwoni telefon, podrywam się z miejsca, ale to wciąż nie do mnie. Próbuję sobie wyobrazić, co robi Omar, modlę się, by nie powiedział o tym swoim przełożonym. A jeśli rozmawiają właśnie z moimi szefami? Wtedy ktoś mógłby mnie zmusić, żebym wszystko powiedziała, i pierwszy odnajdzie Jurija, a w tej sytuacji co by się ze mną stało? Trafię do więzienia.

Kolejny telefon, nareszcie do mnie. Natychmiast podnoszę słuchawkę.

- Halo?
- Mam to, czego chciałaś – mówi Omar. – Za godzinę u O’Neilla?
- Będę tam.

Punktualnie sześćdziesiąt minut później wchodzę do O’Neilla. Kiedy otwieram drzwi, dźwięczą dzwoneczki, ale nikt nie podnosi głowy. Barmanka opiera się o kontuar i bębni kciukiem w klawiaturę telefonu. Przy barze siedzi samotny mężczyzna nachylony nad szklaneczką czegoś bursztynowego. Przy oknie z przodu widać jakąś parę pogrążoną w rozmowie.

Wchodzę dalej i moje oczy oswajają się z mrokiem. Rozglądam się, patrzę na neonowe znaki reklamujące piwo, stare rejestracje i pamiątki z innej dekady, aż wreszcie w głębi baru zauważam Omara. Siedzi samotnie przy dwuosobowym stoliku i mnie obserwuje.

Podchodzę i siadam naprzeciwko. Przed nim stoi szklanka. Przejrzysty płyn z bąbelkami. Pewnie tonik albo woda gazowana. Omar nie pija

alkoholu. A już na pewno nie w godzinach pracy.

Patrzy na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Ale wydaje mi się, że dostrzegam w nim pewną nieufność. Moje dłonie zaciskają się na podbrzuszu. To chyba nie żadna pułapka, prawda? A może powiedział o naszej rozmowie komuś z FBI?

– Czego się dowiedziałeś? – pytam.

Omar patrzy na mnie przez długą chwilę w milczeniu. Potem sięga do torby pod nogami, wyciąga złożoną na pół kartkę papieru i kładzie ją na stole przed sobą. Widzę na niej wypisany długopisem telefon z miejscowym numerem kierunkowym.

– Komórka na kartę – mówi i nawet mnie to nie zaskakuje, choć jestem trochę rozczarowana. – Żadnej innej historii połączeń.

Kiwam głową. „Błagam” – myślę. „Niech coś się znajdzie. Coś, co mogę wykorzystać”.

– Kupiono go tutaj, w centrum miasta, jakiś tydzień temu. Telefony Komórkowe „Plus” w dzielnicy Northwest. Zero monitoringu, dziury w dokumentacji. Zawsze mieliśmy problemy z namierzaniem aparatów na kartę w tej okolicy.

Czuje, jakby schodziło ze mnie powietrze, nadzieja we mnie zamiera. Jak teraz znajdę Jurija?

Omar przygląda mi się z wyrazem twarzy, którego nie potrafię odczytać. Potem przesuwa kartkę po blacie w moją stronę. Biorę ją i rozkładam. Jest na niej mapka z zaznaczonym na czerwono obszarem. Podnoszę głowę.

– To zakres terenu, z którego wykonano połączenie, wysłaliśmy to z wieży sygnałowej.

Spuszczam wzrok i patrzę uważniej na mapkę. Dzielnica Northwest. Obszar o promieniu mniej więcej dwunastu przecznic. Jurij był blisko. Patrzę na Omara.

– Dziękuję.

Spogląda na mnie i wzdycha.

– I co z tym zrobisz? Nie dasz sobie pomóc?

– Mówiłeś, że dasz mi czas – przypominam. – Proszę cię, potrzebuje zaledwie kilku dni.

Omar kiwa głową, prawie niedostrzegalnie, z rezygnacją. Nie odrywa ode mnie wzroku.

– Tylko uważaj, Vivian.

– Będę uważać. – Na powrót składam kartkę na pół i jeszcze raz na pół,

wsuwam ją do stojącej pod nogami torebki i wstaję do wyjścia. – Jeszcze raz ci dziękuję. Naprawdę.

Nie podnosi się, patrzy na mnie. Przerzucam torbę przez ramię i się odwracam. Już mam ruszyć, kiedy powstrzymuje mnie jego głos.

– Jeszcze jedno – mówi. – Z tym telefonem. – Znow się odwracam. Omar kręci szybko głową. – Nie było żadnych przełączeń na Rosję.



## Rozdział 17

Jadę do domu jak nieprzytomna. Robię wszystko, co należy – wybieram odpowiednią trasę, zatrzymuję się na światłach, używam kierunkowskazów – ale to tylko siła przyzwyczajenia. Wszystko wydaje się rozmazane.

Nie było żadnego połączenia z Rosją. To znaczy, że Matt nie przebywa w Moskwie. Jest w Waszyngtonie, w Northwest, gdzieś w obrębie zaznaczonego na czerwono obszaru. Z Jurijem. Ale dlaczego?

I dlaczego mnie oszukał? Coś się tu nie zgadza. Do mojego umysłu próbuje się wdrzeć strach.

Kiedy docieram do domu, mama stoi przy kuchence. To miejsce Matta. Ma na sobie mój fartuch, ten stary, który zwykle leży nieużywany w szufladzie. W kuchni unoszą się zapachy przenoszące mnie do lat dzieciństwa. Paszтет na ciepło, taki jak dawniej. I domowe purée ziemniaczane, z masą masła. Nie takie jak moje, sklepowe, do odgrzania w mikrofali. Jest w tym coś tak znajomego, tak niesamowicie krzepiącego.

Witam się z mamą i z dziećmi. Przyklejam na twarz uśmiech, potakuję, kiedy trzeba, zadaję typowe pytania. Jak szkoła? Jak poszło dziś z bliźniakami? Jestem tu, ale jakby mnie nie było. Myślami krążę wokół zaznaczonego obszaru. Gdzieś tam kryje się Matt.

Podczas kolacji tata siedzi na jego krześle. Dziwnie widzieć go na miejscu mojego męża, jakby do niego nie pasował. Mama wciska się obok Elli. Przy stole panuje tłok, ale jakoś się mieścimy.

Wyobrażam sobie Matta, jak mówi mi przez telefon, że jest w Moskwie, a tak naprawdę siedzi gdzieś związany, z pistoletem przy skroni. Bo tak musiało być, prawda? To jedyne sensowne wytłumaczenie, tylko wtedy zgodziłby się na kłamstwo. Spoglądam na paszтет i całkowicie tracę apetyt. Więc dlaczego nie panikuję? Czy nie powinnam szaleć ze strachu?

Mama wypytuje dzieci, jak minął im dzień, starając się pokierować rozmową, wypełnić milczenie słowami i normalnością. Tata rozdrabnia bliźniakom paszтет na malutkie kęsy, a chłopcy wpychają je sobie piąstkami do buzi tak szybko, że ledwo nadąża.

Ella nieustannie trajkocze, odpowiada na pytania. A Luke siedzi cicho ze spojrzeniem wbitym w talerz, przepycha jedzenie widelcem. Nie bierze

udziału w rozmowie, nie je. Chciałabym móc sprawić, żeby przestał cierpieć. Chciałabym móc sprowadzić jego ojca z powrotem, żeby wszystko wróciło do normalności. Żeby znowu się uśmiechał.

Ella opowiada coś o placu zabaw, jak bawili się w berka. Patrzę na nią i mówię to, co trzeba, wtedy, kiedy trzeba, wtrącam krótkie słowa, żeby myślała, że jej słucham, ale mój wzrok ciągle ucieka w stronę Luke'a. W którymś momencie podnoszę głowę i widzę, jak mama spogląda na mnie z troską. Może martwi się o Luke'a, może o mnie, sama nie wiem. Patrzę jej w oczy i przez chwilę nie odwracam wzroku. Wiem, że chciałaby sprawić, bym nie cierpiała, tak samo jak ja chciałabym sprawić, żeby mój syn nie cierpiał.

Wieczorem, kiedy pozostała trójka już śpi, kładę go do łóżka. Siadam na brzegu i zauważam przy nim starego, pluszowego misia. Jest już porządnie zniszczony, jedno ucho się naderwało i w dziurze widać wypełnienie. Luke nosił tego pluszaka po całym domu i zabierał ze sobą do przedszkola na czas drzemki, codziennie z nim sypiał. Od lat już go nie widziałam.

– Powiedz, co cię tak dręczy, kochanie – mówię, starając się przybrać odpowiedni ton: miękki, łagodny. Luke mocniej obejmuje misia. Jego oczy są otwarte w mroku, duże, brązowe i bardzo bystre, zupełnie jak u Matta. – Wiem, że ciężko ci bez taty – dodaję. Mam wrażenie, jakbym szukała drogi po omacku. Jak mam go pocieszyć, skoro nie wiem, co powiedzieć? Nie mogę mu obiecać, że tata wróci. Nie mogę obiecać, że zadzwoni. I z całą pewnością nie mogę powiedzieć mu prawdy. – To nie ma nic wspólnego z tobą ani z twoim rodzeństwem – mówię i natychmiast żałuję swoich słów. Dlaczego to powiedziałam? Ale przecież podobno tak właśnie trzeba robić, kiedy jeden rodzic odchodzi. Zapewnić dzieci, że to nie ich wina.

Luke zaciska oczy i spod powieki wymyka mu się łza. Podbródek mu drży. Tak usilnie stara się nad sobą zapanować. Głaszczę go po policzku, rozpaczliwie żałując, że nie mogę przejąć na siebie jego cierpienia.

– Czy o to chodzi? – pytam. – Martwisz się, że tatuś odszedł przez ciebie? Bo to absolutnie nieprawda...

Luke zdecydowanie kręci głową. Pociąga nosem.

– Więc co się stało, kochanie? Po prostu ci smutno?

Otwiera lekko usta i podbródek znowu zaczyna mu drżeć.

– Chcę, żeby wrócił – szepcze. Po policzkach spływają mu kolejne łzy.

– Wiem, kochanie. Wiem o tym. – Serce pęka mi z żalu.

– Tata mówił, że mnie obroni. – Jego głos brzmi tak cicho, że nie mam

pewności, czy dobrze usłyszałam.

– Obroni?

– Przed tym człowiekiem.

Słyszac te słowa, nieruchomieje. Ogarnia mnie strach, robi mi się zimno.

– Jakim człowiekiem?

– Tym, który był w szkole.

– Ktoś był u ciebie w szkole? – Słyszę dudnienie w uszach, krew pulsuje mi w żyłach. – Rozmawiał z tobą?

Luke kiwa głową.

– I co powiedział?

Luke mruga szybko i w jego oczach pojawia się odległy wyraz, jakby próbował coś sobie przypomnieć. Coś nieprzyjemnego. Wreszcie kręci głową.

– Co on powiedział, kochanie?

– Wiedział, jak się nazywam. Powiedział, żebym pozdrowił mamę. – Znowu pociąga nosem. – Był bardzo dziwny. I dziwnie mówił.

Na pewno chodzi o rosyjski akcent.

– Skarbie, dlaczego nic nie powiedziałaś?

Wydaje się przejęty, przestraszony, jakby zrobił coś złego.

– Powiedziałem tacie.

Przysięgam, że moje serce na chwilę staje, tylko na sekundę.

– Kiedy to było? I kiedy mu o tym mówiłaś?

Luke zastanawia się przez chwilę.

– Dzień przed tym, jak odszedł.

Minęło pięć miesięcy, zanim po urodzinach bliźniaków wyszliśmy z Mattem na miasto tylko we dwoje. Moi rodzice przyjechali na weekend z Charlottesville. Wreszcie wypracowaliśmy sobie codzienną rutynę; bliźniacy spali w łóžeczkach i prawie już nie budzili się w nocy, w każdym razie nie przed dwunastą. Wyglądało na to, że rodzice zdołają utrzymać wszystko pod kontrolą przez jeden wieczór.

Matt powiedział, że ułożył plan, a ja z radością oddałam ster w jego ręce i cieszyłam się na niespodziankę. Myślałam, że zarezerwował stół w nowej włoskiej restauracji, do której chciałam się wybrać, a która była zbyt elegancka, żeby zabrać tam dzieci.

Nie chciał mi nic zdradzić. Myślałam, jakie to słodkie i ekscytujące, cała ta tajemnica. Dopóki nie dotarliśmy na miejsce i nie odkryłam prawdy:

Matt wiedział, że jeśli powie mi, dokąd jedziemy, to się nie zgodzę.

– Strzelnica? – spytałam, patrząc na znak na wielkim jak magazyn budynku z parkingiem z ubitej ziemi. Matt w milczeniu podjechał po nierównej powierzchni na wolne miejsce między licznymi furgonetkami.

– *To ma być ta niespodzianka?*

Nienawidziłam strzelania. *I on o tym wiedział*, że nienawidzę. Broń zawsze stanowiła część mojego życia: tata był policjantem i codziennie przypinał pistolet – a ja przez całe dzieciństwo zamartwiałam się, że trafi go jakaś kula. Nie zrezygnował z tego nawet wtedy, kiedy przeszedł na emeryturę. To była kość niezgody między nami, bo ja nie chciałam w swoim domu żadnej broni palnej. Poszliśmy na kompromis. Podczas wizyt tacie wolno było przywozić pistolet, ale wyłącznie nienaładowany, a ponadto przez cały czas miał być zamknięty w specjalnym futerale podróżnym.

– Musisz poćwiczyć – powiedział Matt.

– Wcale nie muszę.

Kiedyś świetnie strzelałam, to było w pierwszych latach w CIA, kiedy chciałam wszystko umieć, być gotowa na każdy przydział. Ale pozwoliłam, żeby certyfikat mi się przedawnił. Byłam całkowicie usatysfakcjonowana pracą biurową w pobliżu domu. Od lat nie miałam w ręku broni palnej.

Matt wyłączył silnik i zwrócił się do mnie:

– Owszem, musisz.

Czułam, jak budzi się we mnie gniew. Strzelanie to była absolutnie ostatnia rzecz, na jaką miałam w tej chwili ochotę. Nie tak pragnęłam spędzić ten wieczór. A on powinien o tym wiedzieć.

– Nie wchodzę tam. Nie chcę.

– To dla mnie ważne. – Matt popatrzył na mnie błagalnie.

Usłyszałam ze środka budynku wystrzały i skóra mi ścierpła.

– Dlaczego?

– Z powodu twojej pracy.

– *Mojej pracy?* – Nic z tego nie rozumiałam. – Jestem analityczką. Pracuję za biurkiem.

– Musisz być przygotowana.

Zaczynało mnie ogarniać zniecierpliwienie.

– Niby na co?

– Na Rosjan!

Jego wybuch mnie uciszył. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Słuchaj, pracujesz w sekcji rosyjskiej, tak? – Matt mówił teraz łagodniejszym tonem. – Co będzie, jeśli któregoś dnia wezmą cię na celownik?

Widziałam na jego twarzy troskę. Nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, że moja praca budzi w nim obawy; że Matt niepokoi się o moje bezpieczeństwo.

– To wcale nie tak. Oni nie...

– Albo dzieci – dodał, wchodząc mi w słowo. – Co, jeśli przyjdą po dzieci?

Chciałam się spierać. Powiedzieć, że nie ma takiego zagrożenia, że Rosjanie nie „wezmą na celownik” zwykłej analityczki, bo po co? A już na pewno nie będą się interesować naszymi dziećmi. Czy naprawdę mu się wydaje, że gdyby tak było, wzięłabym tę pracę? Ale na jego twarzy rysowało się coś, co mnie powstrzymało, wytrąciło mi z ręki argumenty.

– Proszę cię, Viv – powiedział i znowu popatrzył na mnie błagalnie.

To było dla niego ważne. Ciężko mu na sercu. To było coś, na czym mu zależało.

– No dobrze – ustąpiłam. – W porządku. Poćwiczę.

Jeśli cokolwiek wiem o Matcie z całą pewnością, to jedno – że kocha nasze dzieci.

Z całego serca wierzę, że kocha także mnie. Może mam pewne wątpliwości; w końcu kazano mu zawrzeć ze mną znajomość. Ale dzieci? Przez myśl by mi nie przeszło, że mu na nich nie zależy. To, jak na nie patrzy, jak je traktuje – to nie może być kłamstwem. Dlatego tak trudno było mi uwierzyć, że zwyczajnie by odszedł, że pozwoliby Luke’owi wracać samodzielnie z przystanku, że zostawiłby pozostałą trójkę w żłobku.

I dlatego teraz tym bardziej w to nie wierzę. Bo jeśli Matt wiedział, że ktoś wciągnął w tę sprawę Luke’a, z całą pewnością nie odszedłby ani nie zostawił nas swojemu losowi.

Próbowaliby znaleźć człowieka, który zaczepiał naszego syna.

W nocy, kiedy w domu zapada cisza, schodzę na palcach po schodach i zaglądam do pokoiku obok salonu, gdzie moi rodzice śpią na rozkładanym tapczanie. Tata pochrapuje cicho. Widzę, jak pierś mamy regularnie podnosi się i opada. Bezgłośnie podchodzę do łóżka od strony taty. Na stoliku leży komplet kluczyków. Biorę go.

Chrapanie rozbrzmiewa dalej. Zerkam na mamę, która nadal oddycha

głęboko przez sen. Podchodzę do stojących pod ścianą bagaży i otwieram największą walizkę. Wyjmuję złożone ubrania i szperam dalej, aż wreszcie znajduję to, czego szukam. Podróżny futerał na broń, schowany na samym dnie.

Podnoszę go ostrożnie. Znajduję najmniejszy klucz, wsuwam go do zamka i przekręcam, słyszę cichy trzask. Zamieram i spoglądam na rodziców. Nadal śpią. Otwieram futerał i wyjmuję pistolet. Wydaje się lekki, a jednocześnie ciężki. Biorę magazynki i pudełko z nabojami. Stawiam wszystko na podłodze, zamykam futerał na klucz. Odkładam go z powrotem na dno walizki i przykrywam ubraniami. Zgodnie z naszą umową tacie nie wolno go dotykać w naszym domu; nawet się nie zorientuje, że pistolet zniknął.

Odkładam klucze z powrotem na stolik, uważając, żeby nie zabrzęczały. Wsuwam magazynki i pudełko nabojów do kieszeni szlafroka, a potem wymykam się z pokoju tak cicho, jak do niego weszłam, mocno ściskając broń w ręce.

## Rozdział 18

Przez całą noc leżę bezsennie z pistoletem na szafce nocnej. Patrę na niego w ciemnościach. To wszystko jest surrealistyczne. Teraz w sprawę uwikłane są dzieci. Może nie grożono im bezpośrednio, ale wniosek jest jasny: Rosjanie nie zawahają się nimi posłużyć. A to wszystko zmienia.

Nie mogę przestać rozmyślać o tamtej wizycie na strzelnicy. Matt chciał, żebym ćwiczyła. I nawet powiedział, że chodzi o moją pracę. Tak jakby wiedział, że kiedyś może nadejść ten dzień, wiedział, że muszę się przygotować.

Przewracam się na drugi bok, plecami do pistoletu, i patrę na miejsce, gdzie powinien leżeć Matt. Łóżko wydaje się dziś wyjątkowo puste, wyjątkowo zimne.

Wreszcie wstaję. Mój umysł nie chce się wyłączyć, nie daje mi zasnąć. Chodzę po uśpionym domu. Zaglądam do dzieci, sprawdzam zamki w drzwiach i oknach, już po raz trzeci tej nocy. Idę do przedpokoju i wyciągam z torebki złożony papier. Zanoszę go do salonu, gdzie bawią się nasze dzieci i gdzie toczy się tak duża część naszego życia. Opadam na kanapę i rozkładam kartkę, wpatruję się w zakreślony na czerwono obszar.

Gdzieś tam jest Jurij. Człowiek, który rozmawiał z moim synem, który go przestraszył. A także Matt. Spotkało go coś złego. Ma kłopoty.

Patrę na tworzony przez ulice wzór. Znajduję swoje dawne mieszkanie, przed którym się poznaliśmy. Ledwo się mieści wewnątrz czerwonej linii. Jak do tego wszystkiego doszło? Dziesięć lat temu kto by pomyślał, że któregoś dnia znajdziemy się w takiej sytuacji, szantażowani przez Rosjan, że niewiele brakuje, a wszystko stracimy?

Przechodzę do kuchni i kładę kartkę na blacie. Włączam ekspres, słucham odgłosów rozgrzewającej się wody i parzonej kawy. Sięgam do kredensu i widzę kubek podróżny. Waham się przez ułamek sekundy, po czym zamykam drzwiczki.

Kiedy kawa jest gotowa, odwracam się z powrotem do blatu i znowu patrę na mapkę. Dawno temu chodziłam tamtymi ulicami. I ja, i Matt. On gdzieś tam się kryje. Ale nie mam pojęcia, jak go znaleźć.

Nie mam pojęcia, co robić.

Dopijam kawę i odstawiam kubek do zlewu. Potem biorę elektroniczną nianię, zabieram ją na górę i stawiam obok siebie w łazience. Wchodzę pod prysznic, zamykam oczy i pozwalam się smagać strugom gorącej wody. Wokół mnie unosi się para, aż powietrze robi się tak gęste i gorące, że prawie nic nie widzę i ledwo mogę oddychać.

– Dzieci nie wolno odebrać nikomu poza osobami z naszej listy kontaktów – mówię wczesnym rankiem do dyrektorki żłobka. W jednej ręce ściskam dłoń Elli, i to tak mocno, że w drodze z parkingu zaczęła się skarżyć. Drugą trzymam Luke’a. „Przecież mogę poczekać w aucie”, mruknął, ale nie chciałam o tym słyszeć. Nie dzisiaj. – Czyli są do tego upoważnieni wyłącznie moi rodzice i moja sąsiadka Jane.

Spojrzenie dyrektorki przesuwają się z cieni pod moimi oczami na moją lewą rękę.

– Jeśli sąd przyznał pani opiekę, to potrzebne nam będzie...

– Wyłącznie mój mąż, ja i osoby z naszej listy – rozwiewam wątpliwości, ściskając dłonie dzieci jeszcze mocniej. – Jeżeli ktokolwiek po nie przyjdzie, proszę go wylegitymować. I natychmiast mnie zawiadomić. – Zapisuję numer telefonu na kartę i posyłam dyrektorce swoje najbardziej lodowate spojrzenie. – *Nikt inny.*

Odwożę Luke’a do szkoły. Dąsa się, bo chciał pojechać autobusem. Obejmuję go ramieniem i rozglądam się wzdłuż płotu po zadrzewionej ulicy. Kiedy dochodzimy do jego klasy, nachylam się, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Jeśli znowu go zobaczysz, masz do mnie natychmiast zadzwonić – mówię. Wciskam mu do ręki skrawek papieru z numerem telefonu na kartę. Widzę na jego buzi przelotną obawę, która sprawia, że nagle Luke wydaje mi się o całe lata młodszy, znowu jest moim maluszkim, a ja nie potrafię go ochronić. Patrzę, jak wchodzi do klasy, i ogarnia mnie poczucie beznadziei.

Kiedy drzwi się za nim zamykają, idę do gabinetu dyrektora. Mówię mu, że jakiś nieznajomy człowiek zaczepiał mojego syna na terenie szkoły. Wkładam w głos całą swoją wściekłość i oburzenie. Jestem pewna, że dyrektor przywykł do takiego tonu u rodziców uczniów. Otwiera szeroko oczy i krew odpływa mu z twarzy. Natychmiast obiecuje, że i teren szkoły, i sam Luke znajdą się pod lepszą obserwacją.

Włączam się w poranny ruch, dołączając do codziennych, monottonnych



korków pełzających przez miasto. Nienawidzę tego, powinnam być przy dzieciach. Ale nie mogę ciągle trzymać ich w domu, a jednocześnie nie jestem w stanie przebywać w tym samym momencie w żłobku, szkole i pracy.

Samochód posuwa się wolno, jestem coraz bliżej zjazdu z trasy; tego, który prowadzi na północny zachód miasta. To tutaj właśnie skręcałam, wracając z pracy do starego mieszkania. Patrzę na zjazd, pas do skrętu jest wolny. Podjeżdżam bliżej i nagle skręcam kierownicą, i przyspieszam. Gdzieś tam jest Jurij. I Matt.

Zjazd prowadzi w znajome okolice. Przejeżdżam ulicami, aż wreszcie docieram do obszaru zaznaczonego na mapce czerwoną linią. Rozglądam się uważnie w poszukiwaniu samochodu Matta albo Jurija. Zwracam uwagę na każdy czarny sedan, patrzę na rejestracje. Żadna nie pasuje.

Wreszcie parkuję równolegle w jakiejś spokojniejszej uliczce i ruszam piechotą. Torebkę mam przerzuconą przez ramię, pistolet jest na samym dnie zapinanej na suwak kosmetyczki. Dzień zrobił się już ciepły. Przyjemny. Kiedy mieszkaliśmy w tej części miasta, w takie poranki wychodziliśmy do ulubionego baru na rogu na kawę albo na śniadanie.

Znowu wracają wspomnienia. Matt i ja w tamtych wczesnych, cudownie radosnych i nieskomplikowanych dniach. Przechodzę pod swoim starym blokiem, zatrzymuję się na chodniku w tym samym miejscu, gdzie wiele lat temu się poznaliśmy. Przypominam sobie, jak na niego wpadłam, niosąc pudło. Niemal widzę plamy z kawy na ziemi i uśmiech, jakim mnie obdarzył. Czy gdybym mogła, zmieniłabym przeszłość? Tak żeby nigdy go nie poznać? Mam wrażenie, jakby coś ścisnęło mnie mocno za serce. Kręcę głową i idę dalej.

Docieram do rogu, gdzie stałam, kiedy zobaczyłam go po raz drugi. Księgarnkę dawno już zamknięto, zamiast niej w lokalu mieści się butik. Mimo to gapię się na niego, wyobrażam sobie, że to nadal księgarnia, a Matt stoi przed nią z książką. Przypominam sobie uczucia, które mnie wtedy ogarnęły, podniecenie i ulgę. A teraz czuję smutek i nic więcej.

Widzę kawiarenkę, gdzie usiedliśmy przy stoliku w głębi i rozmawialiśmy, aż kawa nam wystygła. I włoską knajpkę – teraz kebab – do której poszliśmy na pierwszą wspólną kolację. Zupełnie jakbym wędrowała przez swoją przeszłość. Czuję się dziwnie, bo to były chwile, które przesądziły o moim życiu, które doprowadziły mnie do tego momentu, a przecież wszystkie okazały się nieprawdą.

A potem widzę bank, na rogu, z kopułką. Na jego widok na piersiach osiada mi ciężar. Kopuła połyskuje w słońcu. Nigdy nie zwracałam na ten bank uwagi, nie miałam pojęcia, że Matt regularnie tam chodzi, by spotykać się z człowiekiem, którego dzień w dzień usiłowałam znaleźć, podczas gdy dzieci siedziały w żłobku.

Podchodzę i znajduję z boku mały dziedziniec, placyk z trawnikiem, drzewami, zadbanymi klombami i dwiema obitymi żelazem ławkami z ciemnego drewna. Patrząc na tę po prawej stronie, ustawioną przodem do drzwi. Próbuję wyobrazić sobie na niej Matta, a potem Jurija.

Siadam i rozglądam się, widzę to, co oni musieli widzieć. Placyk jest pusty, cichy. Nagle przypominam sobie, że Jurij zostawiał pod ławką USB dla Matta. Sięgam ręką i macam, ale nic tam nie ma.

Przesuwam się na drugi koniec i sprawdzam pod spodem. Nadal nic. Wolno cofam rękę, zaciskam dłonie na kolanach. Mrugam, patrząc w pustkę, czuję się odrętwiała. Ale przecież nie spodziewałam się nic tu znaleźć. Matt i Jurij są teraz razem.

Po prostu nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Nie mam zielonego pojęcia, jak odnaleźć Jurija, jak odnaleźć Matta, jak to wszystko naprawić.

O piątej wjeżdżam na parking przy żłobku, to pora największego tłoku. Wszędzie stoją auta; cały trzeci rząd, zazwyczaj pusty, jest wypełniony samochodami. Widzę minivana, który wyjeżdża ze środka, i czekam, aż ostrożnie, nieśmiało wycofa się i odjedzie. Zajmuję zwolnione przez niego miejsce.

Wysiadam z auta i nagle go dostrzegam. Stoi po przeciwnej stronie parkingu, w ostatnim rzędzie. Opiera się o maskę samochodu z rękami założonymi na piersi i patrzy prosto na mnie. Jurij.

Wrastam w ziemię. Ogarnia mnie przerażenie. On. Tutaj. Co mam zrobić – udawać, że go nie widzę? Pójść po Elle i zaryzykować, że dopiero wtedy się ze mną skonfrontuje?

Zmuszam się, żeby ruszyć z miejsca. Kieruję się w jego stronę. Mierzymy się wzrokiem. Jurij ma na sobie dzinsy i koszulę, której dwa górne guziki są rozpięte. Nie nosi podkoszulka. Jego wisiołek łapie promienie słońca, błyszczy się złościście. Na twarzy Rosjanina widnieje twardy wyraz; zniknęła poza przyjaźni.

– Nie mieszaj do tego moich dzieci – mówię zdecydowanym głosem, choć wcale nie czuję zbytnej pewności siebie.

– Nie byłoby mnie tu, gdybyś po prostu zrobiła to, co ci mówię. Mielibyśmy to już za sobą.

Patrzę na niego gniewnie.

– Nie mieszaj ich do tego.

– To ostatni raz, kiedy przychodzę się z tobą zobaczyć, Vivian. Ostatnie ostrzeżenie. – Jurij patrzy mi w oczy, świdruje mnie wzrokiem.

Słyszę nadchodzące kroki i się odwracam. To jakaś matka, która niesie jedno dziecko na rękach, a drugie trzyma mocno za rękę. Rozmawia z nim, nie zwracając na nas uwagi. Podchodzą do SUV-a stojącego o kilka kroków od samochodu Jurija. Oboje milkniemy, podczas gdy ona pakuje dzieci do auta, przypina je w fotelikach i sama wsiada do środka.

Kiedy zatrzaskuje drzwi, Jurij mówi dalej:

– Widzę, że groźba więzienia to za mało. – Uśmiecha się drwiąco, nieznacznie, i jego dłoń przesuwają się po biodrze, muska ukrytą pod koszulą kaburę. – Na szczęście mam jeszcze cztery argumenty.

Lodowacieję. Cztery. Moje dzieci. On grozi moim dzieciom.

Silnik SUV-a zaczyna pracować; podrywam się na ten dźwięk. Robię krok do przodu.

– Nawet o tym *nie myśl*.

Drwiący uśmiech tylko się poszerza.

– Bo co? Zrozum wreszcie, że to ja dyktuję tu warunki. – Jurij dźga się kciukiem w pierś tak, że złoty wisiołek aż podskakuje na jego skórze. – Ja.

Policja. Muszę powiedzieć o tym policji. Omarowi. Nieważny szantaż, nieważne więzienie. Nic mnie nie obchodzi, co się ze mną stanie. W tej chwili chętnie zgodziłabym się spędzić resztę życia za kratkami, jeśli to miałyby znaczyć, że moje dzieci będą bezpieczne.

– Wiem, o czym myślisz – mówi Jurij. Mrugam i znowu skupiam się na nim. Odkładam gdybanie na bok i wracam do rzeczywistości. – Ale odpowiedź brzmi: nie.

Patrzę na niego, na jego oczy, na wyraz jego twarzy. Czy naprawdę wie? Czy naprawdę zdaje sobie sprawę, o czym myślę?

– Jeśli pójdziesz na policję – ciągnie Jurij i odkrywam, że owszem, naprawdę wiedział – już nigdy nie zobaczysz Luke'a.

Nieruchomieję, stoję jak wrośnięta w ziemię, a Rosjanin odwraca się i wsiada do samochodu, tego samego, którego szukałam w ciągu dnia po całym Waszyngtonie. Patrzę, jak uruchamia silnik i wyjeżdża z miejsca parkingowego. Otaczają nas ludzie, rodzice wchodzą do żłobka i wychodzą

z dziećmi, mniejsze niosą w ramionach albo w fotelikach samochodowych, starsze prowadzą za rękę. Maluchy podskakują, dźwigając małe plecaczki. A ja stoję w miejscu i gapię się na samochód Jurija, który wycofuje się, wyjeżdża z parkingu i wreszcie znika mi z oczu.

Z mojej piersi wyrywa się głęboki urywany oddech i nogi się pode mną uginają, nagle nie mogą mnie utrzymać. Opieram się o najbliższe auto, żeby nie upaść. Luke. Mój Luke. Jak to się może dziać? O Boże.

Zrobię to. Zrobię, co mi każą. Wyobrażam sobie, jak wsuwam dysk do komputera, wpuszczam Rosjan do systemu, przyczyniam się do śmierci tych bezimiennych ludzi, którzy dostarczają informacji do czytanych przeze mnie raportów. Ale przynajmniej nie będzie to Luke. Wyobrażam sobie jego uśmiech, jego chichot, jego niewinną buzię. Przynajmniej nie będzie to mój synek.

W każdym razie nie tym razem.

Znowu mam wrażenie, jakby całe powietrze uszło mi z płuc.

Bo przecież któregoś dnia przyjdą w końcu po moje dzieci. Po jedno z nich. To się nie skończy. Jurij będzie wiedział, że wystarczy, by im zagroził, a zrobię wszystko, czego zechce. To tylko kwestia czasu, zanim znowu spróbuje mnie szantażować.

Zmuszam się, żeby ruszyć z miejsca. Nie wiem, jak mi się to udaje, bo nogi mam jak z ołowiu. Żołądek zwija mi się w węzeł. Wszystko wydaje się jednocześnie nierealne i tak ogromnie rzeczywiste. Widzę drzwi przedszkola, ale tam nie idę. Nogi niosą mnie do samochodu.

Wsiadam i drżącymi rękami zapinam pasy. Wyjeżdżam z parkingu szybciej, niż powinnam. Skręcam w tę samą stronę co Jurij, z jedną ręką na kierownicy, a drugą w torbie. Wyciągam telefon na kartę. Wybieram numer, który znam na pamięć, i przykładam komórkę do ucha.

– Mamo? – pytam, kiedy odbiera. W tle słyszę Luke'a, który rozmawia z moim tatą, i ogarnia mnie ulga: Luke jest w domu, cały i zdrowy. – Mogłabyś odebrać Elę z przedszkola?

Na strzelnicy zajęliśmy najdalsze stanowisko. Patrzyłam, jak Matt ładuje jeden z wypożyczonych pistoletów, jego ruchy były płynne. Wokół mnie rozbrzmiewały wystrzały, głośne nawet pomimo ochronnych słuchawek na uszach.

– Kiedy ostatni raz to robiłeś? – spytałam, praktycznie krzycząc, ponieważ słabo słyszałam. Matt już kiedyś strzelał; to była jedna z rzeczy,

które o nim wiedziałam, choć nie pamiętałam, kiedy ani co dokładnie mi na ten temat mówił. Jak łowienie ryb i gra w golfa.

– Wieki temu – odpowiedział. Uśmiechnął się do mnie szeroko. – To jak jazda na rowerze.

Naładowałam drugi pistolet, podczas gdy on przygotowywał tarczę: kartkę papieru z konturem człowieka i liniami wyznaczającymi pola, w które mieliśmy celować. Piersi, głowa. Matt przyczepił ją do wyciągu i posłał na koniec stanowiska.

– Gotowa? – spytał.

Kiwnęłam głową i ustawiłam się w odpowiedniej pozycji. Wycelowałam z zamkniętym okiem, jak mnie uczono. Przeładowałam pistolet i położyłam palec na spuście. Wolno pociągnęłam, w uszach zabrzmiały mi słowa dawnego instruktora: „Daj się temu zaskoczyć”.

Bum! Pistolet odskoczył mocno, ciągnąc za sobą moją dłoń i całe ramię. Faktycznie to jak jazda na rowerze: wszystko sobie przypomniałam, i to szybciej i wyraźniej, niż oczekiwałam.

Matt zaczął się śmiać.

– Co cię tak bawi? – spytałam. Zirytowałam się. Całe lata nie strzelałam; chyba miałam prawo najpierw się rozgrzać.

Pokazał palcem tarczę.

– Patrz.

Spojrzałam. A tam, w samym środku celu, widać było małą dziurę.

– Ja to zrobiłam?

Na twarzy Matta widniał szeroki uśmiech.

– Zobaczmy, czy uda ci się jeszcze raz. Spróbuj trafić w to samo miejsce.

Wzięłam głęboki oddech, podniosłam broń, wycelowałam. Palec na spuście, wolny ruch. Bum! Kiedy spojrzałam, zobaczyłam drugą dziurę tuż obok tej pierwszej i znowu usłyszałam śmiech męża.

– Jesteś pewna, że nie ćwiczyłaś na boku? – zapytał, szczerząc się.

Teraz i ja się roześmiałam.

– Niech to będzie dla ciebie lekcja. Nie zadzieraj ze mną.

Nagle uśmiech na jego twarzy przybladł i Matt zapatrzył się na mnie przez długą chwilę.

– A zdołałabyś tak strzelać, gdyby coś ci groziło?

Spojrzałam na tarczę i spróbowałam sobie wyobrazić, że to prawdziwy człowiek.

– Nie – powiedziałam szczerze. – Nie wydaje mi się.

– Nie wydaje ci się, że mogłabyś do kogoś strzelić, gdybyś znalazła się w niebezpieczeństwie?

Pokręciłam głową. Nie potrafiłam sobie wyobrazić sytuacji, w której w ogóle miałabym przy sobie broń. Gdybym znalazła się w niebezpieczeństwie, wolałabym raczej, żeby nigdzie w pobliżu nie było żadnych pistoletów. Najprawdopodobniej skończyłoby się na tym, że to mnie by postrzelono.

Matt nie odrywał ode mnie wzroku. Patrzył na mnie badawczo, przeszywająco. Zaczęło mnie to krępować. Odwróciłam się z powrotem do tarczy i znowu wycelowałam. Palec na spuście. Już miałam go nacisnąć, kiedy usłyszałam głos Matta:

– A gdyby ktoś zagroził dzieciom?

Na moich oczach tarcza zmieniła się w prawdziwego człowieka, który stanowił niebezpieczeństwo dla moich dzieci, chciał je skrzywdzić. Pociągnęłam za spust, usłyszałam wystrzał. Dziura, w którą celowałam, ta pierwsza, na samym środku piersi, nieznacznie się poszerzyła. Trafiłam idealnie. Odwróciłam się do Matta, równie poważna jak on.

– Zabiłabym go.

Doganiam Jurija po kilku przecznicach. Widzę jego czarnego sedana o kilka aut z przodu. Przystaje na skrzyżowaniu i światła stop zapalają się na czerwono. Niemal odruchowo zsuwam się nieco niżej na fotelu i obserwuję jego samochód.

Dzięki Bogu jestem w corolli, tak samo anonimowa jak Jurij. Ale może się za mną rozgląda, może szuka ogona w lusterku wstecznym. Może to dla niego wręcz nawyk.

Pamiętam sprzed wielu lat, jak należy to robić. Kolejne szkolenie w pracy, choć w najśmielszych snach nie spodziewałam się, że kiedykolwiek wykorzystam je w praktyce, kolejne zajęcia, które chciałam po prostu odhaczyć. Trzymam się z dala, pilnuję, żeby cały czas dzieliło nas kilka samochodów, staram się, żeby Jurij nie mógł mnie zobaczyć. Obserwuję pasy po obu stronach, czekam, żeby na któryś zjechał, skręcił, cokolwiek.

Wreszcie sedan zjeżdża na prawy pas. Zostaję na swoim, trzymam się z tyłu, obserwuję. Czas na prawdziwy test. Czy Jurij rozgląda się za pościgiem? A może jest pewien, że nikomu nic nie powiedziałam, że siedzę załamana na parkingu albo wracam do domu, przerażona i bezradna?

Niedługo potem skręca i dopiero teraz dociera do mnie, że wstrzymywałam oddech. Samochody za nim także zjeżdżają w prawo. Ja też mogłabym skręcić; tyle aut jedzie w tym kierunku, że nie wzbudziłabym niczyich podejrzeń. Zbliżam się do zakrętu i nagle widzę znak. Wyraźne niebieskie M i strzałka w prawo. To droga do stacji metra.

Podjeżdżam i patrzę. Zjazd prowadzi bezpośrednio na parking. Sedan stoi przy bramce, Jurij przystanął właśnie po kwit. Mam tylko ułamek sekundy na podjęcie decyzji. Nie mogę tam za nim wjechać. To zbyt ograniczona przestrzeń, zresztą nie mogłabym śledzić Jurija pieszo, a w dodatku sama. Na pewno by mnie zauważył.

Dociskam pedał gazu i szybko mijam zjazd. Przejeżdżając, oglądam się i widzę, jak szlaban się podnosi i Rosjanin wjeżdża do środka. Oddycham płytko i zmuszam się, żeby przyhamować. Teraz, kiedy straciłam go z oczu, czuję się zagubiona.

Ale nie wolno mi tak myśleć. Nie mogę być bezradna. Muszę walczyć.

Po omacku szukam w torebce kartki, mapki od Omara. Wyciągam ją i rozkładam, spoglądając co sekundę na jezdnię. Patrzę uważnie i wreszcie odnajduję małe M, stację metra, w samym środku zaznaczonego obszaru.

Wciskam gaz do dechy.

To spore ryzyko. Wiem o tym. Może Jurij chciał się jedynie upewnić, że nikt go nie śledzi – może wjechał na parking, po czym wrócił na ulicę i ruszył w dalszą drogę. A nawet jeśli naprawdę przesiądzie się do metra, może jechać dokądkolwiek w całym mieście. Dokądkolwiek.

Mimo to znajduję na ulicy wolne miejsce, skąd widzę wyjście ze stacji. Siedzę, czekam i patrzę. W ciszy samochodu myślę o dzieciach. Ja tylko chciałam być dla nich dobrą matką. A teraz wszystko może się skończyć.

– Proszę Cię, Boże – szepczę. – Miej je w swojej opiece. – Od lat się nie modliłam i dziwnie się czuję, robiąc to w tej chwili. Ale jeśli istnieje choćby cień szansy, że to pomoże moim dzieciom, warto spróbować. Bo każda sekunda, która upływa, każda sekunda, kiedy Jurij nie wychodzi z metra, zwiększa prawdopodobieństwo, że to się nie uda. A wobec tego nie wiem, co dalej robić.

Podnoszę wzrok i patrzę na sufit samochodu, jakby dzięki temu Bóg mógł mnie lepiej usłyszeć.

– Nieważne, co będzie ze mną – mówię. – Tylko uchowaj je od złego.

I nie mogę zapomnieć, że tuż obok, na dnie mojej torby, leży pistolet

taty.

O mały włos, a bym go przegapiła, kiedy wychodził z przejścia podziemnego. Teraz ma na głowie czerwoną czapkę bejsbolówkę, spłowiła, z logo Nationalsów. I kurtkę, czarną wiatrówkę. Idzie w moim kierunku, moją stroną ulicy. Oddycham płytko i cała sztywnieję, ale Jurij ma spuszczoną głowę, widzę tylko jego czapkę. Obserwuję go zza okularów przeciwsłonecznych, siedząc nieruchomo i modląc się, żeby nie podniósł wzroku. Kiedy mnie mija, wstrzymuję oddech, a potem wypuszczam głośno powietrze i patrzę na niego w lusterku wstecznym. Głowę nadal ma spuszczoną, plecy przygarbione.

Nie odrywam od niego spojrzenia, kiedy maleje w oddali, aż w końcu zaczyna mnie ogarniać panika. Muszę za nim jechać. Muszę zobaczyć, dokąd idzie. Ale jeśli ruszę teraz samochodem, stracę go z oczu. Będę musiała pojechać dalej i zawrócić, lecz do tego czasu Jurij może już zniknąć albo mnie zauważyć, a wtedy wszystko stracone.

Drżącymi palcami przekręcam kluczyk w stacyjce, wciąż patrząc w lusterku na malejącą w oddali głowę Jurija. Odrywam wzrok zaledwie na sekundę, żeby sprawdzić, czy droga wolna, i szykuję się, żeby wyjechać z powrotem na ulicę. Już mam odbić od krawężnika, kiedy nagle zastygam. Rosjanin wspina się po jakichś schodkach. Staje przed drzwiami kamienicy. Wchodzi do środka.

Czuję przyływ adrenaliny pomieszanej z ulgą. Patrzę, dopóki Jurij nie znika mi z oczu. Zapamiętuję drzwi, niebieskie z łukiem na górze. Biała skrzynka pocztowa. Trzy domy za hydrantem.

Wyciągam z torby telefon na kartę, wybieram numer ostatniego połączenia i przykładam słuchawkę do ucha. Patrzę z powrotem na niebieskie drzwi.

– Halo? – mówi mama.

– Cześć, to ja. Jak dzieci?

– Cześć, kochanie, wszystko w porządku. Dzieci są w domu, całe, zdrowe i wesołe.

– Dzięki, że odebrałaś Elle.

– Nie ma sprawy.

Następuje niezręczna cisza. W tle słyszę pobrzękiwanie naczyń i wysoki głosik trajkoczącej Elli.

– Wrócę dzisiaj później – mówię.



– Nie ma sprawy – odpowiada mama. – Nie spiesz się. Tata i ja położymy dzieci spać.

Kiwam głową i mrugam szybko, próbując zapanować nad emocjami. Spoglądam na leżącą obok torebkę, w której schowany jest pistolet.

– Powiedz im, że je kocham, dobrze?

A potem odchylam lusterko w dół, zsuwam się na fotelu, wbijam spojrzenie w niebieskie drzwi i czekam.

## Rozdział 19

Jest kilka minut przed dziesiątą rano, kiedy niebieskie drzwi w końcu się otwierają. Rozmawiałam już z rodzicami i przeprosiłam, że nie wróciłam na noc, upewniłam się, że z dziećmi wszystko w porządku. Prostuję się w fotelu i patrzę, jak Jurij wychodzi na zewnątrz. Ma na sobie inną czapkę, tym razem czarną, a do tego spodnie dresowe i ciemny T-shirt. Odwraca się i zamyka drzwi na klucz, po czym schodzi po schodach ze spuszczoną głową. Wciska guzik przy breloku i jakiś samochód po drugiej stronie ulicy miga światłami. Kolejny sedan, tym razem biały. Jurij siada za kierownicą i odjeżdża od krawężnika.

Moja pierwsza myśl to dzieci. Ale Jurij dał mi czas na wykonanie polecenia. Dzieci są na razie bezpieczne.

Wyjmuję pistolet i wsuwam go za pasek spodni. Czuję na skórze jego chłód i twardość. Potem sięgam po kartę kredytową, którą przygotowałam sobie jeszcze w nocy, i leżącą obok spinkę – znalazłam ją na dnie torebki, to kolejna wsuwka, która wypadła Elli z koka. Już ją zgięłam, tak jak uczyła mnie Marta. Ściskam w ręce i ją, i kartę, a potem wysiadam z samochodu i idę szybko w kierunku domu, spuszczać głowę tak jak Jurij.

Staję pod niebieskimi drzwiami i zaczynam nasłuchiwać. W środku panuje cisza. Stukam raz i drugi. Wstrzymuję oddech. Żadnego dźwięku. Przez moją głowę znowu przepływa wizja. Matt, przywiązany do krzesła, z ustami zaklejonymi taśmą.

Biorę wsuwkę i wkładam ją do zamka, gmeram chwilę, aż załapuje. Drugą ręką wsuwam kartę kredytową w szczelinę między drzwiami a framugą i naciskam. Dłonie tak mi się trzęsą, że prawie ją upuszczam. Boję się rozejrzeć i modlę się tylko, żeby nikt nie patrzył, próbuję zasłonić ciałem to, co robię, przed oczami przechodniów.

Zapadka odskakuje. Ogarnia mnie niesamowita ulga. Przekręcam klamkę i niepewnie uchylam drzwi, spodziewając się alarmu albo czegoś podobnego, ale nic się nie dzieje. Otwieram je szerzej i zaglądam do środka: salon, prawie nieumeblowany, w środku znajdują się jedynie sofa i duży telewizor. W tyle kuchnia. Pokryte wykładziną schody prowadzą na

górne i dolne piętra.

Wchodzę i zamykam za sobą drzwi. Nigdzie nie widać Matta. Może jest w głębi domu? A jeśli nie, może przynajmniej uda mi się odszukać dowody? Pliki, którymi Jurij mnie szantażuje?

Nagle ogarniają mnie wątpliwości. Co, jeśli Matta tu nie ma, a ja nie znajdę dowodów? Gorzej – a jeśli Jurij wróci? Co zrobi, jeżeli mnie tu znajdzie?

Ale muszę spróbować. Zmuszam się, żeby zrobić krok naprzód, a potem kolejny.

I nagle coś słyszę.

Na górze. Kroki.

O Boże.

Zastygam. Wyciągam zza pasa pistolet i kieruję go przed siebie, celuję w schody. To nie może się dziać naprawdę.

Ale się dzieje. Kroki, teraz już na stopniach. Ze strachu wrastam w podłogę. Widzę czyjeś stopy – białe, męskie. Obserwuję je przez celownik. Dalej pojawiają się nogi, umięśnione. Sportowe szorty, za duże i za luźne. Biały podkoszulek. Trzymam mężczyznę na muszce, czekam, aż pojawi się jego klatka piersiowa, żebym mogła dobrze wycelować.

– Szybko wróciłeś – słyszę nagle.

Głos Matta.

Dociera to do mnie w momencie, kiedy postać wyłania się w całości. Matt. Podnoszę głowę znad celownika, patrzę mu w twarz. Niemożliwe. Ale to prawda. To rzeczywiście Matt.

Na mój widok nieruchomieje, blednie, jakby zobaczył ducha. Włosy ma wilgotne, wyglądają jak zwykle tuż po prysznicu. Sprawia wrażenie, jakby... jakby czuł się tu jak u siebie. Nadal mierzę do niego z pistoletu. Zaczynają mnie ogarniać sprzeczne emocje.

– Boże, Viv, co ty tu robisz? – mówi i nagle zbiega do mnie po ostatnich stopniach, jego twarz się rozluźnia, pojawia się na niej ulga. Wolałabym, żeby zwolnił, dał mi chwilę na oswojenie się z sytuacją, bo to wszystko jest po prostu nie tak. Nic się tu nie zgadza. Wyobrażałam go sobie związanego. Uwięzionego. Nie samego, swobodnego, biorącego prysznic w domu Jurija.

Matt jest już niemal przy mnie, zupełnie ignoruje wycelowany w niego pistolet, uśmiecha się, jakby szalał z radości. A ja opuszczam broń, bo przecież mam przed sobą własnego męża, *celowałam* w niego. Ale robię to niemal z trudem, prawie jakby moje ramiona albo mózg protestowały

przeciwko temu. Matt obejmuje mnie, lecz ja stoję sztywno.

– Jak mnie znalazłaś? – pyta z niedowierzaniem.

Nadal nie poruszam rękami, nie odwzajemniam uścisku. Nie rozumiem. Nic z tego nie rozumiem. Matt odsuwa się, trzyma mnie na odległość ramienia, wpatruje się we mnie z napięciem, próbuje czytać mi w oczach.

– Viv, tak cię przepraszam. On był w szkole Luke’a. Rozmawiał z nim. Nie mogłem czekać. Musiałem iść...

Gapię się na niego. Twarz ma tak otwartą, szczerą. Chaos w moich myślach zaczyna nieco ustępować, choć zaledwie odrobinę. Przecież tak właśnie myślałam, prawda? Matt zostawił nas, żeby chronić Luke’a, żeby utrzymać Jurija z dala od naszych dzieci. Więc dlaczego coś w mojej głowie nadal krzyczy, że nic się tu nie zgadza?

Ponieważ Matt jest tu sam. Nie był więźniem, nie siedzi przywiązany do krzesła; wizja, która mnie prześladowała, okazała się nieprawdziwa. Mierzę go wzrokiem: wilgotne włosy, ubrania. Coś mnie ściska w żołądku. Dlaczego nadal tu jest? Dlaczego nie uciekł?

– Powiedział, że jeśli stąd odejdę, zabije Luke’a.

Na te słowa przeszywa mnie dreszcz.

– Może powinienem spróbować... Nie wiedziałem, czy zdołam go pokonać... – Mówiąc to, Matt wydaje się zawstydzony, a ja czuję ucisk w piersiach. – Nie porzuciłem cię, Viv. Przysięgam. – Wygląda, jakby miał się zaraz rozpłakać.

– Wiem – mówię, przede wszystkim po to, żeby przekonać samą siebie.

– Nie zrobiłbym tego.

– Wiem. Wiem. – Ale czy na pewno?

Matt wpatruje się w moje oczy i nagle przez jego twarz przemyka jakiś wyraz, krótkie mignięcie paniki.

– Jurij niedługo wróci. Poszedł tylko po kawę. Musisz stąd uciekać, Viv.

– Co?

Jego głos jest nagłący.

– Musisz stąd iść. Musisz uciekać.

Kłębią się we mnie różne emocje. Panika, niezrozumienie, desperacja.

– Potrzebny mi ten plik. Ten, którym mnie szantażują.

Matt patrzy na mnie przeciągle, nie potrafię odczytać jego spojrzenia.

– To niebezpieczne. Dzieci...

– Gdzie on jest? – Wpatruję się w niego bez zmrużenia oka. Przecież miał czas, żeby tego poszukać.

Matt świdruje mnie wzrokiem. Potem jego spojrzenie łagodnieje.

– Na górze.

Więc jednak szukał. I znalazł. Ogarnia mnie ulga.

– Czy możesz...

Przerywam w pół słowa i obracam się do wejścia. Słyszę przekreślony w zamku klucz. Podnoszę pistolet i mierzę w zamknięte drzwi, w ich krawędź, która już za sekundę się porusza. On wrócił. Jurij wrócił.

Celuję w drzwi. Otwierają się i widzę go z pochyloną głową. Trzyma jednorazową tackę na kawę, a w niej dwa kubki. Jeszcze mnie nie zauważył. Mierzę do niego. Jurij robi krok do środka i zaczyna zamykać drzwi.

Nagle mnie dostrzega.

– Nie ruszaj się – mówię.

Zastyga.

– Zamknij drzwi. – Pilnuję, żeby muszka pistoletu była wycelowana prosto w jego pierś. Jeśli wykona najmniejszy ruch, żeby uciec, zastrzelę go. Przysięgam na Boga, że to zrobię. Ten człowiek próbował zastraszyć mojego syna.

Rosjanin powoli i ostrożnie zamyka drzwi.

– Ręce do góry – mówię. Sama się dziwię, jak spokojnie brzmi mój głos. Jest rozkazujący, pozbawiony wahania, choć czuję coś wręcz przeciwnego. Wypełnia mnie absolutne przerażenie.

Jurij wykonuje polecenie, no, prawie. Rozkłada ręce przed sobą, jedną otwiera, żebym widziała pustą dłoń, a w drugiej nadal trzyma tackę.

– Rusz się, a cię zastrzelę. – Mój głos brzmi śmiertelnie poważnie. Ogarnia mnie dziwne uczucie, jakbym oglądała siebie na filmie.

Jurij patrzy na mnie beznamiętnie, a potem przenosi wzrok na Matta. Z jego oczu nie można nic wyczytać.

Muszę sprawiać wrażenie, jakbym wiedziała, co robię. Muszę zachować kontrolę nad sytuacją. Próbuję zmobilizować umysł do działania, wymyślić jakieś rozwiązanie.

– Zwiąż go – mówię do Matta. Jurij znów patrzy na mnie. Mruży lekko oczy, ale się nie rusza.

Nie spoglądam na Matta, lecz słyszę, jak wychodzi z pokoju. Wpatrujemy się w siebie z Jurijem. Na jego ustach igra cień drwiącego uśmiechu, który zwiększa jeszcze mój niepokój. Zresztą pewnie o to mu chodzi.

Matt wraca po kilku chwilach. Oglądam się. Niesie drewniane krzesło

i rolkę mocnej taśmy klejącej. Jurij patrzy na niego w nieodgadniony dla mnie sposób. Chciałabym, żeby zaczął mówić. Chciałabym, żeby coś powiedział. To byłoby lepsze niż ta cisza. Moje ręce zaciskają się na pistolecie.

Matt stawia krzesło i Jurij siada bez zachęty, ostrożnie, powoli. Nie odrywając ode mnie wzroku, zakłada ręce za oparcie krzesła. Żadnego oporu, żadnej walki. Matt zaczyna owijać mu taśmą ręce. Potem kostki. Potem korpus – najpierw mocuje klatkę piersiową do oparcia, potem nogi do siedzenia. Jurij nadal się we mnie wpatruje. W jego wzroku widać pewność siebie, której nie powinno być, przecież jest całkowicie bezbronny, a ja celuję mu prosto w serce.

Kiedy Matt kończy, odkłada taśmę i odwraca się do mnie. Jego twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu. Żadnego strachu, żadnego gniewu, nic. Opuszczam pistolet, ale go nie chowam.

– Możesz iść po ten plik? – pytam, a on kiwa głową i wchodzi na górę. Patrzę za nim z dziwnym poczuciem, że nie powinnam spuszczać go z oczu.

Jurij też się ogląda, lecz zaraz odwraca się z powrotem do mnie. Po jego ustach przemyka kolejny drwiący uśmiezek.

– Myślisz, że dzięki temu sprawa załatwiona?

Na to pytanie czuję ścisk w piersi.

– Owszem, tak właśnie myślę.

Jurij kręci głową. Ogarniają mnie wątpliwości. Ale jeśli znikną dowody, przynajmniej nie trafię do więzienia. Jurij nie zdoła mnie szantażować. Resztą zajmę się później.

Słyszę kroki Matta na schodach i podnoszę głowę. Moje palce zaciskają się na pistolecie, mięśnie spinają się, gotowe do wykonania ruchu. Nie mogę przestać myśleć o tym, jak kilka chwil przedtem zszedł na dół, taki swobodny. Teraz pojawia się w pełni ubrany. Moje spojrzenie natychmiast przesuwają się na jego ręce. Jest w nich tylko cienki plik kartek. Nagle miękają mi nogi.

O czym ja myślę? Przecież to Matt. Rozluźniam zaciśnięte na uchwycie palce i patrzę, jak podchodzi bliżej. Bez słowa podaje mi papiery. Biorę je wolną ręką i spoglądam na pierwszą stronę – rozpoznaję zrzut ekranu. To te same wydruki, które Jurij zostawił nam w skrzynce pocztowej. Ale coś się nie zgadza. To za mało.

– Gdzie reszta? – pytam, podnosząc głowę.

– Reszta?

– Wersja cyfrowa.

Matt patrzy na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Znalazłem tylko to.

Ogarnia mnie rozpacz. Składam kartki na pół i wsuwam je za pas z tyłu spodni. Potem odwracam się do Jurija.

– Wiem, że masz inną kopię. Gdzie ona jest?

Staram się mówić twardo, ale słyszę, jak do mojego głosu zakrada się panika.

Jurij nadal wpatruje się we mnie z lekko drwiącym uśmiechem.

– Oczywiście, że istnieje inna kopia.

Znajdę ją. Nieważne, czym będę musiała mu zagrozić, co muszę mu zrobić. Zbliżam się o krok, a on odchyła głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Ale nie tutaj. Ja jej nie mam.

Lodowacieję.

– Och, Vivian. Myślałaś, że mnie przechytrzyłaś. – Teraz drwina jest już nieukrywana. Protekcyjna. – Przecież ktoś musiał nam przekazać te wyniki wyszukiwania, prawda? Ktoś, kto ma dostęp do Atheny, do wszystkich tajnych informacji. Ktoś wewnątrz.

Czuję mdłości.

– Kopię ma mój przyjaciel. A jeśli cokolwiek mi się stanie, te pliki trafią prosto do FBI.

Pokój wiruje mi przed oczami.

– Kto? – pytam i mój głos brzmi obco, jakby należał do kogoś innego. – Kto ma tę kopię?

Jurij uśmiecha się z zadowoleniem, które budzi we mnie wściekłość. Zniszczenie dowodów to była moja ostatnia szansa. Już nawet zaczęłam wierzyć, że mi się uda.

– To może być blef – mówi Matt, ale się nie odwracam. To nie jest blef. Widzę to po twarzy Jurija.

– Kto? – pytam znowu i przysuwam się o krok, podnoszę pistolet. Na twarzy Jurija nie widać strachu.

Czuję jakieś dotknięcie, od którego wszystkie moje nerwy zdają się stawać w ogniu. Obracam się z pistoletem, ale to tylko Matt, stoi za mną. Trzyma dłoń na moim przedramieniu. Odsuwa się i podnosi rękę.

– To tylko ja – mówi spokojnie.

Nadal w niego celuję. Spogląda na pistolet i z powrotem na mnie.

– Już w porządku, Viv. Lepiej się zastanów. Nie rób nic pochopnie.

Mam wrażenie, jakby mój mózg przestał działać, jakby nie potrafił przetrwać tego, co się tu dzieje. „Nie rób nic pochopnie”.

– On groził Luke’owi – mówię. Odwracam się do Jurija i znowu celuję do niego z pistoletu. – Zabiję go.

Twarz Rosjanina pozostaje niezmienną.

– Na co to się zda? – pyta Matt. Wbijam w niego spojrzenie. On nie chce, żebym zastrzeliła Jurija. Może jest po jego stronie? – Jeśli to zrobisz, niczego się nie dowiesz.

Czy dlatego jest taki spokojny? Ale mimo to zastanawiam się nad jego słowami. Ma rację. Jeśli zabiję Jurija, nigdy się nie dowiem, kto ma drugą kopię. Może wciąż istnieje jakaś iskierka nadziei, jakaś szansa na odnalezienie tych dowodów.

Matt patrzy na mnie współczująco, po czym kładzie mi rękę na ramieniu i łagodnie zmusza mnie do opuszczenia pistoletu.

– Viv, mamy go – mówi cicho. – Nie może już skrzywdzić dzieci.

Wpatruję się w jego twarz i wiem, że ma rację. Jurij jest tutaj, unieruchomiony. Moje dzieci wreszcie są bezpieczne. Jeśli zadzwonię na policję, do końca życia trafi za kratki. To rosyjski szpieg, który kierował siatką agentów. Nawet nie zbliży się do maluchów.

Nagle odnoszę wrażenie, jakby pistolet stał się bardzo ciężki.

– Więc co robimy?

Dzwonimy na policję, choć to by znaczyło, że Matt i ja również spędzimy resztę życia za kratkami?

Na twarzy Matta pojawia się niezdecydowanie.

– Może jeśli po prostu zrobisz to, czego oni chcą, podłączysz tego pendrive’a... – sugeruje i przez jego twarz przelatuje nadzieja, a ja mam wrażenie, jakby ktoś usunął mi podłogę spod nóg. Znowu to? Naprawdę znowu zamierza mnie do tego namawiać? Czemu to dla niego takie ważne?

– To nie zapewni im bezpieczeństwa.

– Jurij powiedział, że...

– Potem będą chcieli czegoś innego. I znowu zaczną grozić dzieciom.

– Tego nie wiesz. Zresztą to kupi nam czas...

Gardło mi się zaciska. Wszystkie te rozmowy o tym, żebym podłączyła nośnik. Matt wydaje się zdesperowany. Czemu tak bardzo go to obchodzi, czemu tak mu na tym zależy, jeśli nie dlatego, że w rzeczywistości należy



do nich?

– I co wtedy? – pytam. – Matt, to jest człowiek, który *groził naszym dzieciom*. Powiedział ci, że zabije Luke’a. Naprawdę chcesz zwyczajnie wypuścić kogoś takiego na wolność?

Matt przestępuje z nogi na nogę, wygląda niepewnie. A ja nie mogę oderwać od niego wzroku. Oczyma duszy widzę, jak schodzi po tych schodach, całkowicie rozluźniony, gotów na pogawędkę z Jurijem.

Przypominam sobie, jak się zaklinał, że nie powiedział Rosjanom nic o Marcie i Treyu. Jak mnie okłamywał. A ja wierzyłam w jego kłamstwa. Wierzyłam, że są prawdą.

Mam wrażenie, jakbym po raz pierwszy ujrzała go takim, jakim jest w rzeczywistości.

Coś w jego twarzy ulega przemianie i znowu odnoszę to nieprzyjemne wrażenie, że on doskonale wie, o czym myślę.

– Ty naprawdę mi nie wierzysz – stwierdza.

Mówię pierwsze, co przychodzi mi do głowy.

– No dobrze, więc załóżmy, że nie mogłeś stąd odejść. Ale coś powinieneś był zrobić, prawda?

Matt obraca na palcu obrączkę.

– Raz próbowałem się do ciebie dodzwonić... Miałaś wyłączony telefon... – Z trudem wydobywa z siebie słowa. – Jurij dowiedział się, co zrobiłem. Wrócił z plecakiem Luke’a. Powiedział, że jeśli czegoś jeszcze popróbuję, to następnym razem...

Plecak Luke’a. Więc dlatego zginął. Byli aż *tak* blisko mojego syna. W jego szkole, w jego klasie. Mieli dostęp do jego szafki, gdzie trzyma drugie śniadanie. Przekaz nie mógłby być jaśniejszy: są w stanie dosięgnąć Luke’a kiedykolwiek i gdziekolwiek zechcą. Patrzą na Jurija, który przygląda się nam z uśmiechem.

Mam ochotę wymiotować. Oczywiście, że po czymś takim Matt niczego już nie próbował. Jak mógłby to zrobić? Życie Luke’a było w niebezpieczeństwie.

Zmuszam się do skupienia. Nie chodzi jedynie o to, że Matt jest w tym domu. Ale o całą resztę. Kłamstwo o Marcie i Treyu. Kolejne sugestie, żebym jednak podłączyła ten dysk.

– Nic, co powiem, nie zdoła cię przekonać, prawda? – pyta.

– Nie wiem. – Wytrzymuję jego spojrzenie, nie ustępuję pola. – Myślę, że bardzo ci zależy, żebym zrobiła to, co on mówi. I staram się zrozumieć

dlatego.

– *Dlaczego?* – Matt patrzy na mnie z absolutnym niedowierzaniem. – Bo znam tych ludzi. Wiem, że nie ma innej drogi. – Wyciąga do mnie rękę, ale nagle rezygnuje. – I dlatego, że nie chcę, żeby coś się stało naszym dzieciom.

Stoimy i wpatrujemy się w siebie. On jako pierwszy przełamuje ciszę.

– Viv, gdybym był po ich stronie, gdyby tak bardzo mi na tym zależało, to czemu po prostu tego nie zrobiłem?

– Czego? – pytam, ale właściwie po to, żeby kupić sobie trochę czasu, bo jego słowa są całkowicie jasne.

– Dałem ci ten pierwszy dysk. A ty go podłączyłaś. Więc po co miałbym się tak męczyć z tym drugim? Przecież sam mogłem ci go od razu dać, prawda?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Ma rację. To nie ma sensu.

– Albo dlaczego cię nie okłamałem? Mogłem ci powiedzieć, że to drobiazg, kolejny reset serwera.

Gdyby to zrobił, usłuchałabym go. Podłączyłabym ten dysk.

– Viv, jestem po twojej stronie – mówi cicho Matt. – Tylko nie mam pewności, czy ty jesteś po mojej.

W głowie czuję całkowity zamęt. Nie wiem, co mam myśleć, co mam robić.

I wtedy nagle mój telefon zaczyna wibrować głęboko w kieszeni. Sięgam po niego i sprawdzam numer. Szkoła Luke'a.

Przecież powinien już tam być. Widać jeszcze nie dotarł. O Boże, co się stało? Trzeba było zadzwonić do rodziców, upewnić się, czy wsadzili Luke'a do autobusu, może nawet poprosić, żeby sami go zawieźli. Powinnam była się upewnić, że nic mu nie jest. Wciskam zielony guzik.

– Halo? – mówię.

– Cześć, mammo.

To Luke. Wypuszczam oddech. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że go wstrzymuję. Kręci mi się przed oczami. A potem zalewa mnie kolejna fala paniki. Dlaczego Luke dzwoni ze szkolnego telefonu?

– Luke, skarbie, co się stało?

– Kazałaś zadzwonić, jeśli go znowu zobaczę.

– Kogo? – pytam odruchowo, ale zanim kończę, znam już odpowiedź.

– Tamtego człowieka. Tego, co zaczepiał mnie pod szkołą.

Nie. To niemożliwe.

– Gdzie go widziałaś?

– Tu, przed chwilą. Stoi na zewnątrz. Przy ogrodzeniu.

To nie może być prawda. Spoglądam na Jurija, który przysłuchuje się rozmowie, wciąż z uśmiechem na ustach.

– Luke... Jesteś pewien, że to on?

– Tak. Znowu ze mną rozmawiał.

Z trudem zmuszam się do kolejnych słów.

– I co powiedział?

Luke zniża głos i słyszę w nim drżenie.

– Kazał ci przekazać, że czas się kończy. Mamo, co to znaczy?

Ogarnia mnie prawdziwa panika. Spoglądam na Matta i wiem, że słyszał rozmowę. Na jego twarzy widać przebłysk zwierzęcej furii i w tej chwili Matt na powrót staje się moim mężem, człowiekiem, który zrobi wszystko, żeby nas ochronić, żeby zapewnić naszej rodzinie bezpieczeństwo.

– Idź – mówię do niego, zakrywając słuchawkę ręką. Matt spogląda na Jurija, a potem na mnie, wydaje się nieprzekonany. – Ja sobie poradzę. Idź zająć się Lukiem.

Nigdy by nie pozwolił, żeby ktokolwiek skrzywdził dzieci; co do tego nie mam wątpliwości. Patrzymy na siebie, a potem Matt wyjmuje mi z ręki telefon.

– Luke, zostań tam, gdzie jesteś – mówi. – Nie ruszaj się z miejsca, młody. Zaraz tam będę. Tata już po ciebie jedzie.

## Rozdział 20

Drzwi zamykają się za Mattem i zapada cisza. Cała drzę, kotłują się we mnie strach, gniew i desperacja. To się nie skończy posłaniem Jurija za kratki. Teraz, kiedy wiem, że ktoś inny jest pod szkołą Luke'a, to jasne jak słońce. Ktoś inny wie już o wszystkim. Ktoś inny stanowi zagrożenie.

Telefon na policję nie zapewni moim dzieciom bezpieczeństwa.

Czy cokolwiek zdoła to zrobić?

Jurij przygląda mi się z rozbawieniem. Nachylam się i patrzę mu prosto w oczy.

– Kto grozi mojemu synowi? – pytam w sposób, który brzmi przerażająco nawet dla mnie. Jak mogłam się tak mylić? Jeśli w pracy nauczyłam się choć jednej rzeczy, to jest nią niezakładanie niczego z góry. A przecież właśnie to zrobiłam. Usłyszałam coś o jakimś mężczyźnie z dziwnym akcentem i uznałam, że chodzi o Jurija.

Akcent. Tak właśnie powiedział Luke, prawda? Czy nie dlatego pomyślałam, że to na pewno Jurij? Z trudem przypominam sobie naszą rozmowę i dokładne słowa syna: „Dziwnie mówił”. Boże, przecież nawet nie wiem, czy na pewno chodziło o rosyjską wymowę.

Czy to właśnie ten człowiek wewnątrz, o którym wspomniał Jurij? Nikt, kogo znam, a kto ma dostęp do Atheny, nie ma obcego akcentu. Może chodzi o kogoś postawionego wyżej albo kogoś z działu informatycznego?

A może o kolejnego rosyjskiego agenta?

– Kto groził mojemu synowi? – pytam znowu. Jurij nie odpowiada, patrzy szyderczo. I nagle do głosu dochodzi we mnie instynkt. Mocno uderzam Rosjanina w skroń ręką pistoletu. Jestem tym tak samo zdumiona jak on. Jeszcze nigdy nikogo nie uderzyłam.

– Zabiję cię – mówię i nie żartuję. Gdyby to miało zapewnić bezpieczeństwo moim dzieciom, zabiłabym go bez wahania.

Jurij krzywi się do mnie kpiąco, mrużąc oczy. Na jego czole już teraz pojawia się obrzęk. Od siły uderzenia głowa odskoczyła mu do tyłu i kołnierzyk jego koszuli się rozsunał. Spod spodu wysuwa się wisiołek na złotym łańcuszku, błyszczy w świetle. Jakiś wymyślny krzyżyk.

– Czemu nie? – pyta Jurij. – Nie masz nic do stracenia.

Gotuje się we mnie wściekłość.

– Kto? – pytam i przykładam mu lufę do skroni. Ktokolwiek to jest, pewnie zniknie, zanim Matt zdąży tam dojechać. Jak my go znajdziemy?

– To może być jedna z wielu osób. Mam mnóstwo przyjaciół, którzy chętnie mi pomogą. – Jurij parska śmiechem. Bawi się ze mną. Odwracam się od niego, żeby nie widział mojej twarzy, nie dostrzegł rozpacz i przerażenia, jakie czuję.

„Mnóstwo przyjaciół”. W mojej głowie krąży niewyraźna myśl, z wolna układająca się w coś konkretnego. Kimkolwiek jest kontakt Jurija w CIA, zna tożsamość Matta. Ale jeśli rosyjska siatka jest tak podzielona, jak nam mówiono, to czy nie powinni tego przed nim zataić?

I co z tymi wszystkimi agentami na moim weselu? Tylu śpiochów zebranych w jednym miejscu i w jednym czasie. Może jednak istnieje między nimi o wiele więcej połączeń, niż nam się wydaje. Może pomyliliśmy się co do tego, jak działa cała siatka. Może...

*Dmitrij Dyndałka.* Jego nazwisko pojawia się nagle w mojej głowie i przesłania wszystko inne. Dmitrij Dyndałka, który sam oddał się w nasze ręce i twierdził, że w Stanach są dziesiątki komórek szpiegowskich. Myśleliśmy, że to podwójny agent, podstawiony przez Rosjan, żeby karmić nas fałszywymi informacjami. Ale przecież miał rację. Jeśli wszyscy na moim weselu byli agentami, to miał rację.

*Mówił prawdę.*

Przeszukuję pamięć, usiłując sobie przypomnieć, co jeszcze powiedział. Jakie inne wskazówki nie pasowały do tego, co już wiedzieliśmy, więc je zignorowaliśmy, uznaliśmy za fałszywe tropy?

Dmitrij mówił, że łącznicy zawsze mają przy sobie listę agentów. Zawsze, przez cały czas.

Spoglądam na Jurija. W mojej głowie kłębią się myśli, umysł dopasowuje do siebie elementy układanki, o której istnieniu nawet nie wiedziałam. Zatem łącznicy zawsze mają przy sobie informacje o agentach. I jeszcze coś, co zawsze uznawaliśmy za fakt dzięki naszym pozostałym źródłom: te informacje przechowywane są w formie elektronicznej. Coś w mojej głowie nagle zaskakuje.

Czy to może być prawda? Przenoszę wzrok na twarz Jurija i wciągam powietrze. Tak. Widzę to w jego oczach – świadomość, że ja *wiem*. Wyraz jakiejś bezradności, takiej samej, z jaką i ja zmagam się już od tygodni. Jurij jest przywiązany do krzesła, nie może tego ukryć, nie może tego

zasłonić. Drwiący grymas znika z jego ust.

Robię krok w jego stronę, potem kolejny, aż w końcu stoję nad nim, a on zadziera głowę, żeby na mnie spojrzeć, bezsilny i bezbronny. Widzę rosnący w jego oczach strach. Biorę wisiorek, spoglądam na niego, na kontur złotego krzyżyka, na jego rozmiary. Odwracam go i dostrzegam cztery maleńkie śrubki.

Zaciskam na nim pięść. Spoglądam Jurijowi w oczy i jednym silnym szarpnięciem zrywam wisiorek. Szyja Rosjanina gwałtownie się kołysze, łańcuszek pęka i pozostaje w mojej ręce.

– To właśnie to, prawda? – pytam, lecz zanim mam czas coś dodać, słyszę za sobą jakiś dźwięk, odbezpieczany pistolet.

## Rozdział 21

Nieruchomieję. Ktoś wszedł do domu, a ja tego nie słyszałam. Po wyjściu Matta nie zamknęłam drzwi na zamek.

Jurij wyciąga szyję, żeby spojrzeć poza mnie, na drzwi. Oczy ma utkwione w kimś, kto właśnie pojawił się w środku. Po jego twarzy widać, że rozpoznaje osobę, która właśnie się zjawiała. A na jego ustach wolno wykwita uśmiech. Ogarnia mnie panika. Ja zginę, zginę tu i teraz.

Nieruchomieję, czekając na strzał. Nie mogę się zmusić, żeby się odwrócić, żeby spojrzeć na człowieka, który mnie zabije.

Jurij uśmiecha się teraz szerzej. Widzę jego zęby, poźółkłe i krzywe z jednej strony. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć.

– Cześć, Peter. Miło cię widzieć.

Peter.

Słyszę to imię, ale wydaje mi się nierzeczywiste. To nie może być prawda. Odwracam się powoli. Spodnie w kant, wsuwane buty, okulary – i wycelowany we mnie rewolwer. Peter. Mimowolnie rzucam pistolet, podnoszę ręce i się cofam.

Omar mówił, że w kontrwywiadzie jest wtyczka, że chodzi o kogoś, kto ze mną pracuje. A Jurij – że zwerbował kogoś z dostępem do Atheny. Powinnam była połączyć wszystko w jedną całość.

Ale Peter? *Peter*?

– Vivian, znasz już chyba Petera? – mówi Jurij i wybucha szaleńczym, maniackim śmiechem. Podoba mu się cała ta sytuacja.

Nadal nie odrywam wzroku od Petera. On opuszcza rewolwer do boku; trzyma ramię pod dziwnym kątem, jakby nie do końca wiedział, co zrobić z bronią.

– Te rzuty ekranu, które zabrałaś – ciągnie Jurij. – Mówiłem ci, że one nie mają znaczenia. Bo nasz kolega Peter ma inną kopię. Prawda, Peter?

– Jak mogłeś? – szepczę, nie zwracając uwagi na Jurija. Cała moja uwaga jest skupiona na Peterze.

On patrzy na mnie, mrugając, nie odzywa się.

– Muszę powiedzieć, że masz doskonałe wyczucie czasu – stwierdza

Jurij. – Właśnie o tobie mówiłem.

Peter nie odrywa ode mnie wzroku. Nie jestem pewna, czy słyszał, co powiedział Jurij.

– Kiedy nie pojawiłaś się rano w pracy, miałem przeczucie, że może jesteś tutaj – mówi.

Peter jest wtyczką. To on pracował z Rosjanami, pomagał im mnie szantażować.

– Jak mogłeś? – powtarzam.

Peter wolną ręką podsuwa okulary na nosie, otwiera usta, żeby coś powiedzieć, i na powrót je zamyka. Odchrząkuje.

– Katherine.

*Katherine.* No tak. Katherine to jedyne, co liczyło się dla niego bardziej niż jego praca, jego kraj. Peter ściąga okulary i ociera oczy wierzchem dłoni, tej z bronią. Rewolwer przesuwa się w powietrzu, lufa kieruje się to tu, to tam. Nie jestem pewna, czy Peter w ogóle pamięta, że ma w ręce broń. Ale palec wciąż trzyma na spuście.

– Te testy kliniczne... – mówi, wkładając okulary z powrotem i poprawiając je na nosie. – Nie zakwalifikowała się.

*Nie zakwalifikowała się?* Wbijam w niego wzrok, czekając na ciąg dalszy. Jurij milknie na krześle za mną.

– Miała co najwyżej dwa miesiące życia. Nie potrafię opisać, jakie to uczucie, usłyszeć takie wieści... – Głos mu drży. Peter kręci głową, odchrząkuje. – Jednego dnia była zdrowa. Mieliśmy przed sobą całe życie. A następnego taki cios. *Dwa miesiące.*

Czuję ukłucie współczucia, które natychmiast ustępuje. To nie jest Peter – mój mentor, mój przyjaciel. To ktoś, kto stoi przede mną z rewolwerem, gotów mnie zabić.

Peter mruga i znowu się we mnie wpatruje.

– I wtedy ktoś pojawił się pod naszym domem. Jeden z nich. – Kiwa głową w stronę Jurija. Jego głos jest pozbawiony emocji. – Obiecał, że zdobędzie dla nas eksperymentalne leki, jeśli zgodzę się dla nich pracować.

– Więc się zgodziłeś – mówię.

Peter wzrusza ramionami, to gest beznadziei. Gest wstydu. Przynajmniej tyle.

– Wiedziałem, że źle robię. Oczywiście, że wiedziałem. Ale on oferował mi najcenniejszą rzecz na tym świecie. Czas. Czas z osobą, która była dla mnie wszystkim. Jak można coś takiego wycenić? Jak można odmówić?



Jego głos brzmi błagalnie, jakby Peter potrzebował, żebym go zrozumiała, żebym mu wybaczyła. W pewien sposób tak jest. Nie chcę się do tego przyznawać, ale to prawda. Uderzyli go w najczulsze miejsce. Tak samo jak mnie.

– Nigdy nie powiedziałem o tym Katherine. Ona by się nie zgodziła. Powiedziałem jej, że ostatecznie dopuścili ją do badań. Ślubowałem sobie, że kiedy będzie już po wszystkim, to się przyznam. Powiem, co dokładnie przekazałem Rosjanom. Naprawię, co zepsułem.

Czuję, jak coś się we mnie budzi. Nadzieja? Bo przecież teraz wszystko skończone. Katherine nie żyje.

– Leki podziałały, przynajmniej na jakiś czas. – Jurij zamienia się w słuch, jakby też słyszał to wszystko po raz pierwszy. – A potem on dał mi ten dysk. Kazał mi go podłączyć do komputera w pokoju z ograniczonym dostępem. – Peter znów podsuwa okulary na nosie. – Odmówiłem. Powiedzieć im o problemach Marty z alkoholem albo o chłopaku Treya to jedno. Ale dać im dostęp do naszego systemu... ujawnić tożsamość agentów, którzy pracują dla nas w Rosji... Nie mogłem tego zrobić. – Zaciska zęby. – Wtedy zagroził, że odetnie dostawy leków. I to zrobił. Zmarła cztery tygodnie później.

Otwieram usta i wypuszczam powietrze. Jeszcze raz ogarnia mnie współczucie, wyobrażam sobie, jak Peter cierpiał przez ten czas, wiedząc, jaka będzie cena jego decyzji. A potem czuję kolejną falę nienawiści do tych ludzi. Do tych potworów.

– Oni myślą, że nic nie powiem – mówi dalej Peter. – Że nie ma mowy, bym teraz na nich doniósł, bo zapewniłbym sobie dożywocie. Ale nie rozumieją, że moje życie nie ma już żadnej wartości.

Jurij wygląda, jakby ktoś go uderzył. Jest osłupiony, nie może wydusić z siebie ani słowa.

Peter nie zwraca na niego uwagi. W jego oczach widać łzy.

– Nie chciałem tego ciągnąć, ale musiałem. Musiałem naprawić to, co zrobiłem. – Głos mu drży. – A zwłaszcza to, co zrobiłem tobie.

– Mnie? – pytam prawie bezgłośnie.

– Powiedziałem im, że prawie zdołaliśmy się włamać do komputera Jurija. Domyślałam się, że to wtedy wrzucili tam zdjęcie Matta, żebyś je znalazła.

To ma sens. To by tłumaczyło, dlaczego pliki nie zostały zaszyfrowane. I dlaczego nie było tam nic poza fotografiami. To było ukartowane.

Od początku wiedzieli, jak się zachowam. Że nie doniosę na Matta. Że będą mogli mnie zmanipulować. Wiedzieli o tym, zanim jeszcze stanęłam przed tą decyzją.

– To przeze mnie się w to wplątałaś – mówi cicho Peter.

Powinnam coś powiedzieć, ale nie wiem co, nie mogę znaleźć odpowiednich słów. Przygniata mnie nadmiar informacji.

I nagle widzę, jak Peter skupia wzrok na czymś za mną. Na jego twarzy pojawia się maska strachu.

– Rzuć rewolwer – słyszę. To głos Matta.

Odwracam się i rzeczywiście: Matt stoi tuż przy wejściu do salonu. Za nim widzę uchylone drzwi z kuchni na taras. Zakradł się od tyłu. W ręce ma opuszczony pistolet. Wbija spojrzenie w Petera.

Słyszę w głowie dudnienie. Mam wrażenie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę, nic z tego nie ma sensu. Przecież Matta w ogóle nie powinno tu być. Miał jechać do szkoły, odebrać naszego syna, żeby nic mu się nie stało.

– Gdzie Luke? – pytam. – Dlaczego tak szybko wróciłeś?

Matt nie patrzy na mnie. Nie jestem pewna, czy w ogóle mnie słyszał.

– Matt, gdzie jest Luke?

– Zadzwoń do twoich rodziców. Już po niego jadą.

Skąd wiedział, że są u nas rodzice? I dlaczego sam nie pojechał? Nic tu się nie zgadza.

– Ale dlaczego? – pytam z trudem.

– Są bliżej. Szybciej tam dojadą. – Matt patrzy na mnie uspokajająco. – Zgodzili się bez problemu. A ja nie mogłem zostawić cię tu samej. No dalej, Peter. Mów.

Ale Peter milczy. Dłonie ma zaciśnięte przed sobą, rewolwer leży pod jego nogami. Patrząc na Jurija, który powoli orientuje się w sytuacji. Strach sprzed kilku chwil znika, zastąpiony teraz wyrazem samozadowolenia, który mnie przeraża, choć nie do końca rozumiem dlaczego.

– *Mów dalej* – rozkazuje znowu Matt. Głos ma napięty, jakby zaraz miały mu puścić nerwy.

– Jurij mówił prawdę, Vivian. Skopiowałem rezultaty wyszukiwania, zanim system się zresetował. To przeze mnie cię szantażują. – Rysy Petera twardnieją. – Ale co do jednego się myli. Nie mam zapasowej kopii.

Sięga do kieszeni i Matt podnosi broń.

– Matt, przestań – wtrącam. Słyszę panikę w swoim głosie.

– W porządku – mówi Peter. Wyciągnął już coś z kieszeni, coś małego. –

To tylko to.

Pokazuje nam USB na srebrnym breloku. Wpatruję się w niego, patrzę, jak kołysze się w powietrzu w przód i w tył, czekam na wyjaśnienia. Bo musi istnieć jakieś wytłumaczenie. Ufam Peterowi. Od lat był moim mentorem.

– To zdjęcia, które znalazłaś, bez Matta. Nic więcej nie zachowałem. – Peter wyciąga do mnie nośnik. – Nie ma żadnego dowodu, że kiedykolwiek je widziałas. Nic, czym mogą cię szantażować.

Robi krok w moją stronę, dysk nadal zwisa mu z dłoni.

– Zrób z tym, co zechcesz. Z piątym śpiochem też. – Rzuca szybkie spojrzenie w stronę Matta. – Wierzę, że podejmiesz słuszną decyzję, Vivian, cokolwiek postanowisz. Ale nie pozwolę, by manipulowali tobą tak jak mną.

Odrywam od niego wzrok i przenoszę go na pendrive'a. Potem wyciągam rękę i biorę dysk. Matt obserwuje mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Słowa Petera dźwięczą mi w uszach. „Wierzę, że podejmiesz słuszną decyzję, Vivian, cokolwiek postanowisz”.

Spuszczam oczy na pistolet w dłoni Matta. Nagle przypominam sobie pudełko na buty w naszej garderobie i odkrycie, że broń zniknęła. I coś do mnie dociera.

– Miałeś go przez cały ten czas. – Słowa wylewają się ze mnie, zanim zdążam je przetworzyć, przefiltrować.

– Co?

– Dlaczego nie zastrzeliłeś Jurija? Dlaczego tu zostałeś?

– Chryste, Viv, czy ty mówisz poważnie?

– Mówiłeś, że nie jesteś pewien, czy dałbyś mu radę. A przecież miałeś *pistolet*.

– Nie jestem mordercą. – Matt spogląda na mnie z niedowierzaniem. – I na co by się to zdało?

– On groził naszemu synowi. Przyniósł ci *plecak* Luke'a.

Patrzę, jak na jego twarzy pojawia się uraza.

– Boże, Vivian, co ja mam zrobić, żebyś mi wreszcie zaufała?

Nie umiem na to odpowiedzieć. Gapimy się na siebie bez mrugnięcia okiem i widzę, jak Matt zaciska zęby, jego nozdrza nadymają się odrobinę.

Jakiś dźwięk odwraca moją uwagę. Jurij zaczyna chichotać.

– To lepsze niż film – mówi ze śmiechem. „On sądzi, że Matt jest po jego stronie”, mówię do siebie. To odkrycie uderza we mnie jak policzek, czuję,

że brak mi tchu.

I nagle uśmiech Jurija znika jak zdmuchnięty płomyk. Jego twarz przybiera kamienny wyraz.

– Jutro chłopiec zginie – oświadcza Rosjanin, wwiercając we mnie spojrzenie. Te słowa wysysają z pokoju całe powietrze, są tak nieoczekiwane, tak *straszliwe*. – Jeśli tego nie zrobisz, jutro Luke zginie.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że mówi poważnie. Nagle istnieją tylko ja i on, człowiek, który zamierza zabić moje dziecko. Jestem jak sparaliżowana, nie mogę oderwać wzroku od jego twarzy.

– A potem zabiję kolejne. Może Ellę. – W jego oczach pojawia się wyraz, od którego przewraca mi się w żołądku. – Choć robi się z niej całkiem ładna dziewczuszka. Może zachowam ją na sam koniec. Zaczniemy od bliźniaków, a ona niech jeszcze trochę podrośnie...

W oczach mi ciemnieje, cała siła opuszcza moje ciało. Jakoś udaje mi się odwrócić do Matta, do jedynej osoby, która może być w stanie zrozumieć głębię mojego przerażenia. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, ale z moich ust wydobywa się jedynie zduszony, błagalny, udręczony jęk.

Coś w twarzy Matta się zmienia. Pojawia się na niej zdecydowanie i nagle jakimś sposobem wiem, co się zaraz stanie. Patrzę, jak podnosi broń.

Rozlega się wystrzał.

Dzwoni mi w uszach; wszystko jest stłumione, niewyraźne. Echo wystrzału rozbrzmiewa w mojej głowie. Mrugam i próbuję się skupić. To się nie dzieje naprawdę. To nie może się dziać naprawdę. Matt wypuszcza pistolet. Unosi ręce, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Na jego twarzy pojawia się coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam. Odraza i niedowierzanie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że jest zdolny do tego, co właśnie zrobił. Z trudem łapie oddech.

Jurij osuwa się bezwładnie na krześle. Pośrodku jego koszuli rozchodzi się ciemna plama krwi, która zabarwia tkaninę.

Sekundę potem dochodzi do mnie rzeczywistość. Matt właśnie kogoś zabił. Mój mąż odebrał komuś życie. Jurij był potworem, ale mimo wszystko chodzi o człowieka.

– Musicie stąd uciekać. – Głos Petera. Prawie go nie słyszę przez dźwięczenie w uszach i gwałtowne uderzenia serca. – FBI depcze mi po piętach. Zaraz tu będą.

FBI. Tutaj. O mój Boże.

– Musicie stąd iść – powtarza Peter, tym razem bardziej nagłaco. Schyla się i podnosi broń Matta.

Muszę się stąd zbierać. Ale nie mogę się ruszyć.

I nagle za mną rozlega się jakiś dźwięk, walenie. Głośny huk, potem drugi, i wreszcie drzwi ustępują. Do środka wpadają postaci w ciemnych strojach, przykucnięte, z wycelowanymi karabinami.

– *FBI! Ręce do góry!* – krzyczą.

Podnoszę wysoko ramiona. Widzę kamizelki kuloodporne z dużymi literami FBI. Lufy karabinów celują w Petera i we mnie.

Tylko w Petera i we mnie. Matt zniknął.

– *Rzućcie broń!*

Patrzę na agentów i rozpoznaję wśród nich jedną twarz. Omar. Celuje w Petera, krzyczy. Wszyscy krzyczą.

– *Rzućcie broń! Rzućcie broń!*

Peter nadal trzyma w dłoni pistolet Matta, rękę ma spuszczoną, znowu pod tym samym dziwnym kątem. Twarz ma nieodgadnioną. Kolejne krzyki, kolejne polecenia, żeby rzucił broń i podniósł ręce. A potem ponad tym wszystkim rozlega się głos Petera:

– Dajcie mi coś powiedzieć. *Dajcie mi coś powiedzieć.*

Krzyki się uciszają. Agenci nieruchomieją, wszyscy w pozycjach strzeleckich, z wyciągniętymi przed siebie ramionami i wycelowanymi karabinami – dwa wymierzone są w Petera, jeden we mnie. Peter też to widzi.

– Ona nic nie zrobiła – mówi. Jest spokojny, zdumiewająco spokojny. – Znalazła się tu przeze mnie. Kazałem jej tu przyjść, żeby usłyszała moje wytłumaczenie.

Karabin nadal we mnie celuje.

– W porządku, ona jest od nas – mówi Omar. Po chwili najłżejszego wahania lufa kieruje się gdzie indziej.

– Peter, rzuć broń – rozkazuje Omar.

– Muszę coś powiedzieć – mówi Peter, kręcąc głową. – Musicie mnie wysłuchać. – Okulary znowu zjeżdżają mu na nosie, ale teraz ich nie poprawia, tylko nachyla głowę, patrzy ponad oprawkami. – To ja to zrobiłem – ciągnie, pokazując ręką krzesło. – To ja zabiłem tego człowieka. Nazywa się Jurij Jakow. To rosyjski agent. – W jego oczach widać desperację. – Pracowałem dla niego. To ja byłem wtyczką.

Omar wydaje się całkowicie oszołomiony. Mój wzrok biegnie z powrotem do pistoletu w rękach Petera.

– Powiedziałem Rosjanom o swoich kolegach. To przeze mnie próbowano zwerbować Martę i Treya. Innych może też. Wyjawiłem, że zajmujemy się Jurijem. Że wkrótce uzyskamy dostęp do jego komputera. – Jego czoło jest wilgotne; pot odbija światło i połyskuje. – A potem podłączyłem dysk USB do komputera w pokoju z ograniczonym dostępem. Wykasowałem historię z serwerów CIA.

Wstrzymuję oddech. Przypominam sobie tamten dzień i jak wpadłam na Petera w drzwiach. Więc on wiedział. A teraz bierze na siebie winę. Chroni mnie.

I nagle coś do mnie dociera: Peter nie bez powodu przyznaje się do wszystkiego właśnie teraz, właśnie tutaj. Nie bez powodu nie chciał puścić broni.

– *Nie!* – krzyczę.

– Przepraszam – szepcze Peter, nadal nie odrywając ode mnie wzroku. Potem podnosi pistolet.

Wszystko widzę, wszystko słyszę. Krzyki. Grad pocisków. Peter padający przede mną na podłogę, wokół niego rozkwita plama krwi.

Krzyk, z początku stłumiony, a potem głośniejszy, w miarę jak wraca mi słuch, aż wreszcie zdaję sobie sprawę, że to ja.

## Rozdział 22

Siedzę na brzegu kanapy w salonie Jurija, wpijając palce w poduchy po obu stronach – zanadto wypchane, tkanina jest w byle jakim brązowym kolorze. Na zewnątrz wyją syreny policyjne, jest ich kilka, niezsynchronizowane, brzmią jak kakofonia. I migoczące światła; odbijają się na ścianie – mały spektakl roztańczonych czerwonych i niebieskich plam. Patrzę na nie, bo inaczej musiałabym patrzeć na prześcieradła zakrywające ciało Petera, a tego bym nie zniosła.

Omar siedzi obok, blisko, ale nie za blisko. Czuję na sobie jego wzrok. Jego – i pozostałych agentów w mieszkaniu, teraz jest ich cały zastęp. Wszystko oznaczają, fotografują, kręcą się dookoła i rozmawiają, rzucając mi ukradkowe spojrzenia.

Wydaje mi się, że Omar czeka, aż pierwsza się odezwę, ale ja z kolei czekam na niego. Czekam, aż poinformuje mnie, że mam prawo zachować milczenie, a wszystko, co powiem, może zostać wykorzystane przeciwko mnie. Złożone wydruki, które mam za pasem, palą mnie w skórę – jeśli ktoś je znajdzie, mogę do końca życia trafić za kratki.

– Przynieść ci coś? – pyta wreszcie Omar. – Może wody?

Kręcę głową. Wzrok nadal mam wbity w światelka na ścianie. Próbuje uporządkować sobie wydarzenia, nadać im jakiś sens. Jestem w posiadaniu jedynej kopii dowodów; Peter zniszczył resztę. Jurij nie żyje, nie może mnie o nic oskarżyć. No i Peter wziął na siebie mój największy błąd – podłączenie tamtego nośnika.

– Wiesz, w końcu będziemy musieli o tym porozmawiać – mówi łagodnie Omar.

Kiwam głową, zastanawiając się intensywnie. Rozmawia ze mną jak z przyjaciółką czy koleżanką z pracy? A może podejrzaną? Mogłabym udawać, że dopiero teraz się dowiedziałam, że Matt to rosyjski agent – Jurij mi o tym powiedział. Niech FBI zajmie się tą sprawą. To szansa, żeby wszystko naprawić. Donieść na Matta, jak powinnam zrobić od razu. On by to zrozumiał. Od początku mówił, że bym to właśnie zrobiła.

Ale... „Jutro Luke zginie”. Jeśli nie wsunę tego dysku, zaatakują mojego syna. Nie mam pojęcia, kto mu zagraża, i nie mogę powiedzieć o tym FBI,

nie mówiąc też całej reszty, co zdradziłoby mój udział w sprawie. Nie mogę iść do więzienia w momencie, kiedy Luke'owi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie wierzę, że FBI znajdzie człowieka, który ma go zabić. Nie zdążą na czas.

– Może zaczniesz od tego, co tu robisz? – naciska Omar.

Odwracam głowę i moje spojrzenie mimowolnie zatrzymuje się na prześcieradle zakrywającym ciało Petera. Omar podąża za moim wzrokiem i kiwa głową, jakbym już odpowiedziała na jego pytanie.

– Tamten telefon. To on do ciebie dzwonił?

Nie odrywam spojrzenia od prześcieradła. Nie jestem pewna, jak odpowiedzieć. Potrzebna mi historia, która będzie pasować do wszystkiego, co tu zaszło. Potrzebny mi czas, żeby to sobie przemyśleć, ale właśnie czasu brakuje mi najbardziej.

– A może Jurij?

Mrugam. Która wersja będzie najbardziej wiarygodna? Co mu mówiłam o tym telefonie? Próbuję sobie przypomnieć. „Do tej siatki należy pewna osoba. Pewna bliska mi osoba”.

– Vivian – mówi Omar głosem tak łagodnym, że niemal czułym. – Nie powinienem był przekazywać ci żadnych informacji, nie wiedząc, co się dzieje.

– W porządku – mówię, zająkując się. Ile on wie? Co ja mu wtedy powiedziałam?

– Powinienem zdać się na intuicję, domyślić się, dlaczego o to wszystko prosiłaś. – Kręci głową.

– Prosiłam cię o przysługę.

Omar odwraca głowę, znowu patrzy na prześcieradło. Jego twarz wykrzywia się w wyrazie bolesnego smutku. Przecież Peter był także jego znajomym.

– Próbowałaś mu pomóc – stwierdza.

Przełykam ślinę. *Teraz*. Muszę coś powiedzieć.

– On był moim mentorem. Moim przyjacielem.

– Wiem. Ale był też zdrajcą.

Kiwam głową. Zaraz zacznę płakać, jeszcze chwila, a emocje wezmą górę.

– Obserwowaliśmy go. Podejrzewaliśmy, że to on jest kretem. Patrzyliśmy, jak tu wchodzi. A potem usłyszeliśmy wystrzał... Co mówił, zanim się pojawiliśmy? Czy wyjaśnił, *dlaczego* to zrobił?



– Katherine – odpowiadam. – Oni wykorzystali Katherine. – Więcej nie potrafię z siebie wydusić. Potem będzie mnóstwo czasu, żeby dokładniej to wyjaśnić. Bo tę część chcę, *muszę* wyjaśnić. Peter nie był złym człowiekiem. Oni go zmanipulowali, przymusili. Posłużyli się tym, co było dla niego najważniejsze na całym świecie.

– Zawsze uderzają w najczulsze miejsce – mruczy Omar.

Słyszę wycie syren na zewnątrz.

– Od początku planował wszystko naprawić – mówię. – I właśnie to próbował teraz zrobić.

Przeszywa mnie dreszcz. Udało mu się, prawda? W każdym razie jeśli chodzi o mnie. Wziął na siebie moje największe przestępstwo, reset serwerów. Zataił kwestię Matta. I nawet przekazał mi te cztery zdjęcia, które wykasowałam i z których powodu miałam tak straszne poczucie winy.

Zdjęcia. Pendrive. Klepię się po kieszeni, żeby je namacać. Wyciągam i podaję Omarowi.

– Dał mi to. Powiedział, że są tu zdjęcia uśpionych agentów Jurija.

Omar wbija spojrzenie w USB. Waha się, po czym bierze go, patrzy przez chwilę i wzywa kolegę. Już po kilku minutach na stoliku przed nami stoi laptop i Omar podłącza pendrive'a. Patrzę, jak na ekranie pojawiają się zdjęcia: kobieta z pomarańczowymi lokami, mężczyzna w okrągłych okularach, pozostała dwójka. To te cztery, które wykasowałam. Są wszystkie. Ale bez Matta.

– Cztery? – słyszę innego agenta. – Tylko cztery?

– Dziwne – mówi pod nosem Omar. – Powinno ich być pięć, prawda?

Patrzy na mnie.

Spoglądam na ekran i przytakuję rozkojarzona. Rozmowa agentów dociera do mnie niewyraźnie. Zastanawiają się, co to znaczy, że zamiast pięciu zdjęć są jedynie cztery, i jak to wytłumaczyć. Może jeden śpioch zginął. Przeszedł na emeryturę. Może siatka nie jest tak rozbudowana, jak myśleliśmy.

Czuję, że Omar mi się przygląda. Obrzuca mnie przeciągłym, pełnym napięcia spojrzeniem. Pod jego wpływem zaczynam się denerwować.

Kolejne rozmowy, kolejne dyskusje, aż w końcu jakiś agent zabiera laptopa i znika. Pozostali również się rozchodzą.

– Pozwolę ci wrócić do domu – mówi Omar. Spuszcza głos. – Ale jutro, Vivian... Jutro wszystko mi powiesz. *Wszystko*. Czy to jasne?

Jutro. „Jutro Luke zginie”. Kiwam głową, bo w tej chwili nie potrafię wydobyć z siebie żadnego słowa.

Omar nachyla się do mnie i patrzy mi badawczo w oczy.

– Wiem, że nie mówisz mi całej prawdy.

Kiedy docieram do domu, nadal jestem w szoku. Odgłosy wystrzałów w moich uszach nie chcą ucichnąć. Wciąż widzę przed sobą twarz Petera w momencie, kiedy powiedział „przepraszam”, kiedy podniósł pistolet i padł na podłogę. Ale przede wszystkim słyszę słowa Jurija, groźbę pod adresem mojego syna.

Gdy wchodzę, Matt stoi w przedpokoju i widok jego tutaj, w naszym domu, wydaje mi się zgrzytem. Jakby tu nie pasował, jakby znalazł się na niewłaściwym miejscu. Staję nieruchomo i gapimy się na siebie w milczeniu, żadne z nas nie wykonuje żadnego ruchu.

– Dlaczego nie odeszłaś, kiedy Peter ci kazał? – pyta wreszcie Matt.

– Nie mogłam. – Przypominam sobie, jak agenci wdarli się do środka, a ja odwróciłam się i zobaczyłam, że Matt zniknął. Patrzę mu badawczo w oczy, jakbym chciała spytać: „Dlaczego uciekłeś beze mnie?”.

– Myślałem, że jesteś tuż za mną. Kiedy wydostałem się na zewnątrz i zdałem sobie sprawę, że zostałaś w środku... byłem przerażony. – Słowa brzmią szczerze, ale w oczach Matta nie do końca widzę ich potwierdzenie.

– Co tam się wydarzyło?

Kręcę głową. Za dużo by opowiadać, w tej chwili nie mam na to siły.

– Dobrze się czujesz? – Jego głos jest pozbawiony wyrazu, jakby odpowiedź niespecjalnie go obchodziła. I nagle zaczynam rozumieć: on mnie obwinia. Obwinia mnie za fakt, że kogoś zabił. I jest na mnie wściekły.

– Tak.

Matt wciąż ma na twarzy ten sam wyraz i już mam powiedzieć coś więcej, kiedy nagle słyszę Elłę.

– Mamusia wróciła! – krzyczy. Wpada do przedpokoju i podbiega, obejmuje mnie za nogi. Kładę jej rękę na głowie, a potem kucam, żeby się z nią zrównać, i daję jej całusa. Podnoszę wzrok i nieco dalej widzę Luke’a. Wypuszczam Elłę, podchodzę do niego i obejmuję go z ulgą. Dzięki Bogu, że nic mu nie jest.

A później w mojej głowie nieproszone znowu zjawiają się słowa Jurija. Przytulam syna jeszcze mocniej.

Wchodzę do salonu. Tata siedzi na kanapie, mama właśnie podnosi się z podłogi. Przed nią rozciąga się imponujące miasteczko z klocków Lego.

– Jesteś, skarbie – mówi. W jej głosie brzmi troska. – Nie mogę uwierzyć, że pracowałaś całą noc. Często cię do tego zmuszają? To niezdrowo tak harować.

– Nieczęsto – odpowiadam.

– I do tego kiedy Luke jest chory – ciągnie mama, kręcąc głową. Spoglądam na syna stojącego z pochyloną głową i na Matta w kuchni, który wzrusza lekko ramionami, nie patrząc mi w oczy. Ale pewnie to kłamstwo było konieczne. Musieli jakoś wytłumaczyć przed rodzicami wcześniejszy powrót Luke'a ze szkoły. Zapada niezręczna cisza, wszyscy tylko stoją i patrzą na siebie nawzajem.

– No cóż – mówi wreszcie mama. – Teraz, kiedy Matt jest już w domu, pora chyba, żebyśmy wrócili na własne śmieci.

Uśmiecha się do Matta. Mój tata patrzy na niego z sofy, oczywiście bez uśmiechu. Nigdy nie był skory do zapominania uraz, zwłaszcza kiedy chodzi o moje dobro.

Spoglądam na Matta, ale on na mnie nie patrzy. Rodzice nie mogą wyjechać. Jeszcze nie teraz.

– Właściwie... – zaczynam – gdybyście mogli zostać jeszcze nieco dłużej... – Uśmiech mamy blednie, a twarz taty tężeje. Oboje patrzą na Matta, jakby miał się nagle ulotnić. – Jeśli nie możecie, to nie ma sprawy. Wiem, że macie swoją pracę i...

– Oczywiście, że możemy zostać – przerywa mama. – Jeżeli tylko nas potrzebujesz, kochanie. – Jej spojrzenie znowu przenosi się na Matta. Nic nie szkodzi, mogę to naprawić później. Wszystko jeszcze naprawię. – Ale wiesz, tacie i mnie przydałyby się jakieś ubrania na zmianę. Może pojedziemy dziś na noc do Charlottesville i wrócimy rano.

– Przecież możecie zrobić u nas pranie – mówię.

Mama nie zwraca na to uwagi.

– No i dom. Powinniśmy sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Chce po prostu dać nam trochę prywatności.

– Jeśli tak wolicie – odpowiadam. Nie mam siły się spierać. Zresztą bez nich łatwiej mi będzie porozmawiać z Mattem.

Rodzice wyjeżdżają wkrótce potem i znowu zostajemy w szóstkę. Zamykam drzwi na zamek i sprawdzam pozostałe wejścia i okna. Kiedy zaciągam żaluzję, słyszę z kuchni Matta.

– Co dzisiaj zjemy na kolację, księżniczko? – mówi lekkim tonem, ale jego głos brzmi pusto.

– Kluski z serem? – odpowiada głos Elli.

– Na kolację? – upewnia się Matt. Na chwilę zapada cisza i zaglądam do kuchni. Ella kiwa głową i uśmiecha się szeroko.

Matt odwraca się do Luke'a.

– A co ty na to, młody?

Luke spogląda na mnie, jakby czekał, aż zaprotestuję. Kiedy milczę, odwraca się do taty i wzrusza ramionami, unosząc kąciki ust w uśmiechu.

– Dla mnie super.

– No to kluski z serem – mówi Matt, sięgając do kredensu po garnek. W jego głosie pobrzmiwa napięcie i mam nadzieję, że dzieci tego nie słyszą. – Dlaczego by nie?

– Ale z groszkiem? – pyta wesoło Ella, jakby się targowała. To nasz tradycyjny kompromis, kiedy zgadzamy się zrobić kluski z serem na kolację. Musi być do nich groszek.

– Po co nam groszek? – ucisza ją ukradkiem Luke. – Przecież tata już się zgodził.

Ella marszczy brwi.

– Aha.

Caleb zaczyna się wiercić, więc sadzam go w krzeselku i daję mu kilka krakersów. Chase zauważyła to i zaczyna jęczeć, wyciąga do mnie rączki, rozcapierzając pulchne paluszki. Podnoszę go, sadzam na drugim krzeselku i daję mu jego własne krakersy.

Luke i Ella idą do salonu, a ja patrzę, jak Matt krząta się przy kuchni. Stoi plecami do mnie, milczący i spięty. Przypominam sobie, jak mówił: „Nie jestem mordercą”. Ale teraz to już nieprawda. A on obwinia o to mnie.

– Masz mi coś do powiedzenia? – pytam. Widzę, że nieruchomieje, lecz nie odwraca się, nie mówi ani słowa.

Widząc go w takim stanie, czuję jeszcze większą desperację, jeszcze większą beznadzieję. Jak mam się rozprawić z zagrożeniem dla Luke'a, skoro Matt nie chce nawet na mnie spojrzeć ani się odezwać? Jak to możliwe, że tylko krok dzieli mnie od utraty wszystkiego?

– Nie prosiłam cię, żebyś to zrobił – mówię cicho.

Odwraca się nagle z drewnianą łyżką w ręce.

– Ale było jasne, czego oczekiwałaś.

Czego *oczekiwałam*? To nie w porządku. Nie może zwalić całej odpowiedzialności na mnie. Przecież sam słyszał, co Jurij mówił o Elli...

Matt jeszcze bardziej zniża głos.

– Gdybym tego nie zrobił, nigdy już byś mi nie zaufała.

Na te słowa prawie wybucham.

– A *dlaczego* miałabym ci ufać? – mówię tak głośno, że dzieci to słyszą. Luke i Ella cichną w salonie, przerywają zabawę.

– Mamusiu? – pyta ostrożnie Ella. – Tatusiu? Proszę, możecie się nie kłócić?

Matt i ja patrzymy na siebie przez długą chwilę. Potem on kręci głową i odwraca się z powrotem do kuchenki. Nic już nie mówimy.

## Rozdział 23

Karmimy, kąpiemy i kładziemy dzieci do łóżek, po czym popadamy w naszą zwykłą rutynę – Matt sprząta kuchnię, a ja zbieram zabawki w salonie – ale tak naprawdę nic nie jest jak zwykle, bo właśnie przeżyliśmy piekło, dzieci są w niebezpieczeństwie, a mój mąż nawet nie chce na mnie spojrzeć.

Patrzę na niego i widzę czubek jego głowy, małą plamkę, gdzie włosy zaczynają mu się odrobinę przerzedzać. Szoruje coś w zlewie. Przysiadam na piętach.

– Musimy pogadać. – Nie odwraca się. Szoruje dalej. – Matt.

– Co? – Podnosi głowę gwałtownym ruchem i patrzy na mnie, zarazem ostro i z bólem. Potem znowu spuszcza wzrok.

– Musimy porozmawiać o Luke’u – upieram się i słyszę w swoim głosie desperację. – Naprawdę musimy pogadać. Nie poradzę sobie z tym sama.

Jego ręce nieruchomieją, ale Matt nie podnosi głowy. Widzę, jak jego ramiona unoszą się i opadają z każdym oddechem. Skupiam się na punkcie, gdzie włosy mu rzedną – jaka różnica w porównaniu z tym, jak wyglądał dziesięć lat temu, kiedy się poznaliśmy. Ale nie tylko to się zmieniło.

– W porządku.

Zakręca wodę. Szum cichnie i teraz słyszeć delikatne kapanie, kiedy ostatnie krople wpadają do zlewu.

Wypuszczam powietrze, wdzięczna za jego zgodę, i zmuszam się do koncentracji.

– Czy Luke mówił coś jeszcze o tym człowieku, który rozmawiał z nim w szkole?

Matt przerzuca sobie ścierkę przez ramię i wchodzi do salonu. Siada na podłokietniku sofy, cały spięty.

– Wypytałem go o to. Kazałem mu powiedzieć wszystko, co mógł sobie przypomnieć. Na pewno chodziło o rosyjski akcent. Puściłem mu na komórce klipy z różnymi rodzajami wymowy. Nawet się nie zawahał.

Mówi chłodnym tonem. Staram się nie zwracać na to uwagi, skupić się na temacie.

– No dobrze. – Rosyjski akcent. Kolejny rosyjski agent. Gryzie mnie

pewna myśl. Może to kierownik siatki? Czy to możliwe? Czy Jurij mógł wezwać swojego przełożonego? Poprosić go o pomoc?

– Co do wyglądu: ciemnobrązowe włosy, brązowe oczy. Przeciętny wzrost i waga... – To by miało sens. Jurij nie powinien przecież mieć kontaktu z innymi rosyjskimi agentami oprócz swojego szefa. – Ostatnim razem miał na sobie dżinsy, a dziś czarne spodnie. Zapinana koszula. Wisiorek...

*Wisiolek.* Matt mówi dalej, ale jego słowa się rozmywają. Znowu mam natłok myśli w głowie.

– Wisiolek?

Matt przerywa w pół słowa, choć nie wiem nawet, co mówił.

– Tak. Złoty łańcuszek.

Moja ręka mimowolnie przenosi się do spodni, wyczuwam w kieszeni twardy wisiolek. Ale natychmiast cofam dłoń i zaciskam ją razem z drugą na kolanach. Patrzę Mattowi w oczy – czy na mojej twarzy maluje się takie poczucie winy, jakie odczuwam? – i widzę w nich niezrozumienie. Ból. Jakby wiedział, że czegoś mu nie mówię, że niedostatecznie mu ufam.

Wstaje i odwraca się plecami.

– Poczekaj – mówię. Matt przystaje i przez kilka długich chwil nie wiem, co zamierza zrobić. Wreszcie odwraca się do mnie.

– Okłamałem cię, Viv. I naprawdę cię za to przepraszam, z głębi serca. – Broda mu się trzęsie, choć tylko odrobinę. – Ale całymi tygodniami pozwalałem ci się na siebie wściekać. Nie wytrzymam tego na stałe.

– Co to ma znaczyć?

To przypomina pożegnanie, ale jak to możliwe? Przecież najpierw musimy się pozbyć zagrożenia, obronić Luke'a przed niebezpieczeństwem.

– Myślałem, że jesteśmy dość silni, żeby to przetrwać. Ale teraz nie mam pewności. – Matt kręci głową. – Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek mi zaufasz.

Czuję zmieszanie. Czy *powinnam* mu zaufać? Przecież mnie okłamywał, i to przez lata. Ale rozumiem, dlaczego to zrobił. Znalazł się w pułapce. A odkąd odkryłam prawdę, mówił mi wyłącznie prawdę.

Przypominam go sobie w domu Jurija, tuż po prysznicu. Ale był tam, bo nie mógł stamtąd odejść. Bo Luke'owi groziło niebezpieczeństwo. Jedyńm powodem, dla którego w ogóle tam poszedł, była ochrona syna.

Nie porzucił nas, jak się obawiałam. Odszedł, żeby zapewnić bezpieczeństwo naszym dzieciom.

I to nie on powiedział Jurijowi o Marcie i Treyu. Peter się do tego przyznał.

– Ja go zamordowałem, Viv. Zamordowałem go, a ty *wciąż* mi nie ufasz.

Przypominam sobie przerażenie na jego twarzy, kiedy zdał sobie sprawę, że kogoś zabił. I nie chodziło o to, że był to Jurij. Matt zastrzelił *człowieka*.

Zrobił coś, czego będzie żałował do końca życia. I zrobił to dla mnie.

– Przykro mi – szepczę. Wyciągam do niego rękę, ale on tylko na nią patrzy. Nigdy nie byliśmy sobie tak obcy.

Sposób, w jaki Matt na mnie spogląda, ból w jego oczach – są tak silne, że mnie przerażają.

Chyba mu ufam. Powody, by mu *nie* ufać, zdają się ulatniać. A teraz potrzebuję go po swojej stronie. Tak będzie najlepiej dla Luke'a. Dla nas wszystkich.

Wsuwam palce do kieszeni i chwytam wisiołek. Wyciągam go i podaję Mattowi, niemal jak ofiarę, dowód mojego zaufania.

– Zabrałam to Jurijowi tuż przed pojawieniem się Petera.

Nic nie mówi, nadal ma nieufną minę.

Obracam krzyżyk i odnajduję cztery śrubeczki po drugiej stronie.

– Możesz przynieść śrubokręt?

Matt waha się, a potem przytakuje. Wychodzi z pokoju i wraca po kilku minutach ze skrzynką z narzędziami. Wyciągam najmniejszy śrubokręt. Pasuje. Odkręcam wszystkie cztery śrubki, wydaję je i paznokciem podważam krawędzie krzyżyka. Rozdziela się na dwie części. W jednej z nich znajduje się minipendrive. Potrząsam i wypada mi na dłoń. Podnoszę go do światła i spoglądam na Matta.

– Chyba są na nim nazwiska.

– Nazwiska?

– Pięciu agentów Jurija.

Matt patrzy na mnie, jakby nie rozumiał. Nagle do mnie dociera: on nie wie tego co ja. Waham się, ale trwa to zaledwie chwilę.

– Każdy łącznik nosi przy sobie nazwiska pięciu agentów, którymi się zajmuje. Jeśli coś mu się stanie, jego następcą ma je znaleźć, skontaktować się z Moskwą, żeby dostać klucz do szyfru, i przejąć kontakty. W ten sposób chronią tożsamość śpiochów.

Matt marszczy brwi.

– Dlaczego po prostu nie spytają o to Moskwy?

– Bo Moskwa ich nie zna. Nazwiska są przechowywane tylko lokalnie.



Matt milknie i niemal widzę, jak trybiki w jego mózgu się obracają.

– W Moskwie ich nie znają?

Kręcę głową. Widzę, jak dociera do niego prawda.

– Więc kiedy nam powiedziano, że nowy łącznik się z nami skontaktuje...

– Zrobi to jedynie pod warunkiem, że znajdzie te nazwiska – kończę za niego.

– I stąd ten plan awaryjny, żebyśmy sami przywrócili kontakt, jeśli przez rok nikt się nie odezwie.

Kiwam głową.

– Bo jeśli zastępstwo nie zdoła odszukać nazwisk, Rosjanie nigdy już nie zdołają sami się z tobą skontaktować.

– Nie miałem pojęcia – mówi cicho Matt. Delikatnie bierze ode mnie dysk. Trzyma go między kciukiem a palcem wskazującym, przygląda mu się, jakby maleńki pendrive skrywał wszystkie odpowiedzi. Wreszcie kieruje wzrok na mnie. Wiem, że myślimy o tym samym. Jeśli te nazwiska są tutaj, to Mattowi wreszcie nie grozi więzienie.

Jurij nie żyje. Koniec z szantażem. Pięciu agentów zniknęło. Kogokolwiek przyślą z Moskwy, żeby zastąpił Jurija, nie zdoła odszukać śpiorochów. Będzie musiał poczekać, aż sami się z nim skontaktują. A jeśli Matt tego nie robi, wtedy będzie wolny, raz na zawsze.

To by wystarczyło, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo, żeby nikt się nie dowiedział, kim jest Matt i co zrobiłam. Byłoby to słodkie zwycięstwo, gdyby nie wisząca nad nami chmura. Nie ma znaczenia, czy Matt i ja jesteśmy bezpieczni. Ktoś planuje skrzywdzić naszego syna. Nasze dzieci. A ja nie mam pojęcia kto.

I nagle jedna myśl uderza we mnie z taką siłą, że aż brak mi tchu. *Może Luke wie.*

Lobby jest puste, nie licząc strażniczki przy bramkach, która wygląda nieco znajomo. Kiedy się zbliżam, moje kroki rozbrzmiewają w przepastnej przestrzeni. Skanując przepustkę i przechodząc przez bramkę, kiwam kobiecie głową. Odpowiada kiwnięciem, beznamiętnie, obserwuje mnie. Idę pustymi korytarzami do swojej sekcji. Przykładam identyfikator do czytnika, wprowadzam hasło. Słyszę pisk, a potem trzask, kiedy zamek się otwiera. Popycham ciężkie drzwi. W środku jest cicho i ciemno. Włączam lampy, zalewając wszystko nieprzyjemnym światłem jarzeniówek,

i zmierzam do swojego boksu.

Otwieram zamek szuflady biurka i wyciągam plik papierów, kładę go na biurku pod tablicą korkową obwieszoną zdjęciami mojej rodziny i rysunkami dzieci. Jest jeszcze grubszy, niż zapamiętałam, pełny danych na temat potencjalnych przywódców siatki. Oraz ich zdjęć.

Siadam i przysuwam do siebie dokumenty. Zaczynam je szybko przeglądać, oddzielając zdjęcia i dane biograficzne od pozostałych informacji, co zmniejsza pakiet prawie o połowę. Może Luke kogoś rozpozna. Jeśli zdołamy zidentyfikować tego człowieka, zdołamy ochronić dzieci. Nie będzie to już bezimienna i pozbawiona twarzy groźba, lecz ktoś, kogo będziemy mogli namierzyć i zniszczyć.

Ale ten plik... nadal jest za duży. Gdzie ja to wszystko schowam? Moja torba się nie nadaje, ochrona może mnie zatrzymać i ją przeszukać. Nie zaszłam tak daleko tylko po to, żeby dać się przyłapać na wynoszeniu tajnych materiałów. Przesuwam spojrzenie z papierów na zdjęcie Jurija, przypięte do ścianki boksu. Moje myśli odpływają. Wisiołek. Przy nim, cały czas, właśnie tak, jak mówił Dmitrij Dyndałka.

Wstaję, biorę stertę papierów i podchodzę do stołu, na którym stoją drukarki i kserokopiarka. Jest tam też rolka taśmy klejącej. I duża koperta. Biorę jedno i drugie. Wsuwam papiery do koperty. Podciągam bluzę, kładę sobie kopertę płasko na plecach i zaczynam oklejać się dookoła taśmą.

Jeśli ktoś mnie teraz przyłapie, gra skończona. Wszystko pójdzie na marne. Ale nie przychodzi mi do głowy żaden inny sposób na odkrycie człowieka, który nam grozi. FBI nigdy nie pokazałoby Luke'owi tajnych zdjęć. Więc chyba warto zaryzykować? Na pewno tak. Zresztą ochrona nie skupia się na szmuglowaniu papieru, lecz elektroniki. Więc ryzyko, że mnie przyłapią, jest naprawdę niewielkie.

Z powrotem obciążam bluzę. Może się uda. To wcale niewykluczone. Wracam do biurka po torbę i przerzucam ją przez ramię. Już mam odejść, kiedy nagle zwracam uwagę na jeden z rysunków. Jest autorstwa Luke'a, ze mną w pelerynie i z literą S na piersiach. Powoli opadam na krzesło i gapię się na obrazek. Supermama. Tak właśnie postrzega mnie mój syn. Pomimo wszystkich moich rodzicielskich niedociągnięć wciąż widzi we mnie superbohaterkę. Kogoś, kto rozwiąże każdy problem, kto się nim zaopiekuje.

Myślę o człowieku, który był w jego szkole. Który mu groził. Jak bardzo musiał się bać mój synek? Jak bardzo musi teraz pragnąć superbohaterki,

która go ochroni, odegna zło, pokona tych złych?

– Staram się, młody – mówię szeptem.

Potem mój wzrok przesuwają się na rysunek Elli. Sześć radosnych twarzy. Właśnie dlatego wpakowałam się w to bagno. Żeby wszystkie te twarze pozostały radosne. Czy to nadal możliwe? Trybiki w mojej głowie obracają się i pracują, próbując wykombinować jakąś odpowiedź, odkryć, jak mogę jednocześnie zapewnić bezpieczeństwo dzieciom i zachować swoją rodzinę.

I nagle wpadam na pomysł.

Nachylam się do szuflad pod biurkiem, ciężkich, metalowych, przykręconych do podłogi. Obracam pokrętło w jedną i w drugą stronę. Ustawiam kolejno odpowiednie cyfry. Otwieram szafkę, wysuwam szufladę. Przerzucam dokumenty, aż znajduję to, czego szukam. W środku jest raport z czerwoną okładką i długim ciągiem klasyfikacji na górze. A za nim drugi, identyczny.

Otwieram oba po kolei. Przeglądam je, dopóki nie znajduję tego, czego szukałam. Najpierw jednego długiego rzędu cyfr i liter, a potem kolejnego. Przepisuję je na przyklejaną karteczkę i wsuwam do kieszeni. Potem idę do drzwi.

Kiedy wychodzę, na służbie nadal jest ta sama ochroniarka. Siedzi za biurkiem przy bramkach, przed sobą ma telewizorek nadający jeden z całodobowych programów informacyjnych. Gdy się zbliżam, podnosi głowę.

– Już pani idzie?

Minę ma poważną.

– Tak. – Uśmiecham się. Chyba widywałam ją tu rano.

– Wpadła pani z szybką wizytą w środku nocy?

– Nie mogłam spać.

– Niektórzy ludzie włączyliby wtedy telewizję.

Serce wali mi mocno.

– Wiem. Taka już ze mnie nadgorliwa analityczka. – Podnoszę żartobliwie ręce, jakbym przyznawała się do winy.

Kobieta nie śmieje się, nawet się nie uśmiecha.

– Muszę zajrzeć do pani torby.

– Oczywiście.

Podchodzi. Jestem przekonana, że usłyszy bicie mojego serca, zauważy drżenie rąk. Staram się zachować spokój. Wyciągam przed siebie otwartą

torbę. Strażniczka zagląda do środka, po czym wkłada rękę i przesuwa kilka rzeczy, żeby się lepiej przyjrzeć. Zauważam, że ogląda smoczek i torebkę z jedzeniem dla maluchów.

Potem kobieta wyciąga skaner zza paska i zaczyna przesuwać nim przy torbie.

– Teraz pracuje pani na nocnej zmianie? – pytam, starając się odwrócić jej uwagę od rewizji. Uśpić czujność.

Ona odsuwa skaner od torebki, przysuwa go do mnie i przeciąga wzdłuż mojego ciała, tak blisko, że mnie dotyka. Zaczynam wpadać w panikę. Plik papierów na plecach jest gruby. Za gruby.

– Lepiej płacą – odpowiada. – W przyszłym roku moje najstarsze dziecko idzie na studia.

Przekłada skaner na drugą stronę i zaczyna nim przesuwać wzdłuż moich nóg. Wstrzymuję oddech i przesywa mnie dreszcz. Skaner idzie coraz wyżej i wyżej, jest już niemal przy moim krzyżu, zaraz dosięgnie papierów. W ostatniej sekundzie odsuwam się i odwracam twarzą do strażniczki.

– Lubi pani nocną pracę? – pytam tonem zwykłej pogawędki. Mam nadzieję, że wygląda to naturalnie, bo jestem absolutnie przerażona.

Czekam, aż strażniczka każe mi z powrotem się odwrócić. Nadal trzyma skaner w ręce, ale nie wykonuje żadnego ruchu w moją stronę.

– Człowiek robi, co musi, dla dobra dzieci, prawda? – odpowiada z pochmurną miną.

Wstrzymuję oddech z nadzieją, że zapomni o niedokończonych rewizji albo po prostu da sobie spokój. Wreszcie wsuwa skaner z powrotem za pasek, a ja czuję taką ulgę, że kręci mi się w głowie.

Miękną mi nogi, a papiery przyklejone na plecach wydają mi się nagle bardzo ciężkie.

– Co racja, to racja.

Zarzucam torbę na ramię i, nie oglądając się, ruszam do wyjścia.

Luke siedzi na brzegu swojego łóżka, pomiędzy Mattem a mną. Siedzimy bliżej niego, niż nakazuje konieczność, jakbyśmy chcieli go umocnić, dać mu znać, że jest bezpieczny, że nie jest sam.

Ma na sobie bejsbolową piżamę, tę z nieco za krótkimi nogawkami; znowu urósł. Włosy z tyłu głowy mu sterczą, zupełnie jak Mattowi, kiedy się budzi. Nadal jest rozespany, powieki mu ciężą.

– Chcę, żebyś spojrział na kilka zdjęć – mówię łagodnie.

Luke pociera jedno oko i mruży powieki od światła, spogląda na mnie, nie rozumiejąc, jakby nie był do końca pewien, czy to sen, czy jawa.

Jedną ręką masuję mu plecy.

– Wiem, że to dziwne, skarbie. Ale próbuję się dowiedzieć, kim jest ten człowiek, który rozmawiał z tobą w szkole. Żebyśmy mogli go odnaleźć i powstrzymać.

Po twarzy Luke'a przemyka cień, jakby chłopiec zdał sobie sprawę, że to wszystko dzieje się na jawie, tyle że wcale mu się to nie podoba. Mnie też nie.

– No dobrze – mówi.

Biorę papiery i kładę je sobie na kolanach. Na wierzchu widać fotografię, zbliżenie mężczyzny o poważnej twarzy. Obserwuję Luke'a, kiedy na nie patrzy. Ciągłe masuję go po plecach, żałując, że przeze mnie musi ponownie przeżyć lęk, jakim była konfrontacja z nieznajomym.

Luke kręci głową bez słowa. Odkładam kartkę na łóżko wierzchem do dołu i odsłaniam mu kolejne zdjęcie. Czuję wyrzuty sumienia, pokazując mu te wszystkie twarze, które pewnie będą prześladować go we wspomnieniach, tak jak mnie.

Luke znowu przygląda się w milczeniu. Spoglądam na Matta i widzę na jego twarzy to samo poczucie winy, to samo pytanie, które rozbrzmiewa także w moich myślach: co myśmy uczynili?

Luke znowu kręci głową i przechodzę do kolejnego zdjęcia. Patrzę na synka, na jego profil. Wygląda tak poważnie, wydaje się starszy niż w rzeczywistości i ogarnia mnie przygniatający smutek.

Przekładam kartkę za kartką. Luke patrzy kolejno na wszystkie zdjęcia, uważnie, metodycznie, przy każdym kręci głową. Po chwili wpadamy w rutynę. Jedna sekunda, dwie sekundy, trzy sekundy, ruch głowy, kolejna kartka.

Zbliżamy się już do końca pliku i zaczyna mnie ogarniać desperacja. Co mam dalej robić, jeśli to zawiedzie? Jak mam znaleźć człowieka, który zagraża mojemu dziecku?

Jedna sekunda, dwie sekundy, trzy sekundy, ruch głowy, kolejna kartka. Jedna sekunda, dwie sekundy, trzy sekundy...

Ale nie. Żadnego kiwnięcia.

Nieruchomieję. Luke wpatruje się intensywnie w fotografię. Boję się choćby odetchnąć.

- To on – mówi tak cicho, że prawie go nie słyszę. Potem podnosi na mnie wzrok, patrzy oczami wielkimi jak spodki. – To ten człowiek.
- Jesteś pewien? – pytam, choć wiem, że tak. Widzę na jego twarzy pewność i zdecydowanie. I strach.
- Jestem pewien.

## Rozdział 24

Stoję w kuchni, oparta plecami o blat, z kubkiem gorącej kawy w jednej ręce i ze zdjęciem w drugiej. Anatolij Waszczenko. Patrę na niego, na pociągłe rysy i cofającą się linię włosów. Oto twarz przywódcy siatki. Człowieka, który stanowi zagrożenie dla Luke'a. Dla wszystkich moich dzieci.

Obracam kartkę i znowu patrę na tekst po drugiej stronie. Dane biograficzne, wszystko, czego zdołałam się dowiedzieć na temat Waszczenki, a co może nam pomóc w jego znalezieniu. Nie ma tego wiele, to jeden z najkrótszych profilów we wszystkich aktach, prawie żadnego tekstu. Skupiam się w szczególności na jednej linijce: „Podróże do USA: brak informacji”.

*Brak informacji.*

Mrugam, pragnąc siłą woli zmienić te słowa. Ale oczywiście pozostają takie same. Patrzą na mnie szyderczo. Oczywiście, że Waszczenko podróżował do USA; przecież jest tu w tej chwili. Ale jeśli nie mamy w raportach żadnych informacji o jego pobycie, to znaczy, że posługuje się innym nazwiskiem.

Co z kolei oznacza, że nie ma go jak odnaleźć.

Luke śpi i w domu panuje cisza, nie licząc sporadycznego stukania klawiszy w salonie. To Matt pracuje na laptopie nad szyfrem. Wpisuje coś, a potem następuje długa pauza. Znowu pisze i znowu zapada cisza.

Upijam łyk kawy, smakuję jej gorzki na języku. Czuję, jakby schodziło ze mnie powietrze. Zidentyfikowałam przywódcę; naprawdę mi się udało, ale co z tego? Nie mam dość informacji, żeby go odnaleźć, żeby cokolwiek zrobić z tym odkryciem, a już na pewno nie na czas. „Jutro Luke zginie”. Nie mogę wyrzucić z głowy słów Jurija. Anatolij gdzieś tam jest, zagraża Luke'owi, a ja nie mogę nic zrobić, żeby temu zapobiec.

*Sama nie mogę nic zrobić.*

W mojej głowie krąży pewna myśl, przepycha się do przodu. Staram się ją odsunąć, odepchnąć, nie dopuścić, żeby uformowała się do końca. Ale nie mogę. To jedyny sposób.

Odkładam zdjęcie na blat i przechodzę do salonu, trzymając kubek

w obu dłoniach, żeby je rozgrzać. Matt siedzi na kanapie i nachyla się nad stojącym na stoliku laptopem. Do portu podłączony jest mały pendrive, świeci się w nim pomarańczowa dioda. Kiedy wchodzę, Matt podnosi głowę. Twarz ma napiętą, ściągniętą. Siadam obok niego i patrzę na ekran, na chaotyczne znaki, zupełnie dla mnie niezrozumiałe, jest ich cały długi szereg.

– Jakież postępy? – pytam.

Matt wzdycha.

– Mój klucz do szyfru nie wystarczy. To wielopoziomowe kodowanie, skomplikowana sprawa.

– Myślisz, że zdołasz to złamać?

Patrzy na ekran, a potem na mnie, i widzę na jego twarzy żal i frustrację.

– Nie wydaje mi się.

Kiwam głową. Nie dziwi mnie to w najmniejszym stopniu. Rosjanie są naprawdę dobrzy. Zaprogramowali system tak, żeby nikt się do tego nie włamał. Potrzebne jest kilka kodów.

– Co teraz zrobimy? – pyta Matt.

Patrzę na niego badawczo. Muszę uważnie zobaczyć jego reakcję na to, co teraz powiem. Bo chyba mu ufam. Wierzę, że wszystkie jego działania można wytłumaczyć. Ale muszę być pewna.

– Pójdziemy do FBI.

Matt otwiera oczy odrobinę szerzej. Widzę w nich zaskoczenie, lecz niewiele ponadto.

– Co?

– To jedyny sposób, żeby zapewnić Luke’owi bezpieczeństwo.

– Przecież wiemy już, kto...

– I nic więcej. Nie mamy nic, co pomogłoby nam go odszukać. Nic. Ale FBI by go znalazło.

Matt nie odrywa ode mnie wzroku. Widzę w jego oczach poczucie beznadziei, rozpacz.

– Musi być jakiś inny sposób...

Kręcę głową.

– Mamy tylko jego imię. Rosyjskie imię. Żadnego pseudonimu, żadnego adresu. Może gdybyśmy mieli więcej czasu...

Patrzę, jak Matt przyswaja tę informację, tak samo jak ja byłam zmuszona to zrobić. To jedyny sposób. Sami nie zdołamy namierzyć Waszczenki. Za długo by to trwało.



– „Jutro Luke zginie” – powtarzam cicho. – Co, jeśli on przyjdzie po naszego syna, a my nie zdołamy go powstrzymać?

Zmarszczka na czole mojego męża się pogłębia. Matt wciąż się zastanawia; widzę to wyraźnie.

– Masz rację – mówi wreszcie. – Potrzebna nam pomoc.

Czekam na kolejne pytanie, wiem, że go nie uniknę. Bo dopiero teraz reakcja Matta będzie się naprawdę liczyć. Muszę zobaczyć, co dokładnie zrobi, kiedy to usłyszy.

– Więc co im powiemy? – pyta wreszcie. Słyszę niewypowiedzianą część pytania, tę, nad którą sama też się zastanawiałam. Jak przekonać FBI, żeby nam pomogło, nie zdradzając jednocześnie naszego udziału w sprawie?

Patrzę mu w oczy, zapamiętuję wyraz jego twarzy i czekam, by zobaczyć, jak zareaguje.

– Prawdę.

– Co? – Matt wpatruje się we mnie z niezmiernym zdumieniem.

Przyglądam mu się uważnie.

– Powiemy im wszystko.

W jego oczach pojawia się błysk. To chyba niedowierzanie.

– Viv, pójdziemy do więzienia. Oboje.

Czuję narastające w piersiach emocje, nieznośne napięcie.

Więzienie oznaczałoby dla mnie koniec. Nie mogłabym być przy dzieciach. Przegapiłabym, jak dorastają. Całe ich życie. Znienawidziłyby mnie za to, że je opuściłam, że przeze mnie trafiły do medialnej szopki.

Matt mruga i jego niedowierzanie zmienia się we frustrację.

– Chcesz się po prostu poddać? Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko?

– Nie poddam się.

Naprawdę nie, przynajmniej tyle wiem na pewno. Po prostu w końcu zbieram się na odwagę, robię to, co słuszne, co należało zrobić już dawno.

– Po tym wszystkim...

– Zrobiliśmy to dla dzieci – przerywam. – I to też zrobimy dla nich.

– Musi być jakiś inny sposób. Jakaś historia...

Kręcę głową. Muszę być stanowcza. Bo Matt pewnie ma rację. Prawdopodobnie istnieje inny sposób. Kolejne kłamstwo, które moglibyśmy zmyślić. Mogłabym usiąść z Omarem, wymyślić jakąś bajkę, którą może on kupić i która może uchroni nas przed więzieniem, a jednocześnie zapewni bezpieczeństwo Luke'owi i pozostałym dzieciom.

– Nie chcę już żadnych historii.

Nie chcę nic, co wkopie nas jeszcze głębiej, co jeszcze bardziej pogrąży nas w kłamstwie. Nie chcę spędzić reszty życia, oglądając się stale przez ramię i czekając, aż ktoś wreszcie pozna prawdę, bojąc się, że podjęłam złą decyzję i że moim dzieciom nadal coś grozi. Chcę, żeby znalazły się w programie ochrony świadków. Chcę, żeby były bezpieczne.

– Nie zamierzam ryzykować. Jeśli nie powiemy całej prawdy, nie zrozumieją, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi dzieciom, jakie zagrożenie stanowi Waszczenko i *dłaczego* w ogóle im zagraża – mówię. – One muszą się znaleźć pod ochroną. Tak będzie dla nich najlepiej.

– Oboje rodzice w więzieniu? *To* ma być dla nich najlepsze?

Spowija mnie mgiełka zwątpienia, bo tak naprawdę sama już nie wiem. Ale czuję w głębi serca, że to słuszny wybór. Że tak zapewnię im bezpieczeństwo. No i jak mogę być dobrą matką, skoro reszta mojego życia ma być oparta na kłamstwie? Jak miałabym nauczyć dzieci odróżniać dobro od zła? W mojej głowie przewijają się jak na filmie wszystkie sytuacje, kiedy karciłam maluchy za kłamstewka i mówiłam im, że powinny robić to, co należy. Do tego słowa Petera: „Wierzę, że podejmiesz słuszną decyzję, cokolwiek postanowisz”.

– Może i tak – mówię. Nadal kurczowo czepiam się resztek nadziei, że do tego nie dojdzie, że nie trafimy do więzienia, ale nie mogę powiedzieć tego Mattowi, jeszcze nie teraz.

Tak naprawdę jednak, w głębi serca, wiem, że prawdopodobnie skończymy za kratkami. Ale może wcale nie musimy być razem, żeby zapewnić dzieciom to, co dla nich najlepsze. Może wystarczy, że będą całkowicie bezpieczne. Że nauczymy je postępować słusznie, nawet kiedy to niełatwe. Może któregoś dnia spojrzą na wszystko, co z Mattem zrobiliśmy, i zrozumieją. Ale jeśli dalej będziemy tak żyli w kłamstwie przez kolejne dziesięć, dwadzieścia lat albo dopóki ktoś nas wreszcie nie złapie, to co wtedy? Jak będziemy mogli spojrzeć im w oczy?

Wyciągam telefon i kładę go ostrożnie na siedzeniu przed nami. Widzę, jak Matt na niego spogląda.

Biorę głęboki wdech.

– Ufam ci. Mam nadzieję, że teraz już o tym wiesz. Ale nadal możesz odejść. Nie zadzwonię, dopóki nie znajdziesz się w samolocie lecącym gdzieś daleko stąd.

Matt jeszcze przez chwilę patrzy na telefon, a potem przesuwa wzrok na mnie.

– Nigdy – mówi szeptem. – Nigdy bym cię nie opuścił. – Sięga po moją dłoń. Czuję, jak jego palce zaciskają się na moich, ciepłe i tak znajome. – Jeśli uważasz, że to właśnie musimy zrobić, to zrobimy.

Matt, mój mąż, człowiek, którego znam, którego kocham. Myliłam się, tracąc do niego zaufanie. Bardzo, bardzo się myliłam.

Puszczam jego rękę, sięgam do kieszeni i wyciągam małą kartkę. Rozkładam ją i kładę przed nami tak, że oboje widzimy dwa rzędy liter i cyfr.

– Chciałabym, żebyś zrobił jeszcze jedną rzecz.

Świta już, kiedy zjawia się u nas Omar, sam, tak jak prosiłam. Witam go w drzwiach i wprowadzam do środka. Wchodzi ostrożnie, robi krok za krokiem, rozglądając się po domu, patrząc uważnie dookoła. Nie mówi ani słowa.

Zamykam za nim drzwi i stoimy skrępowani w przedpokoju. Przez krótką chwilę żałuję, że do niego zadzwoniłam, mam ochotę się wycofać. Nadal możemy to zrobić. Potem unoszę brodę. To, co robię, jest słuszne. To jedyny sposób, żeby zapewnić moim dzieciom bezpieczeństwo.

– Usiądźmy – mówię, kiwając ręką w kierunku kuchni. Omar się nie rusza, więc idę przodem. Słyszę za sobą jego kroki.

Matt siedzi już przy kuchennym stole. Omar zatrzymuje się na jego widok, mierzy go wzrokiem, wreszcie wita skinieniem głowy. Nadal nie mówi ani słowa. Odsuwam krzeselko Chase'a i przyciągam na koniec stołu krzesło Luke'a, zapraszam Omara gestem, żeby usiadł. Waha się, ale w końcu to robi. Ja zajmuję swoje zwykłe miejsce naprzeciwko Matta. Spoglądam na niego i nagle przenoszę się myślami wiele tygodni wstecz, do tamtego dnia, kiedy dowiedziałam się czegoś, co zmieniło życie moje i nas wszystkich.

Przede mną na stole leży teczka z profilem Rosjanina schowanym bezpiecznie w środku. Widzę, jak Omar zatrzymuje na niej wzrok, a potem przenosi go na moją twarz.

– Co się dzieje, Vivian? – pyta.

Mój głos, moje ciało – wszystko wydaje się nagle jak sparaliżowane. Czy naprawdę tak będzie najlepiej dla dzieci?

– Vivian? – powtarza Omar, nie wiedząc, co się dzieje.

Owszem. Dzięki temu dzieci będą miały zapewnioną ochronę. Sama nie dam rady tego zrobić. Nie mogę zagwarantować im bezpieczeństwa.

Drżącą dłonią przesuwam teczkę w stronę Omara. Kładzie na niej rękę, nie odrywając ode mnie pytającego spojrzenia. Waha się, po czym delikatnym ruchem zagląda do środka. Widzę zdjęcie człowieka, którego zidentyfikował Luke.

– Anatolij Waszczenko – mówię cicho. – To przełożony Jurija. Przywódca siatki.

Omar wpatruje się w fotografię. Wreszcie znowu podnosi na mnie wzrok, na jego twarzy maluje się pytanie.

– Trzeba go natychmiast aresztować. A dopóki to nie nastąpi, potrzebuję ochrony dla wszystkich moich dzieci.

Omar spogląda na przemian na mnie i na Matta. Nadal nie mówi ani słowa.

– On groził Luke’owi – mówię i głos zaczyna mi się łamać. – Stanowi zagrożenie dla moich dzieci.

Omar wypuszcza cicho powietrze, nadal się we mnie wpatrując. Kręci głową.

– Vivan, co tu się, do cholery, dzieje?

Muszę mu powiedzieć. Wszystko.

– Będzie miał coś na szyi. Wisiorek. Pewnie krzyżyk. W środku powinien być ukryty pendrive. Będą na nim nazwiska jego pięciu łączników.

Omar mruga. Siedzi jak ogłuszony.

– Matt może ci wyjaśnić proces dekodowania – dodaję cicho. – Najpierw trzeba wprowadzić jego kod, a potem nasz, moskiewski, ten od Dmitrija Dyndałki.

Spoglądam na Matta, który poważnie przytakuje. Kiedy podałam mu pozostałe kody, szybko złamał zabezpieczenia plików i otworzył wszystkie zdjęcia. To te same, które znalazłam wtedy w pracy – mam wrażenie, jakby to było w innym życiu – ale tym razem ze wszystkimi informacjami: adresy, zawody i kontakty, instrukcje do umawiania się na spotkanie.

Właściwie nawet się nie spodziewałam, że zobaczę te same twarze. Kiedy zdałam sobie sprawę, że zdjęcia w komputerze Jurija zostały celowo podrzucone, byłam pewna, że pozostałe to fałszywki. Ale może nie powinnam się dziwić. Może to tylko dowód ich arogancji, ich pewności, że doskonale wiedzą, jak się to wszystko potoczy.

– Każdy łącznik ma coś takiego. Z informacjami o pięciu agentach, których nadzoruje – mówię. Odkładam wisiorek Jurija, ciężki, złoty krzyżyk. Dysk schowaliśmy na powrót do środka, dokręciliśmy śrubki. –

Piąty agent jest tutaj.

Omar otwiera oczy nieco szerzej i rozchyła usta, które układają się bezwiednie w literę O. Jest oszołomiony. Przenosi spojrzenie na Matta, który kiwa głową.

– Viv o niczym nie wiedziała – mówi. Głos mu się łamie, a mnie niemal pęka serce. – Nic jej nie powiedziałem.

Omar odwraca się z powrotem do mnie.

Czuję, że jestem mu winna jakieś wyjaśnienie, ale nie wiem, co powiedzieć.

– Uderzają w najczulsze miejsce – mówię wreszcie. – W tym przypadku była to nasza rodzina. – W jego oczach maluje się niedowierzenie. – On chciał się przyznać – dodaję cicho. – Już od lat.

Omar odwraca wzrok. Coś w jego twarzy się zmienia.

– Spodziewałem się, że będzie chodziło o kogoś takiego.

Nadal nie wykonał ruchu, żeby wziąć wisiorak Jurija. Kładę palec wskazujący na krzyżyku i podsuwam go w jego stronę. Co się teraz stanie? Płomyk nadziei nadal się tli, ale jest tak wątki, tak strasznie wątki.

W każdym razie to była słuszna decyzja. Dzięki temu zapewnimy dzieciom bezpieczeństwo.

Omar pewnie zadzwoni po wsparcie. Zamknie nas w areszcie. Moi rodzice powinni wkrótce wrócić, ale żałuję teraz, że nie nalegałam, by zostali tu na noc. No i dzieci, nasze biedne dzieci. A jeśli FBI zabierze nas, zanim się obudzą?

Omar nadal patrzy na krzyżyk. Narasta we mnie dziwne uczucie, płomyk nadziei pali się nieco jaśniej. Może się uda. Może to wystarczy.

Wreszcie Omar również kładzie palec wskazujący na wisioraku, ale zamiast go zabrać, odsuwa go z powrotem do mnie.

– Musimy was objąć programem ochrony świadków – mówi.

Moje ciało przeszywa dreszcz, jakby prąd. Czyżby naprawdę nam się udało? Spoglądam na krzyżyk, który znowu leży przede mną. Omar go nie chce. Nie weźmie go, woli nie widzieć piątego zdjęcia. Zdjęcia Matta.

Próbuję pojąć jego słowa, zrozumieć, czy to się dzieje naprawdę. Spoglądam na Matta i widzę, że on też ma z tym kłopot. Takiej możliwości nie omawialiśmy; wydawała się zbyt nieprawdopodobna, a jeśli naprawdę istniała, nie chciałam zapeszyć.

– Program ochrony świadków? – pytam, bo nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć.

Omar odpowiada dopiero po chwili.

– Podaliście mi dość informacji, by zniszczyć całą siatkę. Rosjanom na pewno się to nie spodoba. A jeśli już wcześniej zagrażali Luke'owi...

Spuszczam wzrok na dysk. Nie powinnam robić sobie nadziei. Jeszcze nie. Może Omar nie rozumiał. Że Matt to piąty agent i że ja o tym wiedziałam. Że oboje powinniśmy iść do więzienia.

– Zrobiłam kilka rzeczy, których nie powinnam. Wszystko ci opowiem...

– Wszystkie sprawy, w których prowadziliśmy dochodzenie – mówi Omar, podnosząc rękę, jakby chciał mnie powstrzymać – wszystko, co składaliśmy na karb szpiega albo rosyjskiej wtyczki w kontrwywiadzie; do tego wszystkiego przyznał się Peter. – Opuszcza dłoń i spogląda na mnie i na Matta. – Jestem przekonany, że piąty agent nie zrobił nic, by narazić bezpieczeństwo narodowe.

O Boże. To się naprawdę dzieje. Puści nam to płazem. Właśnie na to liczyłam. Miałam nadzieję, że dzięki temu uda nam się uniknąć więzienia, zachować rodzinę. Musieliśmy im po prostu coś dać. Informacja za wolność.

Ale podziała to wyłącznie, jeśli Omar zdoła zapewnić dzieciom bezpieczeństwo.

– Dzieci...

– Znajdą się pod ochroną.

– To jedyne, na czym nam zależy.

– Wiem.

Na chwilę milknę, wciąż usiłując to wszystko przetrwać.

– Więc jak to będzie wyglądać? – pytam wreszcie.

– Pójdę z tymi informacjami prosto do dyrektora. Dzięki nim rozmontujemy całą siatkę. Da mi, o co poproszę.

– Ale...

– Powiem, że Matt przyznał się, że jest agentem. Że podał mi nazwisko przywódcy siatki, swój kod i że powiedział mi o wisiorach. I że w zamian za to obiecałem ochronę jemu i jego rodzinie.

– Ale co, jeśli ktoś się dowie...

– Poinformujemy tylko niezbędne osoby. Informacja ściśle tajna.

– Ale czy zdołasz... – zaczynam, lecz Omar znowu wchodzi mi w słowo.

– Chodzi o Rosję. Wszystko jest ściśle tajne.

Słyszę słowa, które sama tyle razy wypowiadałam, i wiem, że są prawdziwe. Słowa, które znaczą, że może istnieje szansa, maleńka szansa,

że to się uda.

– Ale czy dyrektor się zgodzi? – pytam prawie szeptem. Nawet jeśli Omar chce nam pomóc, nie ma przecież żadnej gwarancji, że jest w stanie to zrobić.

Omar kiwa głową.

– Wiem, jak działa FBI. Jestem pewien, że się zgodzi.

Odżywa we mnie nadzieja. Nadzieja, że może jednak będziemy bezpieczni i że nikt nas nie rozdzieli. Patrząc na Matta i widzę te same emocje wypisane na jego twarzy.

– Więc co teraz? – pytam wreszcie.

Omar uśmiecha się do mnie.

– Pakujcie swoje rzeczy.

## Rok później. Rozdział 25

Siedzę na piasku na małej, wygiętej w sierp plaży i patrzę na dzieci. Chase biegnie skrajem wody, jego mocne dziecięce nóżki burzą ubity piasek, a przed nim podskakuje mewa. Za nim stoi Caleb z jasnymi loczkami połyskującymi w słońcu. Patrzy i piszczy z zachwytu, kiedy mewa zrywa się do lotu. Ella jest dalej na plaży, nakłada piasek do jaskrawych wiaderk o krawędziach jak krenelaże. Na jej twarzy maluje się koncentracja, a przed nią stoi skomplikowany zamek z piasku. Luke jest w wodzie, leży na brzuchu na desce boogie, czeka na następną falę. Woda błyszczy mu na plecach i nogach, które z dnia na dzień wydają się coraz dłuższe, skóra jest opalona po wielu godzinach spędzonych w wodzie na słońcu.

Wieje ciepła bryza, kołysze liśćmi palm, które porastają naszą małą plażę. Przymykam oczy i zasłuchuję się na chwilę. Cichy szum fal, szelest palm, radosne głosy dzieci. To najpiękniejsza, czarowna symfonia, jaka może istnieć.

Matt podchodzi z tyłu i siada na piasku obok mnie, blisko, jego noga dotyka mojej. Patrzę na nie – na obie nasze nogi – są bardziej opalone niż kiedykolwiek do tej pory, niemal brązowe na tle drobnego, białego piasku. Matt uśmiecha się do mnie, a ja do niego, po czym odwracam się z powrotem, żeby obserwować dzieci. Wystarczy mi ta przyjazna cisza. Caleb robi niepewny krok, potem jeszcze jeden, aż w końcu upada na piach i podnosi dużą muszlę, przygląda jej się uważnie.

Dwadzieścia cztery godziny po rozmowie z Omarem przy stole kuchennym siedzieliśmy już na pokładzie prywatnego samolotu zmierzającego na południowy Pacyfik. Z początku, kiedy Omar kazał nam się spakować, sama myśl wydawała się przerażająca: mieliśmy spakować nasze życie do walizek, wiedząc, że może już nigdy nie zobaczymy tego, co zostawimy za sobą. Skupiłam się więc na najważniejszych, niezastąpionych przedmiotach: zdjęciach, dziecięcych albumach pamiątkowych i rzeczach tego rodzaju. Jak się okazało, niczego więcej tak naprawdę nie potrzebowałam. Cała reszta – szafy pełne ubrań i butów, elektronika, meble – cóż, nadal mi tego nie brakuje. Po prostu zaczęliśmy wszystko od nowa. Kupiliśmy podstawowe wyposażenie. Mamy siebie nawzajem i nasze



wspomnienia i tak naprawdę nic więcej nam nie trzeba.

Rodzice pojechali z nami. Omar zaproponował taką możliwość, więc przekazałam im wiadomość, choć nie sądziłam, że się zdecydują, myślałam, że nie zechcą odrywać się od wszystkiego, co znają. Ale kiedy usłyszeli, że nie będą mogli się z nami kontaktować przez cały rok, a może i dłużej, w ogóle się nie wahali. „Oczywiście, że jedziemy z wami” – powiedziała mama. „Jesteś naszym dzieckiem. Tylko ty się dla nas liczysz”. I już, sprawa zamknięta. Doskonale to rozumiałam.

Odbudowaliśmy swój związek. „Wybaczam ci” – powiedział Matt pierwszej nocy w nowym domu, kiedy leżeliśmy w obcym łóżku. Jeśli mógł mi wybaczyć, że zwątpiłam w niego do tego stopnia, że musiał zabić człowieka, by odzyskać moje zaufanie, to z pewnością ja również mogłam zostawić przeszłość za sobą. Wsunęłam się w jego ramiona, tam gdzie moje miejsce. „Ja tobie też”.

Słyszę w oddali helikopter, słaby szum śmigieł. Patrzę, jak pojawia się w zasięgu wzroku, zbliża się i robi coraz wyraźniejszy, hałas narasta, cichy szum zmienia się w wyraźne łup-łup-łup. Wszystkie dzieci odrywają się od tego, co robią, i patrzą. Helikopter przelatuje tuż nad nami, tak że Ella i Luke zatykają uszy. Chase i Caleb gapią się tylko jak zahipnotyzowani.

Nieczęsto widzimy tu helikoptery. Przesiedlono nas na odosobnioną część wyspy, są tam jedynie dwa domy na skarpie z widokiem na ocean, na końcu półksiężycy plaży. Spoglądam na dom rodziców i widzę, jak mama wychodzi na zewnątrz. Zasuwa za sobą szklane drzwi i zaczyna schodzić w kierunku plaży, bryza wydyma jej długą spódnicę. Odwracam się i widzę, że helikopter wisi nad skarpą ponad nami, powoli podchodzi do lądowania.

Matt i ja wymieniamy spojrzenia. Oboje wstajemy bez słowa i otrzepujemy się z piachu. Czekamy, aż dojdzie do nas mama.

– Idźcie – mówi. – Ja popilnuję dzieci.

Odgłos śmigieł cichnie, kiedy wspinamy się na wzgórze do naszego domu po białych wydmach, które osypują się z każdym krokiem, aż dochodzimy do drewnianych schodów, też obsypanych piachem. Wchodzimy na górę, na trawiasty spłachetek, który uchodzi za trawnik, do kwadratowego dwupiętrowego domu ze spadzistym dachem i z biegnącym dokoła tarasem. Widzę, jak od strony helikoptera nadchodzi Omar w bojówkach khaki i kwiecistej hawajskiej koszuli. Na nasz widok uśmiecha się szeroko.

Dochodzimy do domu w tym samym czasie. Mocno obejmuję Omara, a Matt ściska jego dłoń. Widok jego tutaj jest dziwnie ekscytujący; to pierwszy człowiek z naszego dawnego życia, którego widzimy od roku. Ostrzegaliśmy nas przed tym, mówił, że przez cały rok, a może dłużej, będziemy sami, ale i tak nie zdołaliśmy się przygotować na to dziwne poczucie całkowitego odcięcia od wszystkiego – od ludzi, których znaliśmy, od naszej codziennej rutyny, nawet od mejli i mediów społecznościowych. Omar dał nam telefon komórkowy, ale surowo polecił ładować go i używać wyłącznie w razie konieczności. Mieliśmy po prostu czekać. Czekać, aż się z nami skontaktuje. A teraz jest tu, rok później, co do dnia.

– Wchodź – mówię, otwierając drzwi i ruszając przodem. Dom jest przestronny i pełen światła, same biele i błękity. Czuję się w nim bardziej jak u siebie niż w naszym dawnym miejscu zamieszkania. Ozdabiają go morskie muszle, które zebraliśmy podczas spacerów na plaży. I zdjęcia. Tyle zdjęć. Czarno-białe fotki dzieci, drzew palmowych, wszystkiego, co zwróciło moją uwagę. Miło znowu mieć czas na jakieś hobby. Ale przede wszystkim miło mieć czas dla dzieci.

Prowadzę Omara do salonu i siadam na kanapie z segmentów, niebieskiej i spłowiałej, na której wszyscy się tłoczmy podczas oglądania filmów i grania w planszówki. Omar zajmuje miejsce po drugiej stronie. Matt dołącza do nas chwilę później z dzbankiem lemoniady i dwiema szklankami. Stawia je na stoliku. Uśmiecha się do mnie.

– Zostawię was samych – mówi. Nie zatrzymuję go, Omar także nie.

Kiedy wychodzi z pokoju i słyszymy odgłos zamykanych na górze drzwi, Omar nachyla się do przodu.

– To jak wam się tu żyje?

– Cudownie – odpowiadam. I mówię całkowicie szczerze. Nigdy nie byłam tak szczęśliwa. Nie czuję się już uwięziona, przykuta do życia, które po prostu niesie mnie ze sobą. Czuję, że mam nad nim kontrolę. I mam spokojne sumienie. Wreszcie prowadzę życie, jakiego pragnę.

Biorę dzbanek i nalewam lemoniadę do obu szklanek, kostki lodu uderzają o szkło.

– A szkoła? Wiem, że się o to martwiłaś.

Podaję mu napój.

– Uczymy dzieci w domu. Nie jest to długoterminowe rozwiązanie, ale na razie działa. Dzieci sporo się nauczyły.

– A Caleb?

– Fantastycznie sobie radzi. Chodzi, nawet potrafi wypowiedzieć parę słów. I jest zdrowy. Miałaś rację, kardiolog na głównej wyspie jest fantastyczny.

– Cieszę się. Nie masz pojęcia, jak często o was myślałem. Bardzo chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Ja też – mówię. – Tyle chciałabym wiedzieć. – Milknę na chwilę. – Jak się miewasz?

– Właściwie to świetnie. – Omar upija łyk lemoniady. – Wiesz, zostałem zastępcą dyrektora. – Bezskutecznie próbuje zapanować nad uśmiechem.

– To cudownie.

Wreszcie przestaje powściągać uśmiech.

– I zasługujesz na to. Całkowicie.

– No, nie będę kłamać, ta sprawa bardzo mi pomogła.

Czekam, aż powie coś więcej, ale on milczy, jego uśmiech powoli niknie. Moje myśli kierują się ku Peterowi i zastanawiam się, czy Omar też go wspomina. Wreszcie się odzywam.

– Możesz mi opowiedzieć o tej siatce szpiegów?

To kwestia, nad którą zastanawiam się od roku. Rozpaczliwie pragnę usłyszeć, co powie mi Omar.

Kiwa głową.

– Miałaś rację co do Waszczenki. To on był szefem. Dość szybko zdołaliśmy go namierzyć. Znaleźliśmy dysk w wisiorcu, tak jak mówiłaś. I złamaliśmy szyfr dzięki kluczom, które nam dałaś.

Zaciskam dłonie na kolanach i czekam na ciąg dalszy.

– Potem aresztowaliśmy pozostałych czterech łączników. A po trzech dniach przeprowadziliśmy wielką operację i zgarnęliśmy wszystkich dwudziestu czterech członków siatki.

– Słyszeliśmy o tym. – Media sporo mówiły o tej sprawie, nawet tutaj, choć we wszystkich reportażach wspomniano o dwudziestu pięciu agentach. Wśród aresztowanych wymieniano też Aleksandra Lenkowa, choć podano niewiele informacji na jego temat, a jedyna ujawniona fotografia została tak spikselowana, że prawie nic nie było na niej widać. Na szczęście nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek mógł rozpoznać na niej mojego męża. – Co się z nimi stanie?

Omar wzrusza ramionami.

– Więzienie, wymiana więźniów, kto wie? – Patrzy na mnie przez chwilę. – Na pewno czytałaś, że większość z nich twierdziła, że ich

wrobiono? Że tak naprawdę są dysydentami, wrogami Rosji i tak dalej?

Kiwam głową z uśmiechem.

– No, przynajmniej są w tym konsekwentni.

Omar też się uśmiecha, po czym znowu poważnieje.

– FBI wreszcie zgodziło się na operację „Nie stój na mrozie”. Jak dotąd dzięki niej pozyskaliśmy dwóch rekrutów. Chcemy ich wykorzystać, żeby rozbić kolejną siatkę. I używamy twojego algorytmu, żeby znaleźć kolejnych łączników. FBI i CIA przeznaczyły na to ogromne środki.

Przez chwilę się nie odzywam, myślę tylko o tym wszystkim. Rozbili całą siatkę i robią postępy w namierzaniu kolejnej. Kręcę głową z podziwem, a potem zadaję kolejne, niedające mi spokoju pytanie, to ważniejsze, które budzi we mnie większe obawy.

– A co z Mattem? Podejrzewają go?

Omar macha ręką.

– Nic nie wskazuje na to, że Rosjanie wiedzą, że Matt wciąż jest na wolności i że miał z tym cokolwiek wspólnego.

Przymykam oczy. Ciężar spada mi z serca, czuję się swobodnie. Na to właśnie liczyłam; w mediach sugerowano, że do operacji doszło dzięki Peterowi, weteranowi CIA, którego Rosjanie szantażowali, wykorzystując chorobę jego żony. I dzięki agentowi FBI, określanemu wyłącznie literą O.

– Co do ciebie – mówi dalej Omar – oficjalnie wzięłaś bezpłatny urlop. W kontrwywiadzie i w FBI wiedzą, że ma to jakiś związek z tą sprawą, krąży plotka, że Rosjanie cię szantażowali, lecz nie uległaś. Ale nikt na dole nie zna żadnych szczegółów.

– Więc kto zna całą prawdę?

– Ja. A także kierownictwo CIA i FBI. To wszystko.

Czuję, jak opada ze mnie napięcie. Ta rozmowa nie mogłaby się lepiej potoczyć, nawet gdybym sama napisała jej scenariusz. Ale jednocześnie co to oznacza dla nas tutaj? Ogarnia mnie smutek, jakby wszystko, co mnie otacza, było ulotne, w mgnieniu oka mogło zostać mi odebrane. Niemal się boję zadać kolejne pytanie.

– Więc co teraz?

– No cóż, z tego, co wiemy, możesz bezpiecznie wrócić. Możemy zabrać was z powrotem do domu, do pracy...

Wyobrażam to sobie, choć wcale nie chcę. Dzieci cały dzień zamknięte w przedszkolu. Widywałabym je przez kilka minut rano i potem znowu wieczorem – jeśli będę miała szczęście. Staram się odepchnąć od siebie tę

myśl.

– W ciągu kilku tygodni załatwimy wszystkie formalności. Zdobędziemy nowe dokumenty dla Matta; nowy akt urodzenia, paszport i tak dalej. Żeby nie było się do czego przyczepić.

Omar przerywa i patrzy na mnie z oczekiwaniem, więc uśmiecham się słabo.

– Vivian, postaramy się, żeby powrót poszedł jak najłatwiej. Nie masz się czym martwić. Razem dokonamy wspaniałych rzeczy, ty i ja. Rozbijemy kolejne siatki...

Milknie i patrzy na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Bo tego właśnie chcesz, prawda?

Nie odpowiadam od razu. Dziwnie się czuję. Po raz pierwszy naprawdę mogę sama podjąć tę decyzję. Nie jestem uwięziona w pracy, którą niekoniecznie nadal chcę wykonywać. Nikt mną nie manipuluje, nie zmusza mnie do niczego. Mogę zrobić, co zechcę. Mogę wybrać.

– Vivian? – naciska Omar. – Wrócisz?

Patrzę na niego, mrugając, i odpowiadam.

Matt i ja świętowaliśmy naszą dziesiątą rocznicę ślubu na plaży, właśnie tak, jak chcieliśmy. Siedzieliśmy na piasku w naszej półokrągłej zatoczce i patrzyliśmy na bawiące się dzieci, wznosiliśmy toasty tanim winem musującym w plastikowych kubeczkach, podczas gdy słońce chowało się za horyzont, oblewając nasz świat czerwieniami i różami.

– Więc jednak tu jesteście – powiedział Matt.

– Razem. Wszyscy.

Słuchałam szumu fal, krzyków i śmiechów dzieci i przypomniałam sobie, kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy – o planach na rocznicę, o wyjeździe na jakąś egzotyczną plażę. To było rankiem tamtego dnia, kiedy znalazłam zdjęcie Matta i wszystko zaczęło się sypać. Przeniosłam się myślami z powrotem do swojego boksu, do wysokich, szarych ścianek, do ciągłego wrażenia, że tonę, że nie daję rady, że jestem rozdarta między dwiema sprawami, które są dla mnie najważniejsze i z których każda wymagała więcej czasu, niż mogłam jej poświęcić. Na samą myśl ścisnęło mnie w gardle.

Wsunęłam palce u nóg głębiej w piasek i spojrzałam na horyzont, na schodzące coraz niżej słońce. I powiedziałam jedyną rzecz, o której wtedy myślałam:

– Nie chcę wracać do tej pracy.

Było to zupełnie niespodziewane, bo od opuszczenia Stanów w ogóle o tym nie rozmawialiśmy.

– To znaczy, jeśli w ogóle będzie taka możliwość.

Gdy tylko wypowiedziałam na głos to, co mnie dręczyło, poczułam się lepiej. Podjęłam decyzję. Przejęłam kontrolę.

– W porządku – odparł Matt. Tylko tyle. *W porządku.*

– I chcę, żebyśmy sprzedali dom – drążyłam.

– W porządku.

Odwróciłam się twarzą do niego.

– Naprawdę? Wiem, że go kochasz...

Matt roześmiał się i pokręcił głową.

– Wcale go nie kocham. Od początku go nie znosiłem. Nienawidziłem świadomości, że namówiłem cię do jego kupna jedynie po to, żebyś musiała zostać w pracy.

Te słowa były dla mnie jak cios, i to taki, który powinnam była przewidzieć. Wsunęłam palce jeszcze głębiej i spojrzałam z powrotem na ocean.

– Kocham wspomnienia, które tam stworzyliśmy – dodał Matt. – Ale sam dom? Niespecjalnie.

Próbowałam przyswoić tę myśl, odkrycie, że – po raz kolejny – coś, co uważałam za prawdę, wcale nią nie było.

– Kocham *ciebie*, Vivian. I chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale tak naprawdę, naprawdę szczęśliwa, jak wtedy, kiedy się poznaliśmy.

– Jestem szczęśliwa – powiedziałam, lecz słowa zabrzmiały fałszywie. Czy istotnie tak było? Przebywałam z dziećmi, z Mattem, dawało mi to szczęście. Lecz w moim życiu było też wiele rzeczy, które wcale mnie nie uszczęśliwiały.

– Ale nie tak, jak na to zasługujesz – odezwał się cicho Matt. – Nie byłem dla ciebie mężem, jakim chcę być.

Powinnam coś odpowiedzieć, zaprzeczyć. Ale tego nie zrobiłam. Nie przyszły mi do głowy żadne słowa. Może chciałam się dowiedzieć, co jeszcze zamierza powiedzieć Matt.

– Kiedy wróciłaś do pracy po narodzinach Luke’a... Tamtego dnia przyszłaś do domu i oznajmiłaś, że nie dasz rady. Że nie możesz go zostawić. Z całego serca chciałem odrzec: „To nie zostawiaj”. Chciałem powiedzieć, że sprzedamy dom, że znajdę drugą pracę, cokolwiek.

Nienawidziłem się za to, że zmuszam cię do pogodzenia się z sytuacją. Wiedziałem, jaka jesteś przez to nieszczęśliwa. Wiedziałem. I to mnie dobijało.

Czułam w oczach łzy, przypominałam sobie tamten dzień, jeden z najgorszych w moim życiu. Patrzyłam na dzieci, które rozmywały mi się w oczach. Grały w berka, Luke pędził przodem, Ella dotrzymywała mu kroku. Chase dreptał z tyłu, starając się ich dogonić. I Caleb, słodki Caleb, który stał za nimi, a następnie zrobił kilka niepewnych kroków i się roześmiał.

– Tyle razy cię zawiodłem. Kiedy przekonałem cię, żebyś przeniosła się do sekcji rosyjskiej. Kiedy się dowiedzieliśmy, że będziemy mieli bliźniaki. Tak bardzo się skupiłem na tym, żeby utrzymać rodzinę w całości, tak bardzo się bałem, że każą mi was zostawić. Przedłożyłem to ponad ciebie. I przepraszam cię za to. Z całego serca.

Patrzyłam, jak słońce zsuwa się za horyzont, kula ognia zniknęła. Płomienne czerwienie i pomarańcze ustąpiły głębokim różom i granatom, smugom na niebie.

– Nie lubiłem człowieka, którym się stałem. Ale chcę to odbudować. Chcę zacząć od nowa, stać się mężem, którym mogę być, wiem, że tak. Takim, na jakiego zasługujesz.

Dzieci nadal biegały po piasku, nieświadome zmierzchu, naszej rozmowy, decyzji, które musieliśmy podjąć. Dochodziły do nas ich krzyki, wymieszane z odgłosem fal.

– Viv, a czego ty pragniesz? – spytał Matt.

Popatrzyłam na niego, jego rysy były mniej wyraźne w narastającym mroku.

– Nowego początku.

Spojrzał mi w oczy, czekając na ciąg dalszy.

– Chcę spędzać więcej czasu z dziećmi.

– A ja chcę, żebyś mogła to zrobić. Jakoś damy sobie radę.

– I nie chcę żadnych więcej kłamstw.

Matt pokręcił głową.

– Ja też nie.

Przeciągnęłam palcem przez piasek, nakreśliłam falistą linię.

– Czy jest coś jeszcze, o czym powinnam wiedzieć? Coś jeszcze, co przede mną ukrywałeś?

Matt znowu pokręcił głową, teraz z większą stanowczością.

– Wszystko już powiedziałem. Nic nie zostało.

Przez kilka chwil milczeliśmy, aż wreszcie Matt otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i znowu je zamknął. Wyczułam jego wahanie.

– O co chodzi?

– Po prostu...

– Co takiego?

– No, ta praca. Tak ciężko pracowałam, żeby tyle osiągnąć, i robisz coś tak ważnego... – Szybko przejechał ręką po włosach. – To nieodpowiedni moment na tę rozmowę. Ale po prostu chcę, żebyś dokonała właściwego wyboru, podjęła decyzję, która cię uszczęśliwi.

Potem przesunął się tak, żeby siedzieć twarzą do mnie. Wziął mnie za rękę, wstał, pociągnął mnie za sobą. Jego słowa nadal brzmiały w mojej głowie, niepewność, która dręczyła mnie przez te wszystkie lata, znowu zakradła się do mojej świadomości. Potem Matt łagodnie przyciągnął mnie do siebie, kładąc rękę na mojej talii. I zdałam sobie sprawę, że co do jednego przynajmniej się nie mylił: to nie była pora na ten temat. Będę miała rok na zastanowienie. Objęłam go ramionami.

– Pamiętasz nasz pierwszy taniec? – zapytał cicho. – Pamiętam – odparłam. I nagle przeniosłam się w czasie. On i ja na parkiecie, kołysaliśmy się w rytm muzyki, jego dłonie na mojej talii. Byliśmy szczęśliwi i tak bardzo, bardzo zakochani. Otaczały nas stoły, przy których siedzieli ludzie, wszędzie były znajome twarze.

– Rozejrzyj się – powiedziałam do niego. Odsunęłam się lekko, by na niego spojrzeć. – Czy to nie wspaniałe? Są tu wszyscy, których kochamy. Moja rodzina, twoja rodzina. Nasi przyjaciele. Kiedy znowu przeżyjemy coś takiego?

Matt się nie rozejrzał. Patrzył na mnie intensywnie.

– Rozejrzyj się – powtórzyłam.

Nie zrobił tego.

– Ty i ja – powiedział. – Tylko to widzę. Tylko to się liczy. Ty i ja.

Popatrzyłam na niego, nie rozumiejąc, skąd to napięcie, natężenie w jego głosie. Przyciągnął mnie bliżej do siebie i położyłam mu głowę na ramieniu, żeby uciec przed jego spojrzeniem.

– Ta przysięga, którą ci złożyłem... Każde słowo mówiłem poważnie – ciągnął. – Nieważne, co się wydarzy w przyszłości, nigdy o tym nie zapominaj. Jeśli kiedyś coś się... popsuje... po prostu pamiętaj o tym. Wszystko to dla nas. Wszystko, co zrobię do końca życia, będzie dla nas.



– Nie zapomnę – szepnęłam, nie wątpiąc w jego słowa, a jednocześnie zastanawiając się, czy kiedykolwiek je zrozumie.

Kiedy kołysaliśmy się na plaży do wtóru fal, znowu złożyłam głowę na piersi Matta, tak jak wtedy przed laty. Poczułam jego ciepło, bicie jego serca.

– Nie zapomniałam – szepnęłam.

– Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem dla nas – powiedział. – Dla naszej rodziny.

Odwrociłam głowę na bok, żeby spojrzeć na nasze dzieci, które teraz wyglądały jak cienie na tle ciemniejącego nieba.

– Ja też. – Przyciągnęłam go mocniej do siebie. – Ja też.

– Wracam – mówię.

To słowo brzmi dobrze. Ta decyzja wydaje się dobra.

Prawda jest taka, że mi tego brakowało. Brakowało mi podniecenia towarzyszącego otwieraniu nowych raportów, oczekiwania, poczucia, że tuż za rogiem może czekać wielki przełom. Że już za minutę mogę złożyć w całość układankę, która pomoże mojemu krajowi.

*Naprawdę* ciężko pracowałam, żeby to wszystko osiągnąć. I jest to część mojej tożsamości, część tego, co sprawia, że jestem sobą.

– Przez chwilę już się martwiłem – mówi Omar. Widzę ulgę na jego twarzy. – Wiesz, chcę ci dać jeszcze większy dostęp. Razem zdołamy wiele osiągnąć. Otworzymy własny nieformalny kanał, będziemy wymieniać się informacjami między agencjami, podzielimy się tymi danymi, do których niepotrzebnie ograniczają dostęp. *Naprawdę* możemy coś zdziałać.

Tego właśnie chciałam. Zawsze, od kiedy dołączyłam do CIA. Ale nie czuję podniecenia, jakiego się spodziewałam. Radości. W ogóle niewiele czuję.

– Może i jestem zastępcą dyrektora, ale sercem zawsze będę należeć do rosyjskiej sekcji kontrwywiadu.

Kiwam głową. Ogarnia mnie niepokój. Czy podjęłam właściwą decyzję? Jeszcze nie jest za późno, żeby zmienić zdanie.

– A w dodatku masz u mnie dług. – Omar uśmiecha się, ale oczy ma poważne, a w jego głosie pojawia się coś takiego, że nie jestem do końca pewna, czy żartuje. Zresztą prawda jest taka, że rzeczywiście mam u niego dług. Tyle razy mnie chronił, złamał dla mnie zasady, przekazał mi informacje, których nie powinien był przekazywać. Gdyby nie on, byłabym

w więzieniu. I ja, i Matt.

Przez kilka chwil siedzimy w niezręcznym milczeniu, aż wreszcie Omar przechyla głowę i patrzy na mnie przeciągle.

– Vivian, jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Mimowolnie myślę o dzieciach. Ale to już nie maluchy. Spędziłam z nimi cały rok, dostałam czas, którego zawsze pragnęłam. Próbuję odsunąć od siebie myśli o nich.

Rok temu powiedziałałabym nie. Ale z upływem czasu nabierałam coraz więcej pewności. Przemyślałam wszystkie argumenty. I wiem, że podjęłam słuszną decyzję.

– Jestem pewna.

Zamykam drzwi za Omarem i przez chwilę stoję w ciszy. Ogarnia mnie smutek, niejasne poczucie żalu. Nie do końca to rozumiem, bo miałam przecież mnóstwo czasu na zastanowienie.

Słyszę, jak Matt wchodzi do pokoju, ale się nie odwracam. Podchodzi i obejmuje mnie w pasie.

– I jak? – pyta. – Podjęłaś decyzję?

Przytakuję. W moim umyśle nadal pozostaje cień niepewności, obawa, że może źle wybrałam, ale kiedy ostatnio o tym rozmawialiśmy, Matt ostrzegł mnie, że mogę się tak poczuć.

– Wracam.

Matt spuszcza głowę w zagłębienie między moją szyją a ramieniem tak, że jak zawsze przechodzi mnie dreszcz, i czuję, jak się uśmiecha.

– Myślę, że to dobra decyzja.

## Epilog

Omar idzie szczytem grani, po jego lewej stronie rozciąga się ocean, a przed nim na nagim kawałku piaszczystej ziemi porośniętej kępami trawy czeka helikopter. Omar wyjmuje z kieszeni telefon. Wciska przycisk i przystawia komórkę do ucha.

– *Zdrawstwuj* – wita się z kimś. Słucha.

– *Da* – mówi, nie zatrzymując się. Kolejna pauza, po czym przerzuca się na angielski. – Wróci. Wszystko przygotuję. – Słucha odpowiedzi. – Może kilka miesięcy. Ale warto będzie czekać.

Ogląda się za siebie – szybkie spojrzenie, żeby się upewnić, że nikogo za nim nie ma.

– Zobaczę, co się da zrobić – mówi, a po chwili dodaje: – Faktycznie długa rozgrywka. – Jego usta rozciągają się w uśmiechu. – *Da swidanija*.

Odsuwa telefon od ucha i się rozłącza. Jest już blisko helikoptera, pilot uruchomił silnik. Śmigło zaczyna się obracać, z początku wolno, potem szybciej, aż hałas robi się ogłuszający.

Nie zwalniając, Omar wyrzuca telefon do morskiej otchłani na dole, między ostre skały. Ostatnie kilka kroków przebiega truchtem i wsiada do helikoptera, który startuje, zrywa się w powietrze.

Wylatują nad ocean i Omar patrzy w dół. Widzi półokrągłą plażę i Vivian, która niesie na rękach jednego z bliźniaków, nachyla do niego głowę i pokazuje helikopter palcem. Pozostała trójka stoi dookoła niej, przerywa chwilowo zabawę, żeby spojrzeć na niebo.

Omar widzi ich dom, małe pudełko o spadzistym dachu. Matt na tylnym tarasie opiera się o balustradę i obserwuje przelatujący śmigłowiec, wiatr wydyma mu koszulę.

Jego oczy utkwione są w helikopterze, hałas narasta, śmigłowiec przelatuje przed domem z niemal ogłuszającym hukiem, a kiedy przesuwa się przed tarasem, Matt mógłby przysiąc, że widzi Omara, że tamten na niego spogląda.

Helikopter odlatuje wzdłuż wybrzeża i huk stopniowo cichnie, aż wreszcie Matt na powrót słyszy wyłącznie szum rozbijających się fal. Nie odrywa wzroku od śmigłowca. Na jego usta zakrada się uśmiech, ale nie

ten szczery, rozbijający, który zna jego rodzina – ten uśmiech wygląda zupełnie inaczej. Gdyby ktoś go zobaczył z tą miną, pomyślałby, że ma przed sobą obcego człowieka.

Matt patrzy, jak helikopter niknie w oddali, i z jego ust wydobywa się jedno słowo, wyszeptane niemal jak sekret:

– *Da swidanija.*

# Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez Davida Gernerta, który pomógł mi zmienić początkową wersję i nadać jej obecny kształt, ani bez całego zespołu The Gernert Company, a w szczególności Anny Worrall, Ellen Coughtrey, Rebekki Gardner, Willa Robertsa, Libby McGuire i Jacka Gernerta.

Dziękuję z głębi serca cudownej i niewiarygodnie życzliwej Kate Miciak oraz wszystkim w wydawnictwie Ballantine, nie wyłączając Kelly Chian i Julii Maguire, które wprowadziły do tej książki wiele cennych poprawek. Miałam szczęście, że mogłam pracować z Kim Hovey, Susan Corcoran i Michelle Jasmine, i jestem bezgranicznie wdzięczna Ginie Centrello oraz Karze Welsh za to, że spełniły moje marzenia.

Szczerze wyrazy wdzięczności dla Sylvie Rabineau za pracę nad prawami do filmu, a także dla wszystkich zagranicznych redaktorów i wydawców, szczególnie dla Sarah Adams z Transworld za wnikliwe uwagi na wczesnym etapie.

Bardzo dziękuję całej mojej rodzinie, zwłaszcza mamie za wiarę we mnie, Kristin za rady i pomysły, Dave'owi za wsparcie oraz tacie za jego entuzjazm.

A przede wszystkim dziękuję moim chłopcom: Kocham was na Księżyc i z powrotem. Oraz mojemu mężowi: odpowiedź „tak” była najlepszą decyzją, jaką kiedykolwiek podjęłam.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska  
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Agnieszka Walulik  
Redakcja: Roman Honet  
Korekta: Julia Celer, Dominik Wódz

Projekt okładki: Bogdan Kuc, Joanna Strękowska  
Zdjęcia wykorzystane na I stronie okładki: © Rawpixel.com/shutterstock.com

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
faks (22) 395 75 78  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-5784-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, lowercase, sans-serif font. The letter "v" is stylized with a blue and green gradient.